

Polska Zbrojna

95
LAT

NR 10 (846) PAŹDZIERNIK 2016

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523



1921-2016

Nasz jubileusz

WSZYSTKO O POLSCE ZBROJNEJ



PRODUKCJA MEDALI I ZNACZKÓW METALOWYCH

Wysoka jakość oraz spełnienie oczekiwań klientów



JUBILEUSZ „POLSKI ZBROJNEJ” 5 PAŹDZIERNIKA 2016

ZNACZKI (PINSY) • ODZNACZENIA • MEDALE • RYNGRAFY • SPINKI DO KRAWATÓW
• SPINKI DO MANKIETÓW • MONETY ZASTĘPCZE

42-200 CZĘSTOCHOWA, UL. POSELSKA 20/26, tel. (+48) 34 363 61 44; (+48) 34 369 90 22, e-mail: artmedal@artmedal.pl; www.artmedal.pl



Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



PRACUJĄ W ZESPOLE REDAKCYJNYM „POLSKI ZBROJNEJ” OSOBY, KTÓRE PAMIĘTAJĄ JESZCZE CZASY REDAKTORA NACZELNEGO JERZEGO ŚLASKIEGO. PODKREŚLAJĄ, ŻE OBOWIĄZYWAŁA WÓWCZAS ZASADA „JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA JEDNEGO”.

Niewątpliwie również i dziś to właśnie dobra współpraca i atmosfera sprawiają, że dajemy z siebie wszystko. Mam zaszczyt i przyjemność należeć do zespołu redakcyjnego od siedmiu miesięcy i to, co dało się zauważyć od razu, to jest właśnie ta synchronizacja, która sprawia, że wszystko działa niemal jak w szwajcarskim zegarku. Jednocześnie widoczna jest sympatia, którą darzą się redakcyjni koledzy. Nawet kiedy deadline jest tuż-tuż i gdy w tym gorącym czasie w redakcjach najczęściej bywa nerwowo, u nas jest tylko trochę ciszej; w skupieniu redagujemy przysłane na ostatnią chwilę teksty i łamiemy ostatnie kolumny.

Aby powstał dobry tekst, który zaspokoi oczekiwania naszych wymagających odbiorców, musimy zaskarbić sobie sympatię oraz zyskać zaufanie i żołnierzy, i dowódców, którzy, zwracając naszą uwagę na ważne dla wojska problemy, wiedzą, że tematem zajmiemy się rzetelnie. Staramy się, aby każdy materiał był dopracowany merytorycznie, edytorsko, graficznie, aby był aktualny, szczegółowy i ciekawy. Zadanie to nie jest łatwe. Jak bowiem trafnie zauważa w rozmowie z nami prof. Andrzej Kozieł, żołnierze zapewne oczekują formuły bardziej specjalistycznej, podczas gdy cywile chcą się dowiedzieć, co dzieje się w wojsku i jakie problemy ma nasza armia. Jest to dość trudne do pogodzenia.

Nie zapominamy o historii, przybliżamy ją, ponieważ jest ona fundamentem, bez którego nie da się zrozumieć problemów i mechanizmów dzisiejszego świata. O wojsku, dla wojska. Tak było od początku, od pierwszego numeru dziennika „Polska Zbrojna”, który ukazał się 5 października 1921 roku. I tak będzie nadal, bo chociaż dziś świętujemy, to nie spoczniemy na laurach.





Zdjęcie na okładce:
Narodowe Archiwum
Cyfrowe, MD/dział
graficzny

NR 10 (846)
PAŹDZIERNIK 2016

TEMAT NUMERU

ANNA DĄBROWSKA

10 / Nasza gazeta

Z okazji 95-lecia „Polski Zbrojnej” przypominamy długą i bogatą historię pisma.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

16 / Medialny poligon

Andrzej Kozieł o rynku prasowym, pismach branżowych i tradycjach wydawniczych.

ZOFIA KUNERT

20 / Stoczył piękną walkę

Sylwetka Jerzego Ślaskiego, żołnierza Armii Krajowej i więźnia stalinowskiego, jednego z redaktorów naczelnych naszego pisma.

TADEUSZ WRÓBEL

24 / Resortowe imperium prasowe

Krótki przegląd pism wojskowych na świecie.

Znajdziesz nas tutaj:



ARMIA

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA,
ANNA PUTKIEWICZ, TADEUSZ WRÓBEL

26 / Rewizja priorytetów

Wywiad z ministrem obrony narodowej Antonim Macierewiczem o modernizacji armii, OT i szkolnictwie wojskowym.

KRZYSZTOF WILEWSKI

34 / Bydgoscy łącznicy

Jak działa polska NFIU – jedna z jednostek integracji sił NATO?

BOGUSŁAW POLITOWSKI

38 / Szkoła walki

Krótko o polsko-amerykańskim szkoleniu na poligonie w Żaganiu.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

42 / Sześć mil do raju

ORP „Kościeszko” po misji w natowskim zespole okrętów SNMG2.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

46 / Biegiem do gwiazdek

Nabór do studium oficerskiego na rzecz wojsk obrony terytorialnej.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

50 / Coraz bliżej wojska

Jacek Klimanek o miejscu organizacji obronnych w systemie bezpieczeństwa państwa.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

54 / To nie jest zwykła służba

W cyklu „Wojsko od kulis” prezentujemy Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej z Mińska Mazowieckiego.

ARSENAŁ

KRZYSZTOF WILEWSKI,
TADEUSZ WRÓBEL

66 / Zbrojny salon

Podsumowanie XXIV Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego.

ROBERT CZULDA

74 / Odlotowy projekt

O francusko-brytyjskim programie samolotu bojowego nowej generacji.



STRATEGIE

MARIA PRZEŁOMIEĆ

80 / Powrót Rosji do gry?

Rosja wyrwała się z międzynarodowej izolacji i odbudowuje swoją strategiczną pozycję na Bliskim Wschodzie.

TOMASZ OTŁOWSKI

86 / Imperialne aspiracje

Recepta Erdoğan na potęgę.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

90 / Niezrozumiała wojna

Łukasz Fyderek o tym, dlaczego Europejczykowi tak trudno zrozumieć to, co dzieje się na Bliskim Wschodzie.

MARCIN RZEPKA

94 / Aleppo: historie upadku

Miasto, które staje się symbolem okrucieństwa wojny.

TADEUSZ WRÓBEL

98 / Czarne chmury nad specjalsami

Czy tragiczne wydarzenia na szkoleniu poligonowym przypieczętują los portugalskich jednostek specjalnych?

GRZEGORZ JANISZEWSKI

100 / Wizja życia w schronie

Na terenie Rosji powstają dziesiątki nowych bunkrów przeciwbombowych.

TADEUSZ WRÓBEL

104 / Gorące lato

O tym, jak niedawne krwawe starcia w Kaszmirze nie wpłyną na indyjsko-pakistański spór o ten region.

HISTORIA

JAKUB NAWROCKI

108 / Wielka ucieczka Batorego

Jedna z najbardziej brawurowych akcji w historii polskiej marynarki.

PIOTR BOCZOŃ

114 / Dywizjon kubusiów

O utworzonym w czasie II wojny światowej polskim dywizjonie wsparcia artylerii.

MARIUSZ KOWALSKI

118 / Śmierć mnie pocątuje, ale nie ty

Wzruszająca historia miłości i śmierci por. Andrzeja Prawdzic-Szamoty.

HORYZONTY

ANDRZEJ FĄFARA

126 / Reduty Ordona

Ignacy Ordon wspomina lata spędzone w wojskowej Legii Warszawa.

TADEUSZ WRÓBEL

132 / Przerwany lot

Mieszkańcy Giełbi wciąż pamiętają o pilotach samolotu Il-28, który rozbił się niedaleko ich miejscowości w 1969 roku.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

138 / Na dachu Europy

Podchorążowie Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych stanęli na najwyższym europejskim szczycie.

KADR





Punktem kulminacyjnym ŚWIĘTA
KAWALERII POLSKIEJ był przemarsz
kawalerzystów ulicami Warszawy.
FOT. MICHAŁ NIWICZ



Resort obrony, wskazując producenta systemu Patriot, nie zamknął drogi do negocjacji z konkurentami Raytheona.

Zamówienie na patrioty

Coraz bliżej realizacji programu „Wisła”.

Polski rząd wysłał do władz amerykańskich zamówienie na osiem baterii systemu przeciwlotniczego i przeciwrakietowego Patriot. Podpisano dokument w tej sprawie („letter of request”), czyli szczegółowe zamówienie na sprzęt i uzbrojenie wojskowe, kupowane od rządu USA w ramach umów międzypaństwowych.

Wiosną 2015 roku ówczesny prezydent Bronisław Komorowski wskazał, że Polska jest zainteresowana systemem Patriot, produkowanym przez firmę Raytheon. Po wyborach resort obrony kontynuował rozmowy na temat zakupu zestawów rakietowych. „Polska musi jak najszybciej dysponować bronią gwarantującą bezpieczeństwo największych aglomeracji, a pozyskanie tego systemu musi być związane z jak największymi korzyściami gospodarczymi i technologicznymi dla polskiego przemysłu; kluczową sprawą jest także cena”, mówił w Sejmie minister Antoni Macierewicz. System obrony powietrznej Wisła należy do jednego z najdroższych programów modernizacyjnych polskiego wojska. Wiceminister Bartosz Kownacki, który prowadzi negocjacje w sprawie tego zakupu, powiedział, że Polska może zapłacić nawet 50 mld zł.

Pierwsze dwie baterie zostaną dostarczone do Polski w połowie 2018

roku. Kolejne, których dostawę przewidziano po 2019 roku, będą wyposażone w najnowocześniejsze radary dookólne, czyli o polu obserwacji 360 stopni. Polska chce, by wszystkie baterie miały najnowocześniejszy

ZESTAWY MAJĄ TWO- RZYĆ SYSTEM OBRONY POWIETRZNEJ ŚRED- NIEGO ZASIĘGU I CHRONIĆ PRZED ATA- KIEM POCISKAMI BALI- STYCZNYMI NAJWIĘK- SZE POLSKIE MIASTA

zintegrowany system kierowania walką (Integrated Battle Command System – IBCS). Dzięki temu będą one mogły współdziałać z innymi systemami antyrakietowymi, w które polska armia ma być wyposażona, będzie też możliwość „wpięcia” ich w system dowodzenia i łączności sił powietrznych. Ostatnie baterie Polska dostanie do 2026 roku.

Jak mówił szef MON-u, udało się wynegocjować korzystniejsze niż do tej pory warunki transferu do Polski nowoczesnych technologii oraz offsetu. Trwają negocjacje w sprawie 69 zobowiązań offsetowych i, jak za-

pewnił wiceminister Kownacki, firma Raytheon zgodziła się już na połowę z nich. Amerykanie zadeklarowali, że do polskiego przemysłu trafią zamówienia na sumę stanowiącą co najmniej 50% wartości kontraktu. Kownacki wspominał, że w ramach offsetu moglibyśmy wykonywać obsługę samolotów F-16. Polska mogłaby się także zaangażować w prace konstrukcyjne, a następnie produkcję i sprzedaż pocisków LCI (Low Cost Interceptor), czyli niskokosztowych pocisków przechwytyjących. Z punktu widzenia polskiej gospodarki ważne są nie tylko korzystne warunki offsetowe, lecz także zobowiązanie firmy Raytheon, że co najmniej połowa zamówień i produkcji patriotów będzie wykonana we wskazanych przez nas przedsiębiorstwach polskich.

Resort obrony, wskazując producenta systemu Patriot, nie zamknął drogi do negocjacji z konkurentami Raytheona. Równolegle są one prowadzone m.in. z europejskim konsorcjum – producentem systemu MEADS. „Powinniśmy rozmawiać co najmniej z dwoma producentami”, mówił posłom minister. Wiceszef MON-u z kolei stwierdził na targach w Kielcach, że zmiana warunków oferty może spowodować powrót do gry nawet innych, pominiętych wcześniej partnerów. PZ, KW, JT ■

Zmiany w speckadrach

Wojska specjalne mają nowych dowódców.



ROBERT SUCHY/CO.MON

Nowym szefem Inspektoratu Wojsk Specjalnych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych został gen. bryg. Wojciech Marchwica, a dowódcą Jednostki Wojskowej GROM – ppłk Robert Kopacki. Obu oficerów czasowo mianowano na te stanowiska.

Gen. Marchwica był ostatnio szefem Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Inspektoracie Wojsk Lądowych DGRSZ. Wcześniej m.in. dowodził 6 Brygadą Powietrznodesantową i był zastępcą szefa Połączonego Centrum Operacyjnego w DGRSZ. Ppłk Kopacki z kolei służył m.in. w 6 Batalionie i 6 Brygadzie Desantowo-Szturmowej oraz w Dowództwie Wojsk Specjalnych w Krakowie. Był również szefem sztabu GROM-u.

Wcześniej minister obrony odwołał dotychczasowego szefa Inspektoratu Wojsk Specjalnych gen. dyw. Piotra Patalonga i przeniósł go do rezerwy kadrowej Dowództwa Operacyjnego RSZ. Zdymisjonował też dowódcę GROM-u, płk. Piotra

Gąstała, który został przeniesiony do Dowództwa Generalnego RSZ. Jak poinformował resort obrony, decyzja ministra jest podyktowana potrzebami sił zbrojnych i nie ma związku z wypadkiem podczas ćwiczeń komandosów w Gdyni. Pod koniec sierpnia w wyniku obrażeń doznanych w trakcie manewrów na poligonie koło Westerplatte zginął żołnierz GROM-u, który, wykonując zadanie z udziałem śmigłowca, dostał się między nabrzeże a burtę jednostki pływającej.

Gen. bryg. Adam Joks został natomiast wyznaczony na szefa Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w DGRSZ. Dotychczas generał stał na czele Wielonarodowej Brygady LITPOLUKRBRIG w Lublinie, dowodził także Centralną Grupą Wsparcia Współpracy Cywilno-Wojskowej w Kielcach i 6 Brygadą Powietrznodesantową.

Minister wyznaczył również **płk. Wiesława Kukulę** (na zdjęciu) na stanowisko dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej. Oficer odpowiada m.in. za organizację i przygotowanie brygad OT, a pracami koncepcyjnymi w tej dziedzinie nadal będzie się zajmował Grzegorz Kwaśniak, dyrektor Biura ds. Tworzenia Obrony Terytorialnej. Płk Kukula przez ostatnie cztery lata dowodził Jednostką Wojskową Komandosów w Lublińcu. Wcześniej służył wiele lat w 1 Pułku Specjalnym Komandosów na stanowiskach m.in. szefa łączności oraz szefa sztabu pułku. Od 2006 roku pełnił służbę w Dowództwie Wojsk Specjalnych jako szef wydziału dowodzenia i łączności oraz szef pionu – zastępca szefa sztabu. PZ, MKS, EK ■

Skrzydła dla VIP-ów

Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło przetarg na zakup dwóch małych i dwóch średniej wielkości nowych samolotów oraz jednego używanego. Jak mówi wiceminister Bartosz Kownacki, małe maszyny będą mogły zabrać na pokład od 12 do 16 pasażerów. Z kolei dwie średnie – około 100 pasażerów i będą latać w dłuższe trasy. Zostaną wyposażone w systemy łączności niejawniej, wojskowe systemy obronne i będą mogły lądować na lotniskach wojskowych.

Przedmiotem umowy jest też szkolenie personelu latającego, technicznego, pokładowego oraz dostarczenie pakietu logistycznego. MON chciałoby, by maszyny po zakupie były serwisowane w polskich zakładach. Samoloty trafią do 1 Bazy Lotnictwa Transportowego w Warszawie. Obecnie najważniejsze osoby w państwie korzystają z dwóch embraerów 175, wycarterowanych od Polskich Linii Lotniczych LOT SA. Wartość kontraktów na zakup wszystkich maszyn wyniesie około 1,7 mld zł. Taka suma jest już zagwarantowana w budżecie państwa.

Resort liczy, że przetarg na małe samoloty zostanie rozstrzygnięty do końca tego roku, a maszyny będą dostarczone armii do 15 listopada 2017 roku. Z kolei umowa na samoloty średniej wielkości zostanie zawarta w pierwszym kwartale 2017 roku, a maszyny będą dostarczone do 2020–2021 roku. Trzeci, średniej wielkości, używany samolot (najwyżej 5-letni) firma, która wygra przetarg, będzie musiała dostarczyć pod koniec 2017 roku. PZ, AD ■



A. GOŁAWSKI

TEMAT NUMERU

/ 95 LAT

ANNA DĄBROWSKA

NASZA GAZETA

W tym roku obchodzimy
95. urodziny!





MICHAŁ NIWICZ

S

ięgam po »Polskę Zbrojną« nie tylko ze względu na obowiązki służbowe, ale także dlatego, że jest to ciekawa gazeta», mówi ppłk Marek Chmiel, rzecznik prasowy Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. »Wasze pismo to ważny kanał informacyjny dla wojska«, dodaje mjr Piotr Szczepański, rzecznik wrocławskiej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych (WSOWL). »Na rynku jest wiele specjalistycznych czasopism militarnych, ale to »Polska Zbrojna« jest powszechnie dostępna w jednostkach», podkreśla st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, zastępca komendanta Szkoły Podoficerskiej Wojsk Lądowych (SPWL) w Poznaniu.

HISTORYCZNE ZMIANY

Jako jeden z najstarszych tytułów na polskim rynku prasowym, »Polska Zbrojna« obchodzi w tym roku swoje 95-lecie. Pierwszy numer pisma, nazwany okazowym, ukazał się z datą 5–8 października 1921 roku. »Gazeta dążyć będzie do budzenia i utrwalania wzajemnej miłości, szacunku i zaufania między społeczeństwem a armią«, napisano wówczas w dzienniku.

Pierwszym redaktorem naczelnym i wydawcą »Polski Zbrojnej« był kpt. Remigiusz Kwiatkowski. Przez cały okres międzywojenny pismo wychodziło jako dziennik i półoficjalny organ Ministerstwa Spraw Wojskowych, silnie popierający Józefa Piłsudskiego. Gazetę wydawano do wybuchu II wojny światowej, a ostatni jej numer ukazał się 23 września 1939 roku.

Pismo odtworzono w 1945 roku, niestety jako organ propagandowy ludowego Wojska Polskiego i narzędzie indoktrynacji komunistycznych władz. Treść artykułów, traktujących coraz częściej o polityce rządzących, była poddawana ścisłej cenzurze. Zwieńczeniem przekształceń gazety była zmiana jej nazwy, 22 lipca 1950 roku, na »Żołnierz Wolności«.

Po przemianach ustrojowych, w 1991 roku dziennik zaczął zrywać z komunistyczną prze-

szłością i jednocześnie powrócono do historycznego tytułu »Polska Zbrojna«. »Miała być to gazeta, w której wojsko informowałoby społeczeństwo o swoich problemach, osiągnięciach i trudnościach, a przedstawiciele społeczeństwa wyrażaliby jego postulaty, oczekiwania i nadzieje wiążące się z zachodzącymi w siłach zbrojnych przemianami«, napisał 25 listopada 2001 roku w artykule poświęconym 80-leciu pisma Jerzy Ślaski, pierwszy po 1991 roku jego redaktor naczelny.

Z DUCHEM CZASU

W kolejnych latach »Polska Zbrojna« zmieniła się nadal – od 10 stycznia 1997 roku zaczęła się ukazywać jako tygodnik, a od kwietnia 2012 roku stała się miesięcznikiem. »Pismo ewoluowało nie tylko pod względem częstotliwości ukazywania się, ale także pod względem jakości wydania i zawartości artykułów i dziś jest bardziej interesujące«, uważa ppłk Tomasz Rożniakowski, szef Wydziału Wychowawczego Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Zmieniał się także wydawca – Dom Wydawniczy Bellona w 2007 roku zastąpiła utworzona przez Ministerstwo Obrony Narodowej Redakcja Wojskowa, która wchłonęła zlikwidowane pisma rodzajów wojsk: »Wojska Lądowe«, »Wiraże« i »Bandere«. Cztery lata później Redakcję przekształcono w Wojskowy Instytut Wydawniczy – instytucję kultury przy resorcie obrony.

Jednocześnie, idąc z duchem czasu, w styczniu 2007 roku uruchomiliśmy portal w formie internetowego dziennika. W serwisie informacyjnym codziennie ukazują się teksty z bieżącymi wiadomościami z resortu obrony, dowództw i jednostek. Atutem internetu jest jego multimedialność: na naszej stronie www.polska-zbrojna.pl można znaleźć galerie zdjęć z uroczystości wojskowych, filmy z poligonów, a także komentarze czytelników, dziennikarzy i zewnętrznych specjalistów.



MIKOŁAJ BASIAGA

Zdjęcie autorstwa Mikołaja Basiagi przesłane na konkurs zorganizowany z okazji 95 lat „Polski Zbrojnej”.

KAŻDY, KTO SZUKA INFORMACJI O BEZPIECZEŃSTWIE, OBRONNOŚCI, MILITARIACH I HISTORII WOJSKA, **ZNAJDZIE TU COŚ DLA SIEBIE**

Zarówno portal, jak i miesięcznik są wspierane przez profile w mediach społecznościowych – Facebooku czy Twitterze, gdzie nie brakuje dyskusji o problemach wojska, publikowanych na gorąco informacji czy konkursów dla czytelników. Ponadto, doceniając i nagradzając żołnierzy nietuzinkowych, promujących śmiałość myślenia, odwagę w prezentowaniu poglądów i kształtujących nowoczesny wizerunek wojska, „Polska Zbrojna” od 1994 roku przyznaje prestiżową nagrodę Buzdygan.

ONLINE I NA PAPIERZE

„Portal razem z papierową »Polską Zbrojną« traktuję jako jedną, nierozzerwalną całość”, mówi chor. Marcin Szubert, rzecznik prasowy SPWL w Poznaniu. A zdaniem mjr. Szczepańskiego, obie formy przekazu uzupełniają się, poruszając te same tematy w różny sposób. Jak dodaje oficer, ukazujące się w miesięczniku teksty dogłębnie analizują problemy wojska, jest też czas na ich wnikliwe przeczytanie. „Poza tym to ogromna przyjemność zobaczyć artykuł na temat WSOWL na papierze”, dodaje rzecznik szkoły. Tego samego zdania jest chor. Szubert. „To, co jest drukowane, jest dziś bardziej elitarne. Często łapię się na tym, że ważne jest dla mnie to, czy teksty tworzone we współpracy ze mną ukażą się w portalu, czy papierowej »Polsce Zbrojnej«. Jeśli w tej drugiej, zawsze myślę, że widocznie temat był ważny i na papierze »pożyje« dłużej”, opowiada.

Chorąży podkreśla też, że „Polska Zbrojna” nie jest traktowana jak zwykły miesięcznik, który po przeczytaniu

można wyrzucić. „Nierzadko żołnierze zbierają poszczególne numery, np. jeśli zamieszczone tam teksty szczególnie ich zainteresowały albo te, w których odnajdują swoje zdjęcia z poligonów czy ćwiczeń”.

Z kolei portal internetowy czytelnicy chwalą za dostępność, przejrzystość i aktualność informacji podawanych online. „Powstanie portalu i jego aktywność w mediach społecznościowych pozwoliły poszerzyć grono stałych czytelników i obserwatorów wydawnictwa o niemałą grupę młodych Polaków, co zasługuje na szczególne uznanie”, podkreśla gen. dyw. Cezary Podlasiński, dowódca Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego w Krakowie.

Chor. Woltmann dodaje, że portal umożliwił dostęp do najbardziej aktualnych informacji i komentarzy. Podobnego zdania jest rzecznik WSOWL. „Dzięki portalowi mamy szybką informację, do tego dochodzi bardzo potrzebna interakcja z odbiorcą przez media społecznościowe”, zaznacza mjr Szczepański.

BLISKO WOJSKA

Dzisiaj miesięcznik trafia do Kancelarii Prezydenta RP, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, przedstawicielstw wojskowych w Polsce, resortu obrony, dowódców rodzajów sił zbrojnych. Nasze pismo jest jednak skierowane nie tylko do decydentów, żołnierzy, pracowników wojska i ich rodzin, lecz także do wszystkich tych, których interesują sprawy polskiej armii oraz szeroko rozumianej obronności, do pasjonatów militariów i historii. „Czasopismo skupia ➔

PIERWSZY NACZELNY

Dziennikarz, poeta i... oficer Wojska Polskiego. Remigiusz Kwiatkowski z wojskiem związał się w 1918 roku. Podczas wojny polsko-bolszewickiej 1919–1921 pełnił służbę na stanowisku szefa Wydziału Prasowego Sekcji 3 Informacyjnej Oddziału II Informacyjnego Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych. W 1921 roku brał udział w powstaniu i akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku. Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej w 1921 roku pełnił funkcję szefa Wydziału Wyznań Niekatolickich przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. W tym samym roku Remigiusz Kwiatkowski założył dziennik „Polska Zbrojna” i został jego redaktorem naczelnym. Funkcję tę sprawował, jednocześnie służąc w 30 Pułku Piechoty w Warszawie. 3 maja 1922 roku został zweryfikowany w stopniu majora ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 roku. Po dwóch latach awansował do stopnia podpułkownika. Po zamachu majowym 1926 roku został przeniesiony w stan spoczynku. Na wojskowej emeryturze całkowicie poświęcił się pracy literackiej. W czasie II wojny światowej Remigiusz Kwiatkowski działał w strukturach Armii Krajowej na terenie Warszawy w grupie dywersyjno-wojskowej. Redagował prasę podziemną, brał udział w powstaniu warszawskim, a po jego upadku przedostał się do Częstochowy, gdzie przebywał do końca wojny. Wiosną 1945 roku powrócił do stolicy i po weryfikacji, do 1951 roku pełnił funkcję referenta prasowego przy gabinecie premiera. MB ■

wokół siebie czytelników wywodzących się ze środowiska wojskowego – żołnierzy zawodowych i emerytów wojskowych, a także wszystkich zainteresowanych problemami bezpieczeństwa kraju i świata”, potwierdza gen. Podlasiński. Także chor. Szubert uważa, że choć „Polska Zbrojna” jest pismem branżowym, to dzięki przystępnej formie artykułów może trafiać do szerszego grona odbiorców. „Każdy, kto szuka lektury o bezpieczeństwie, obronności, polityce międzynarodowej w kontekście wojskowym, znajdzie tu coś dla siebie. Podobnie, gdy ktoś jest zainteresowany życiem w jednostkach czy misjami”, mówi podoficer. Jego zdaniem, w „Polsce Zbrojnej” można znaleźć szeroki wachlarz tematów publicystycznych, a teksty z pisma są cytowane w pracach naukowych i na innych portalach. W miesięczniku piszemy o ćwiczeniach, służbie na misjach, polityce obronnej, tradycjach i historii wojskowości, życiu w garnizonach, ciekawostkach dotyczących techniki wojskowej i militariów, zmaganiach wojskowych sportowców, udzielamy porad prawnych. Informujemy też o tym, co dzieje się w instytucjach centralnych MON-u i dowództwach, pokazujemy, nad jakimi ważnymi dla środowiska ustawami pracują parlamentarzyści, z jakimi problemami socjalnymi borykają się żołnierze. Nie brakuje również wiadomości o armiach innych państw, reportaży z jednostek czy komentarzy na temat wydarzeń geopolitycznych.

„Polska Zbrojna” to również pismo z misją. „Dzięki »Polsce Zbrojnej« nasze stowarzyszenie zaistniało medialnie, wasze pismo jest naszym patronem. Od początku naszej działalności wspieraliście nas radą i pomocą, a przede wszystkim artykułami o naszych problemach. Robicie dobrą robotę”, mówi Marek Rzodkiewicz, wiceprezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Z kolei kmr Bożena Szubińska, była przewodnicząca Rady ds. Kobiet w Siłach Zbrojnych RP oraz pełnomocnik MON ds. wojskowej służby kobiet, opowiada, że jako kobieta żołnierz była wierną czytelniczką „Polski Zbrojnej”, zdobywając dzięki niej najważniejsze informacje o tym, co się działo w wojsku. Na naszych łamach pani komandor wielokrotnie pisała o problemach kobiet w armii. „Przez kilkanaście ostatnich lat »Polska Zbrojna« towarzyszyła kobietom żołnierzom w codziennym życiu. Magazyn był jedynym pismem o tak dużym zasięgu, docierającym do najmniejszych garnizonów i jednostek, w którym można było znaleźć informacje dotyczące specyfiki służby kobiet w postaci poradnika prawnego, reportażu czy wywiadu”, podkreśla kmr Szubińska.

Gen. Podlasiński chwali nas za podjęcie problematyki wartości patriotycznych i żołnierskiego etosu: „Wydawnictwo jest doskonałym narzędziem do zaszczepiania militarnej pasji u młodych. W ukazujących się na łamach miesięcznika i w portalu opowieściach o bohaterach, którzy stanowili wzorce najlepszych żołnierskich cnót: honoru, patriotyzmu i poświęcenia, a także w historiach miejsc heroicznych walk o wolną ojczyznę, pokazywane jest źródło wartości patriotycznych, które jest wspaniałą inspiracją dla współczesnych żołnierzy”. Z kolei chor. Woltmann ceni przede wszystkim to, że na łamach pisma jest miejsce dla szeregowych i podoficerów na przedstawienie ich punktu widzenia na wiele spraw. „Tego typu artykuły pomagają docenić trud i wysiłek nie tylko dowódców i instytucji, lecz także zwykłych żołnierzy”, dodaje podoficer.

„»Polska Zbrojna« to nasza, wojskowa gazeta i myślę, że wielu żołnierzy tak właśnie ją traktuje, jako własne czasopismo wojskowe”, podsumowuje chor. Szubert. ■

WSPÓŁPRACA M K-S, PG, KW, MS

Zadanie dofinansowane ze środków:



Ministerstwo
Sportu i Turystyki

Sponsorzy:



EJOT



Bieg Przełajowy „O Nóż Komandosa”

im. gen. broni Włodzimierza POTASIŃSKIEGO

07 października 2016 r.
Lubliniec



Patronat medialny:



Mistrzostwa Polski Służb Mundurowych
www.wkbmeta.pl/bonk



Dowódca JWK
płk Wiesław KUKUŁA

95
LAT

MEDIALNY POLIGON

*Z dr. hab.
Andrzejem Koziłem*

**o różnicach między prasą
branżową i specjalistyczną,
tradycjach pism wojskowych
i zmianach, jakie wymusza
rynek, rozmawia
Małgorzata
Schwarzgruber.**

95 lat temu ukazał się pierwszy numer „Polski Zbrojnej”. Mamy bogatą tradycję, ale staramy się dotrzymywać kroku wymogom współczesnego rynku medialnego. Czy nam się udaje? Co sądzi Pan o naszym piśmie?

Z dziennikarskiego punktu widzenia obecna edycja jest ciekawa, gazeta ma dynamiczny charakter, w udany sposób łączy materiał ilustracyjny z tekstem. Publikujecie dużo wywiadów i fotoreportaży. Teksty nie są zbyt obszerne ani przegadane. „Polska Zbrojna” jest propozycją dla odbiorcy, który interesuje się sprawami wojska, ale nie oczekuje specjalistycznych tekstów. Uważam, że z jednej strony jest to udana próba dotarcia do osób zainteresowanych tematyką sił zbrojnych, a z drugiej – utrzymania kontaktu z czytelnikiem wojskowym.

Staramy się informować żołnierzy o sytuacji w polskiej armii i na świecie, a cywilom pokazywać, czym

MAREK JAŚKIEWICZ

się zajmują żołnierze. Jak, według Pana, w praktyce wychodzi nam ten dualizm?

To dość trudne zadanie. Żołnierze zapewne oczekują formuły bardziej specjalistycznej, podczas gdy odbiorca cywilny chce się po prostu dowiedzieć, co dzieje się w wojsku i jakie problemy ma nasza armia. Trudno to pogodzić.

Ale jeśli prasa branżowa chce utrzymać się na rynku, musi chyba sprostać temu zadaniu?

Pojęcie prasy branżowej uważam za dwudziestowieczną zaszłość. W polskiej tradycji dotyczyła ona przede wszystkim branż gospodarczych, np. cukrownictwa. W dwudziestolecie międzywojennym mieliśmy zatrzęsienie takich czasopism. Oddzielną kategorią jest natomiast prasa specjalistyczna, w której pisze się o sprawach fachowych. Na przykład wydawany dzisiaj periodyk „Rzeźnik Polski” jest przykładem czasopisma specjalistycznego branży mięsnej. Używając takiej terminologii, „Polską Zbrojną” zaliczyłbym do grupy czasopism specjalistycznych zajmujących się szeroko rozumianą tematyką wojskową.

Dzieli Pan prasę na branżową i specjalistyczną?

W nowszych typologiach funkcjonuje podział na czasopisma o treści ogólnej oraz czasopisma o treści specjalnej. Ta druga kategoria jest dość pojemna, mieści pisma adresowane do różnych grup zawodowych, środowisk branżowych czy hobbistycznych. W tej grupie są gazety o jeszcze większej specjalizacji, np. wśród czasopism wojskowych znajdują się tytuły kierowane tylko do lekarzy czy kwatermistrzów.

Jak daleko sięgają tradycje czasopiśmiennictwa wojskowego?

Ten rodzaj wydawnictw pojawił się jeszcze przed powstaniem prasy periodycznej. Dzieje prasy wojskowej w Polsce zaczynają się w XVI wieku od druków ulotnych, które przygotowywano w obozach wojskowych. Gdy Stefan Batory szedł na Moskwę, tłoczył w swoich obozach takie pisma, niektóre ilustrowane drzeworytami. Pod koniec XVIII wieku było też kilka prób wydawania czasopism wojskowych, z których najciekawszym była „Dekada Legionowa”, pismo Legionów Polskich we Włoszech pod redakcją Cypriana Godebskiego. Za czasów Królestwa Polskiego natomiast gen. Ignacy Prądzyński próbował wydawać „Bellonę”, ale nie zgodził się na to Wielki Książę Konstanty. W okresie zaborowej niewoli nie mieliśmy polskiej armii, ale kiedy odrodziła się ona po 1918 roku, nastąpił gwałtowny i wielokierunkowy rozwój prasy wojskowej: od czasopism

*Wydawana
od 1921 roku
„Polska Zbrojna”,
początkowo z myślą
o podoficerach
i oficerach WP,
stała się wkrótce
opiniotwórczym
dziennikiem
czytany zarówno
przez wojskowych,
jak i cywilów*



społeczno-historycznych po specjalistyczne, jak „Lekarz Wojskowy”, który wychodzi do dziś.

Według „Centralnego katalogu czasopism wojskowych” w latach 1918–1939 ukazywało się 288 czasopism wydawanych przez instytucje i organizacje wojskowe (na 531 wychodzących wówczas specjalistycznych tytułów). Skąd tak duża ich liczba?

Taka była reakcja na odzyskanie przez Polskę niepodległości oraz na odrodzenie polskiej armii osławionej zwycięstwem roku 1920 w wojnie z bolszewikami. Rodził się mit wojska, instytucji bez skazy, stojącej ponad politycznymi podziałami. Wtedy też pojawiło się społeczne zainteresowanie armią. Wydawana od 1921 roku „Polska Zbrojna”, początkowo z myślą o podoficerach i oficerach Wojska Polskiego, stała się wkrótce opiniotwórczym dziennikiem czytany zarówno przez wojskowych, jak i cywilów.





MAREK JAŚKIEWICZ

Fachowe periodyki wojskowe były wówczas wydawane pod patronatem szefów poszczególnych rodzajów broni, departamentów lub dowództw i podlegały pierwszemu wiceministrowi spraw wojskowych. Szef instytucji wydającej pismo był odpowiedzialny za jego kierunek, poziom, sprawy administracyjne oraz przestrzeganie tajemnicy wojskowej. W skład komitetów redakcyjnych wchodził oficerowie danego rodzaju broni i nikt nie krytykował takiej zależności.

Prasa stricte wojskowa zawsze była zależna, bo jest częścią struktur sił zbrojnych. Duża część czasopism o treści specjalnej jest uzależniona, głównie finansowo, od dysponentów tej prasy, niekoniecznie od wydawców – np. „Zawód: Architekt” jest oficjalnym czasopismem Izby Architektów RP, która je finansuje. Zespół dziennikarski czuje się zatem zobowiązany, aby realizować te cele, które stawia przed nim dysponent.

Czy znaczenie prasy specjalistycznej rośnie?

Ten segment prasy zalicza się do najbardziej stabilnych. Z jednej strony jest dysponent, który wspiera pismo finansowo, a z drugiej – ta prasa ma stałych czytelników, których liczbę jest łatwo oszacować. Kiedy w latach trzydziestych XX wieku doszło do załamania gospodarczego, jedynie prasa specjalistyczna i tabloidy przetrwały kryzys bez większych strat. Warto podkreślić, że pisma specjalistyczne pełniły i nadal pełnią funkcję nie tylko informacyjną, lecz także edukacyjną – wobec szerszej publiczności oraz grupy zawodowej, do której są skierowane. Przez lata był to jedyny środek podnoszenia poziomu wiedzy społeczeństwa i komunikowania się z odbiorcą.

**„Polskę Zbrojną”
zaliczyłbym
do grupy
czasopism
specjalistycznych
zajmujących się
szeroko rozumianą
tematyką wojskową**

Jakie znaczenie dla żołnierzy miała w dwudziestolecie międzywojennym „Polska Zbrojna”?

Odradzała się wówczas armia, co zwiększało stopień identyfikacji czytelników z gazetą. Żołnierze, czytając o tym, jak rozwijają się siły zbrojne, mieli większą motywację do służby. Wśród ludności cywilnej rósł zaś kult wojska, który narodził się po powrocie Józefa Piłsudskiego do kraju, a jeszcze bardziej nasilił po wygranej wojnie z Rosją. W społeczeństwie istniała wtedy potrzeba silnej identyfikacji z wojskiem.

W jaki sposób prasa wojskowa trafiała wówczas do czytelników?

Podstawową formą kolportażu prasy w dwudziestolecie była prenumerata. W ten sposób rozchodziło się 60–70% nakładu. Sprzedaż kioskowa miała marginalne znaczenie, a w kolportażu ulicznym były bulwarówki. Funkcjonował także pochodzący z XIX wieku zwyczaj nabywania bieżących i archiwalnych egzemplarzy w siedzibie redakcji lub administracji wydawnictwa.

Czasy PRL-u wycisnęły jednak piętno na prasie specjalistycznej...

Prasa wojskowa odrodziła się wraz z powstaniem 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Potem praktycznie wszystkie dywizje miały własne gazety. Od 1945 roku do wyborów w styczniu 1947 prasa wojskowa nawiązywała jeszcze do tradycji międzywojnia, chociażby tytułami, bo np. „Polska Zbrojna” dopiero w 1950 roku zmieniła nazwę na „Żołnierz Wolności” i stała się dziennikiem. Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych to okres stalinizmu, wtedy zerwano z tradycją i dorobkiem międzywojnia i budowano nowy system prasy wojskowej, wzorowany na systemie radzieckim z jednym centralnym organem prasowym. Na rynku był więc praktycznie jeden tytuł, którego prawie cały nakład przekazywano do jednostek.

Nasza gazeta miała wówczas inny cel niż ten, który jej przyświecał w momencie powstania.

Cel był wybitnie propagandowy. Miała ona propagować dogmaty ideologiczne, nieustannie pisano o wiodącej roli PZPR, sojuszu Wojska Polskiego z Armią Radziecką oraz armiami innych bratnich krajów. Ta propaganda objęła także inne media. W PRL-u wszystkie cywilne tytuły były podporządkowane odpowiednim wydziałom Komitetu Centralnego PZPR, a prasa wojskowa podlegała Głównemu Zarządowi Politycznemu Wojska Polskiego. Stamtąd szła wszelka inspiracja, ale główne przesłanie ideologiczne dla wszystkich ówczesnych mediów było takie samo.

Na kolejne zmiany czekaliśmy do 1989 roku, gdy na rynku wydawniczym zaszła największa rewolucja. Czy także w segmencie prasy wojskowej?

Najważniejszą zmianą była likwidacja Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”, pod względem liczby wydawanych tytułów największego koncernu na świecie, który u schyłku swojej działalności administrował 280 tytułami dzienników i czasopism. Zniesiono cenzurę i dotychczasowe wymogi dotyczące wydawania gazet – koncesje zostały zastąpione

zgłoszeniami. Chociaż zmieniły się realia polityczne, prasa wojskowa w pewien sposób nadal była sterowana przez struktury dowódcze. Dla tego okresu charakterystyczna jest większa różnorodność formalno-tematyczna prasy wojskowej, pojawiły się czasopisma dla hobbystów zainteresowanych armią. Wtedy rozpoczął się także proces urynkwienia prasy. Zaczęły się ukazywać artykuły nie tylko inspirowane przez struktury wojskowe, lecz także wynikające z funkcjonowania rynku, który był najlepszym weryfikatorem oczekiwań czytelników. Ta różnorodność prasy specjalistycznej pozostała do dziś.

Internet jednak trochę zmienił prasę specjalistyczną...

Obok prasy tradycyjnej powstały e-wydania, pojawiło się wiele stron dla zainteresowanych specjalistycznymi tematami. Dziś niemal wszystkie dziedziny aktywności społecznej mają w sieci swoje odzwierciedlenie w portalach, wortalach specjalistycznych oraz mediach społecznościowych. Media zmierzają w kierunku połączenia informacji, treści edukacyjnych z pewną dozą rozrywki. Prasa specjalistyczna w swojej formie upodabnia się do tytułów z pozostałych segmentów rynku prasowego. Jest redagowana żywiej, operuje krótkimi formami wypowiedzi oraz szeroką gamą ilustracji.

Jak widzi Pan przyszłość prasy specjalistycznej?

W tym wypadku jestem optymistą. Ten segment rynku funkcjonuje od wielu lat i nadal będzie funkcjonował. Niezależnie od typu nośnika ten rodzaj czasopism jest potrzebny. Jest to prasa środowiskowa, a środowiska żyją swoimi problemami i mają potrzebę konfrontowania z innymi własnych opinii i oczekiwań. Nie sposób ustalić dokładnej liczby realnie wydawanych współcześnie periodyków o treści specjalnej. Według jednego z szacunków, obecnie wychodzi około 150 tytułów prasy branżowej, które są poświęcone różnym gałęziom przemysłu, rolnictwu, gastronomii czy nieruchomościom. Wykaz ten nie obejmuje jednak prasy wojskowej ani innych czasopism specjalistycznych. Można jednak przyjąć, że ta część rynku prasowego pod względem liczby tytułów i zróżnicowania tematycznego dominuje i w najbliższym czasie ta tendencja się utrzyma. ■

Dr hab. ANDRZEJ KOZIEŁ jest historykiem mediów i medioznawcą, pracownikiem naukowym na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego.

95
LAT

ZOFIA KUNERT

Stoczył piękną walkę

Przez całe życie Jerzemu Ślaskiemu towarzyszyła dewiza, którą niechętnie powtarzał, a której był wierny: „Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem”.

Wychowanek Korpusu Kadetów nr 1 im. Marszałka Józefa Piłsudskiego we Lwowie, podchorąży Armii Krajowej „Nieczuja”, żołnierz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, więzień stalinowski, kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, bezkompromisowy dziennikarz, wnikliwy badacz historii, przecierający szlaki badaniom nad licznymi białymi plamami w najnowszych dziejach Polski. Naczelnny redaktor odrodzonej „Polski Zbrojnej”, którą stworzył na gruzach niechlubnej pamięci „Żołnierza Wolności”.

WOJENNE LOSY

Zawsze wierny sobie, kadetom, żołnierzom AK i żołnierzom wyklętym. Swoją wojskową życiorys zaczął zapisywać jako 12-letni uczeń Korpusu Kadetów we Lwowie. Od marca 1942 roku działał w grupach szturmowych Szarych Siergów, a następnie w Kedywie Okręgu Warszawskiego AK Obwodu „Obroża”. Był żołnierzem pododdziału dywersji bojowej „Radość”, dowodzonego przez Feliksa Zarembę „Żmudzina”, i brał udział w akcjach zbrojnych i dywersji na linii otwoczek. Ukończył konspiracyjną szkołę podchorążych i jako kapral podchorąży używał pseudonimu „Nieczuja”.

W lipcu 1944 roku wraz z innymi żołnierzami AK podążającymi do Warszawy został podstępnie aresztowany przez Sowieców w okolicach Mińska Mazowieckiego i uwięziony w obozie na Majdanku. Później wcielono go do 1 Armii Wojska Polskiego, do 2 Samodzielnego Zmotoryzowanego Przeciwpancernego Batalionu Miotaczy Ognia. Walczył m.in. na przyczółku warecko-magnuszewskim.

W listopadzie 1944 roku, gdy jego batalion stacjonował na prawym brzegu Wisły w okolicach Jabłonny, został aresztowany przez NKWD i osadzony w obozie w Skrobowie koło Lubartowa. Znalazło się w nim około 500 żołnierzy 1 i 2 Armii WP o rodowodzie akowskim.

27 marca 1945 roku Jerzy Ślaski wraz z 47 podchorążymi i podoficerami AK dokonał brawurowej ucieczki z obozu. Większość zbiegów znalazła się w oddziale partyzanckim 15 Pułku Piechoty AK „Wilki” mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika”, działającego w podobwodzie Dęblin–Puławy, najpierw podporządkowanego Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj, a potem Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość”. W oddziale „Orlika” Jerzy Ślaski brał udział m.in. w uwolnieniu około stu więźniów z gmachu Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach w kwietniu 1945 roku.

Po pierwszej demobilizacji zgrupowania „Orlika” w sierpniu 1945 roku udał się do Trójmiasta, by przygotować dla żołnierzy poakowskiego podziemia trasy przerzutowe do Szwecji. We wrześniu został aresztowany i osadzony w Warszawie na Mokotowie, gdzie przebywał do grudnia 1946 roku.

ZASZCZYTNE DYMISJE

Po ujawnieniu się w 1947 roku rozpoczął pracę początkowo w redakcji „Dziennika Bałtyckiego” i „Wieczoru Wybrzeża”, a następnie w Bydgoszczy w „Ilustrowanym Kurierze Polskim”. Został aresztowany we wrześniu 1952 roku pod zarzutem obrażania na łamach tej gazety marszałka Konstantego Rokossowskiego. Po rocznej karze więzienia wyrzucono go z redakcji. Była to pierwsza z pięciu szaczących dymisji Jerzego Ślaskiego.

Ze stanowiska redaktora naczelnego został usunięty także w 1970 roku, tym razem chodziło o „Wrocławski Tygodnik Katolików” (po 12 latach pełnienia tej funkcji). To pismo w latach sześćdziesiątych XX wieku jako pierwsze zamieszczało – nieustannie zmagając się z cenzurą – artykuły o żołnierzach AK i wyklętych, chociaż sama nazwa tych ostatnich była wówczas zakazana. Nakład pisma wzrósł wtedy z 6 tys. do 50 tys. egzemplarzy.

Trzeci raz odwołano Jerzego Ślaskiego ze stanowiska po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku. Był wówczas redaktorem naczelnym „Słowa Powszechnego”, jednej z popularniejszych gazet wspierających działalność NSZZ „Solidarność”. Kolejna dymisja była już w okresie odrodzonej „Polski Zbrojnej”. W marcu 1992 roku taką decyzję podjął wiceminister Romuald

Szeremietiew. Publicznie zaproteutowało wtedy wielu historyków i dziennikarzy. Kilka miesięcy później, po zmianie rządu, redaktor naczelny jednak wrócił. Po raz piąty i ostatni został zdymisjonowany – formalnie na własną prośbę – w 1994 roku przez ówczesnego wiceministra obrony narodowej Jerzego Milewskiego. To był efekt nieporozumień między naczelnym redaktorem „Polski Zbrojnej” a jego zwierzchnikiem. Wówczas jeden z dziennikarzy napisał: „Nie będzie nic patetycznego w stwierdzeniu, iż wraz z odejściem twórcy »Polski Zbrojnej« został zamknięty pewien ważny rozdział w rozwoju wojskowego czasopiśmiennictwa i dziennikarstwa – wpisanie się prasy wojskowej w odmienną rzeczywistość

ustrojową i struktury nowej armii... Cywilny redaktor okazał się bardziej żołnierski od wielu mundurowych. Bo tak naprawdę kontynuował służbę, którą rozpoczął jako kadet w 1938 roku i nie z własnej winy przerwał”.

O PAMIĘĆ WYKŁĘTYCH

Przez całe życie towarzyszyła mu dewiza, którą niechętnie powtarzał, a której był wierny: „Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem”. Nigdy na nic się nie uskarżał i nigdy nie tracił czasu. W stanie wojennym stworzył dzieło swego życia, trytomową „Polskę walczącą”, wydaną po raz pierwszy w latach 1985–1986 przez Instytut Wydawniczy

„PAX”, wówczas jeszcze po ingerencji cenzury, potem dwukrotnie wznawianą. Ta trzymająca w napięciu epopeja losów Polaków w latach 1939–1945 ujawniła jego znakomity warsztat pisarski i stanowiła zuchwałe wyzwanie rzucone gronu zawodowych historyków. Osiągnęła łączny nakład ponad 100 tys. egzemplarzy.

W 1990 roku opublikował niezwykle ważną, pionierską pracę o dziejach obozu NKWD w Skrobowie (opisał w niej m.in. dzieje zbrojnego buntu i ucieczki więźniów), a w 1996 roku pierwszą książkę pod tytułem „Żołnierze wyklęci”. Później był to powszechnie używany termin. „Napisanie tej książki uważałem za swój obowiązek wobec moich towarzyszy broni z tamtych lat”, zaznaczył we wstępie. O pamięć o nich walczył uparcie przez dziesięciolecia.

Nigdy nie czuł się emerytem. Wspierał swym piórem, doświadczeniem i wiedzą Światowy Związek Żołnierzy AK, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. Pod koniec życia zaangażował się w prace wydawnicze związane z upamiętnieniem korpusu kadetów. Był autorem obszernego wstępu do „Księgi pamięci kadetów



ŚWIATOWY ZWIĄZEK ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ OD 2008 ROKU PRZYZNAJE NAGRODĘ IM. JERZEGO ŚLASKIEGO ZA UPOWSZECHNIANIE WIEDZY O POLSKIM PAŃSTWIE PODZIEMNYM



ARCHIWUM „POLSKI ZBROJNEJ”

Dla tych, którzy znali Jerzego Ślaskiego (pierwszy z prawej), był niezawodnym przyjacielem, wspianiałym szefem i niedoścignionym mistrzem. Redakcja gazety codziennej „Polska Zbrojna”, 1991 rok.

II Rzeczypospolitej”. Zmarł w lutym 2002 roku w Warszawie, w wieku 76 lat.

PRZYWRÓCIŁ ARMIE NARODOWI

We wspomnieniu pośmiertnym „Redaktor Jerzy”, opublikowanym na łamach „Polski Zbrojnej” 3 marca 2002 roku, Bronisław Komorowski pisał m.in.: „Do Jerzego Ślaskiego zwróciłem się, gdy jako wiceminister obrony narodowej szukałem nowego naczelnego dla codziennej gazety wojska. Propozycja została przyjęta od razu. Później Jerzy Ślaski przyznał się, że zareagował jak stary koń kawalerski na dźwięk wojskowej trąbki wzywającej do szarży [pierwszy numer odrodzonej »Polski Zbrojnej« ukazał się 12 października 1990 roku]. To Jerzy Ślaski był pomysłodawcą nowego tytułu gazety nawiązującej wprost do tradycji przedwojennych i współautorem nowej linii pisma”.

Janusz Grochowski we wspomnieniu „Dobry nauczyciel” tak z kolei pisał o swoim przełożonym: „Sterty papierów, zalegające Jego biurko. »Szczotki« kolumn »Polski Zbrojnej«, nad którymi śleczął do późnych godzin wieczornych, poprawiając nawet przecinki. Setki maszynopisów czekających na druk. Wybierał z nich najlepsze, przede wszystkim odkrywające te fragmenty najnowszych dziejów narodowych, które przez dziesiątki lat jako wstydlive albo nieprawomyślne były starannie skrywane przed opinią publiczną. Redaktor Jerzy Ślaski zrobił dla Wojska Polskiego więcej niż niejeden minister, niż wielu generałów. Swoje credo, któremu był zawsze wierny, wytyczające zarazem – w praktyce do dziś – linię programową odtworzonej przez Niego »Polski Zbrojnej«, zawarł w głośnym wstępniaku »Przywrócić armię narodowi«. Już sam tytuł uznano za obrazoburczy”.

Słowa Jerzego Ślaskiego w znacznym stopniu wyjaśniają ówczesne oburzenie: „»Polska Zbrojna« – taki tytuł zobowiązuje. Była to bowiem dobra gazeta. Zasłużenie cieszyła się renomą, odgrywała ważną rolę opiniodawczą, głos publikujących w niej dziennikarzy liczył się w Polsce międzywojennej. Zakończyła swą służbę w scenerii godnej gazety wojskowej: w huku dział, w dymie i ogniu zacieklej bitwy. Ostatni numer ukazał się w środę 20 września 1939 roku w oblężonej stolicy, w trzynastym dniu boju o Warszawę. Gwoli ścisłości trzeba dodać, że dziennik pod tym tytułem ukazywał się również w pierwszym okresie powojennym, od stycznia roku 1945 do lipca 1950 roku. A jakie było (wówczas) wojsko, taka jego gazeta. Pragniemy wydawać gazetę zupełnie nową. Zgodnie z tradycją armii II Rzeczypospolitej chcemy, aby była apolityczna. W tym mianowicie sensie, że nie będzie stroną w jakimkolwiek sporze natury politycznej, wyrazicielem określonej opcji, trybuną określonego stronnictwa czy ugrupowania. (...) Chodzi o sprawę nieporównywalnie większą i ważniejszą niż sukces czy porażka nowej gazety, których ostatnio sporo powstaje: o przywrócenie armii narodowi” („Polska Zbrojna”, 12–14 października 1990 roku).

Dla tych, którzy go znali, był niezawodnym przyjacielem, wspianiałym szefem i niedoścignionym mistrzem. Parafrazując słowa św. Pawła z „Listu do Tymoteusza”, którymi Jerzy Ślaski rozpoczął swoje dzieło o Polsce Walczącej, należałoby o nim powiedzieć: „Stoczył piękną walkę, bieg ukończył, wiary dochował”.

ZOFIA KUNERT jest starszym kustoszem Ośrodka Informacji Naukowej Centralnej Biblioteki Wojskowej, autorką wielu filmów dokumentalnych.

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

PONIEWAŻ ŻYLI PRAWEM WILKA,
HISTORIA O NICH GŁUCHO MILCZY
ZBIGNIEW HERBERT

W HOŁDZIE ŻOŁNIERZOM WYKŁĘTYM

HISTORIA ROJA

CZYLI W ZIEMI LEPIEJ SŁYCHAĆ

W REŻYSERII JERZEGO ZALEWSKIEGO

JUŻ NA DVD



DEMOTYWATORY.PL

Polska Zbrojna

FILMWEB

RZECZY

HISTORIA

wprost

TADEUSZ WRÓBEL

Resortowe imperium prasowe

Prasa wojskowa wydawana przez ministerstwo obrony istnieje w niemal każdym państwie mającym armię.

Wojskowe czasopisma wydawane przez ministerstwo obrony są bardzo powszechne na światowym rynku. Oprócz tytułu wiodącego, traktowanego jako oficjalny organ resortu, własne wydawnictwa mają m.in. rodzaje sił zbrojnych i wojskowe instytuty naukowe. Oczywiście liczba tytułów i wielkość nakładów są zróżnicowane, na co ma wpływ m.in. liczebność sił zbrojnych. Poza tym ukazują się, podobnie jak w Polsce, pisma specjalistyczne niezwiązane z resortem. Wydawcy prywatni zajmują się głównie techniką wojskową i przemysłem zbrojeniowym, bo ta tematyka wzbudza zainteresowanie czytelników cywilnych bardziej niż codzienne sprawy żołnierzy.

PISMA CENTRALNE

Zwykle jednak istnieje jedno główne pismo resortowe. Może to być gazeta codzienna, jak „Krasnaja Zwiezda” w Rosji. Wychodząca od 1 stycznia 1924 roku, wcześniej była organem ministerstwa obrony Związku Sowieckiego. Podobnie jest w Chinach, gdzie wydawany jest „Jiěfāngjūn Bào”, czyli „Dziennik Armii Ludowo-Wyzwoleńczej”, i Stanach Zjednoczonych, gdzie od 1861 roku istnieje dziennik „Stars and Stripes”. W mniejszych państwach są to najczęściej miesięczniki, jak „Armées d’Aujourd’hui” we Francji, „Revista Española de Defensa” w Hiszpanii, „Jornal do Exército” w Portugalii. Z kolei w Niemczech ministerstwo obrony wydaje tygodnik „Bundeswehr aktuell”, a oprócz tego jest pismo „Y – das Magazin der Bundeswehr”. W Czechach resort obrony ma miesięcznik „A report”, a na Węgrzech – „Magyar Honvéd”.

Centralne czasopisma podejmują z reguły bieżące tematy, dotyczące aktywności sił zbrojnych, zachodzących w nich zmian, wprowadzanego uzbrojenia, ale też nie brakuje w nich materiałów historycznych i sportowych.

Oficjalna prasa raczej afirmuje działania wojska niż je krytykuje, kreuje jego pozytywny obraz w społeczeństwie.

Jeśli chodzi o zawartość tematyczną, bywa ona bardzo różnorodna. W podwójnym numerze z lipca i sierpnia tego roku francuskiego „Armées d’Aujourd’hui” znalazły się m.in. materiały o misji wojskowej w Mali, udziale żołnierzy w akcji ratowniczej podczas powodzi oraz o ratownictwie morskim. Aż trzy artykuły poświęcono defiladzie z okazji przypadającego 14 lipca święta narodowego Francji (w tym roku obchodzono setną rocznicę pierwszej defilady). W jednym z nich opisano „maszerujące” co roku przez Pola Elizejskie zwierzęta. W „Armées d’Aujourd’hui” znalazły się też materiały poświęcone historii i sportowi wojskowemu, a także krótkie newsy dotyczące sił zbrojnych.

Hiszpański miesięcznik „Revista Española de Defensa” publikuje znacznie dłuższe materiały w porównaniu z pismem francuskim. Tegoroczny numer wrześniowy otwiera artykuł poświęcony sytuacji na Bliskim Wschodzie i walce z tzw. Państwem Islamskim. Trzy inne teksty dotyczą misji zagranicznych, m.in. w Republice Środkowoafrykańskiej. Kolejny materiał poświęcono kwestiom związanym z polityką obronną Unii Europejskiej. Tematyki krajowej dotyczyły artykuły o nowym okręcie podwodnym typu S-80, 50-leciu jedynej dziś w armii hiszpańskiej brygady pancernej i kompanii czołgów piechoty morskiej. We wrześniowym numerze znalazły się też teksty o sytuacji politycznej Tajlandii oraz historyczny – o wystawie poświęconej Miguelowi de Cervantesowi i je-





go czasem, na której wyeksponowano również żołnierski wątek w biografii autora powieści o Don Kichocie.

MAGAZYN WYENETRZNE

Bardzo liczne są pisma wydawane przez poszczególne rodzaje sił zbrojnych lub formacje. We Francji marynarka wojenna ma „Cols Bleus”, które od 2014 roku jest miesięcznikiem, wojska lądowe – „Terre Information Magazine”, a siły powietrzne – „Air Actualités”. Własny miesięcznik „Képi blanc” ma Legia Cudzoziemska. Po drugiej stronie kanału La Manche wychodzi miesięcznik

„Soldier” dla armii brytyjskiej. Bardzo długą tradycję, ponad stuletnią, mają pisma wydawane przez włoski resort obrony. Siłami morskimi zajmują się „Rivista marittima” i „Notiziario Della Marina”, wojskami lądowymi „Rivista Militare”, a lotnictwem „Rivista Aeronautica”. W Hiszpanii sumptem resortu obrony wychodzą „Revista Ejército” dla wojsk lądowych, „Revista de Aeronáutica y Astronáutica” dla lotnictwa, „Revista General de Marina” dla marynarki wojennej, „Boletín de Infantería de Marina” dla piechoty morskiej i „Alabarda” dotycząca Gwardii Królewskiej. W Szwecji jest wydawany m.in. kwartalnik „Tidningen Hemvärnet”, skierowany do czytelników służących w obronie terytorialnej.

W Stanach Zjednoczonych istnieją oficjalne magazyny: „Soldiers” wojsk lądowych, „Airman” sił powietrznych i „All Hands” marynarki wojennej. Oprócz nich są półoficjalne pisma, które wydają stowarzyszenia związane z poszczególnymi rodzajami sił zbrojnych. I tak, organizacja związana z Korpusem Piechoty Morskiej przejęła „Leatherneck. Magazine of the Marines”. W przeszłości był to oficjalny magazyn korpusu, z którego wydawania resort obrony zrezygnował w 1972 roku. Do tego samego wydawcy należy również „Marine Corps Gazette”. Podobna organizacja powiązana z lotnictwem rozpowszechnia miesięcznik „Air Force Magazine”. Stowarzyszenie wojsk lądowych jest zaś wydawcą „Army Magazine”, a związane z marynarką wojenną – „AUSN Navy Magazine”.

W porównaniu z pismami centralnymi, te poświęcone rodzajom sił zbrojnych zwykle podejmują na swych łamach tematykę ich dotyczącą, ale zdarzają się też wyjątki. W drugim tegorocznym numerze włoskiego pisma „Rivista militare” obok publikacji o przyszłości rodzimych i niemieckich wojsk lądowych znalazły się materiały dotyczące chociażby tzw. Państwa Islamskiego i Al-Kaidy, kryzysu strefy Schengen, chińskiej białej księgi obronności, sytuacji w Libanie oraz relacji Włochy–NATO. Z kolei we wrześniowym numerze „Revista de Aeronáutica y Astronáutica” podjęto m.in. temat przyszłości lotnictwa bombowego US Air Force oraz lotnictwa szkolnego, pisano też o używanych na świecie samolotach i dorocznym zlocie maszyn wojskowych Tiger Meet. ■

ARMIA

/ NA CELOWNIKU

REWIZJA PRIORYTETÓW

Z Antonim Macierewiczem

**o zmianach w planach modernizacji technicznej i zadaniach
dla obrony terytorialnej rozmawiają Izabela Borańska-
-Chmielewska, Anna Putkiewicz i Tadeusz Wróbel.**

MICHAŁ NIWICZ





MICHAŁ NIWICZ

Jak Pan ocenia ofertę przemysłu zbrojeniowego dla wojska, którą zaprezentowano na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach?

Wysoko. Począwszy od bojowych bezzałogowców, przez moździerze Rak, haubice Krab, system zmechanizowany pola walki, środki łączności, po ofertę poznańskiego WZMot-u i Bumaru. Wszystko to są produkty najwyższej klasy.

Dlaczego dokonano zmian w programie modernizacji technicznej naszych sił zbrojnych w latach 2013–2022?

Program w dotychczasowym kształcie nie odpowiadał realnym możliwościom budżetów naszego państwa i armii, i – jak się wydaje – nikt na poważnie nie zamierzał go realizować. Drugim powodem była konieczność rewizji priorytetów związana ze zmianą sytuacji geopolitycznej, co zresztą powinno być zrobione dużo wcześniej. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że oprócz programów średnio- i długoterminowych należy w perspektywie roku lub półtora dokonać zmiany krótkoterminowych zamierzeń modernizacyjnych w związku z bieżącymi zagrożeniami,

które Polska musi być zdolna odeprzeć. Z tym wiąże się też przeniesienie części środków finansowych na utworzenie i wyposażenie wojsk obrony terytorialnej.

Są jednak rozbieżności w poglądach na uzbrojenie wojsk obrony terytorialnej...

Pragnę podkreślić, że ta formacja nie ma być milicją, a tym bardziej piątym kołem u wozu dla wojsk operacyjnych. Te jednostki mają być zdolne do sparaliżowania planów prowadzenia przeciwko nam wojny hybrydowej, czyli np. przeciwdziałać operacjom specnazu. Dlatego muszą one mieć broń przeciwpancerną i przeciwlotniczą krótkiego zasięgu. W batalionach WOT będą również pododdziały do prowadzenia działań cybernetycznych. Zrobimy wszystko, aby obrona terytorialna była traktowana przez potencjalnego przeciwnika jako realna siła.

Zapowiadał Pan też zwiększenie liczebności Wojska Polskiego na czas P. Czy te plany są aktualne?

Chciałbym, aby już w 2017 roku armia powiększyła się do 130 tys. żołnierzy, a w następnym do 150 tys. Uważam, że jest



*Chcemy wzmocnić
Polską Grupę
Zbrojeniową, tak
by stała się istot-
nym narzędziem
kształtowania pol-
skiego przemysłu
zbrojeniowego
i zaopatrzenia
polskiej armii*

to minimum. Do wykonania tych planów jednak potrzeba środków finansowych.

Czy dlatego przedstawiciele przemysłu obronnego obawiają się, że zwiększenie liczebności armii ograniczy pulę pieniędzy przeznaczonych na zakupy uzbrojenia i sprzętu wojskowego?

Tak nie będzie, ale mogą nastąpić cięcia w niektórych programach modernizacyjnych, które nie przyniosą szybkich efektów. Niestety, ciągle zdarzają się prace badawczo-rozwojowe, które są prowadzone tylko po to, aby istniały, a nie dały efekt w postaci konkretnego produktu. Po latach zastoju rozstrzygnęliśmy np. sprawę BMS-u, systemu zarządzania polem walki.

Prywatne firmy zajmujące się przemysłem obronnym obawiają się, że preferowanie w kontraktach zbrojeniowych podmiotów państwowych będzie miało negatywny wpływ na ich funkcjonowanie. Czy resort obrony bierze pod uwagę przyszłą współpracę z tą częścią sektora obronnego?

Poważnie traktujemy firmy prywatne, które, jak chociażby WB Electronics, dysponują znaczącym potencjałem intelektualnym i produkcyjnym oraz mają wyrobioną markę na świecie. Innym przykładem może być specjalizująca się w produkcji systemów maskowania firma Miranda. Oczywiście chcemy wzmocnić →

Polską Grupę Zbrojeniową, tak by stała się istotnym narzędziem kształtowania polskiego przemysłu zbrojeniowego i zaopatrzenia polskiej armii. Państwo ma prawo dysponować takim potencjałem. Nie zapominamy jednak o prywatnych firmach produkujących wysokiej jakości sprzęt i widzimy w nich partnerów. Dlatego jednoznacznie pragnę zdementować wszelkie sugestie, że jesteśmy przeciwnikami prywatnych przedsiębiorstw zbrojeniowych.

Który sektor uzbrojenia będzie zatem uznany za priorytetowy?

Zagrożenie ze strony lotnictwa i wojsk raketowych powoduje, że będzie to obrona powietrzna. To jest dla nas zadanie numer jeden.

W Kielcach poinformował Pan, że MON wystosowało do rządu USA zapytanie ofertowe w sprawie zestawów obrony powietrznej Patriot. Co ostatecznie zdecydowało na korzyść oferty firmy Raytheon?

To jedyny sprawdzony system. A my nie powinniśmy eksperymentować. Ale rozmawiamy wciąż z Lockheedem Martinem o systemie MEADS. Ostateczną decyzję chcę podjąć w najbliższych miesiącach.

Co się jeszcze zmieniło w planach modernizacji technicznej?

Jednym z priorytetów jest system Homar, który zwiększy nasze możliwości rażenia przeciwnika. Kolejny to bezzałogowce. Konieczne było przeniesienie na te systemy ciężaru wydatków. I choć rozumiem potrzebę modernizacji i uzupełnienia floty śmigłowców, nie wydaje mi się, by zakup maszyn wielozadaniowych był absolutnym priorytetem w naszych wydatkach obronnych.

W jakich innych obszarach przewiduje Pan zmiany?

W programie modernizacji marynarki wojennej, bo do tej pory był on mało realny. A dowodem na to jest chociażby przedłużająca się budowa „Ślązaka”. Myślę, że w tym wypadku po prostu źle określono rolę Morza Bałtyckiego w polskim systemie militarnym.

Co zatem powinno się zmienić w wyposażeniu marynarki?

Najważniejsze jest, w przypadku funkcji obronnej, uzupełnienie nadbrzeżnego systemu raketowego. Pociski NSM to skuteczna broń, a po modyfikacji zasięgu mogą zapewnić bezpieczeństwo polskiemu wybrzeżom. Z drugiej strony, kluczową sprawą jest wyposażenie



MICHAŁ NIEWICZ

Teza, że polskie państwo nie przetrwa bez armii, jest całkowicie zasadna

zenie polskiej marynarki wojennej w okręty podwodne mające zdolność do działań ofensywnych, czyli dysponujące pociskami raketowymi dużego zasięgu, które mogłyby być użyte do powstrzymania przeciwnika w razie niespodziewanej agresji na Polskę. Z tym wiąże się istotne przekonfigurowanie planu modernizacyjnego.

Czy to oznacza, że zrezygnujemy z budowy niektórych typów okrętów nawodnych? Które z nich zostały wykreślone z planów?

Wcześniejsze programy budowy nowych jednostek muszą zostać ograniczone, ale będą kontynuowane.

A co z modernizacją morskiego lotnictwa? Czy przewiduje się zakup następców Mi-14, czyli śmigłowców do zwalczania okrętów podwodnych?

Tak, choć szukamy także innych rozwiązań.

W polskich warunkach kluczowe znaczenie mają wojska lądowe. Na co mogą one liczyć w kwestii modernizacji technicznej?

Tu kluczową sprawą jest nowy czołg. Podjęliśmy już rozmowy z Francją i Niemcami na temat wspólnej budowy wozu nowej generacji.

Po doświadczeniach z podwoziem dla kraba również do opracowania nowego bojowego wozu piechoty będzie potrzebny partner zagraniczny.

Z pewnością będzie potrzebna licencja. Najbliżej byliśmy podjęcia współpracy z Turcją, ale ostatecznej decyzji nie ma.

Wróćmy do obrony terytorialnej. Podobno planuje się w tej dziedzinie współpracę z aeroklubami.

Państwo zainwestowało w aerokluby bardzo duże środki finansowe i ma prawo skorzystać z ich zasobów na potrzeby obronności. Chcemy zatem, aby wchodzące w skład obrony terytorialnej jednostki lotnicze, które będą miały samoloty stanowiące własność MON-u, mogły korzystać na uprzywilejowanych zasadach z infrastruktury aeroklubów i ich systemów szkolenia.

A co z dawno nieużywanymi lotniskami i drogowymi odcinkami lotniskowymi, które od lat są zaniebawiane?

Niektóre lotniska będą modernizowane. Chcemy m.in. przywrócić funkcjonowanie tego w Nowym Mieście nad Pilicą. To jest znakomicie zlokalizowany duży kompleks z bardzo długim pasem startowym. Zamierzamy również modernizować DOL-e oraz skorzystać z możliwości, jakie daje Radom.

Jednym z wyzwań, które przed nami stoją, jest zakup nowych samolotów wielozadaniowych, które zastąpią maszyny Su-22 i MiG-29.

Stoimy w tym przypadku przed dwoma problemami. Pierwszym, o którym najczęściej się mówi, jest zakup nowych samolotów. Bezsporna jest kwestia powiększenia floty myśliwców F-16 – w grę wchodzi zarówno samoloty używane, jak i nowe. Drugi problem, moim zdaniem pilniejszy, to konieczność zwiększenia liczby pilotów. Obecny system szkolenia jest niewydolny i trzeba go zmienić. Zanim kupimy myśliwce, musimy mieć pilotów, którzy będą mogli zasiąść za ich sterami.

Szkolenie przyszłych pilotów odrzutowców i zakup nowych myśliwców są zatem ważniejsze niż kontrakt śmigłowcowy.

Chodzi oczywiście o śmigłowce wielozadaniowe, bo uderzeniowe są niezbędne...

Podzielam tę opinię. Dlatego będzie kontynuowany program Kruk.

W październiku rozpoczął się nowy rok akademicki. Jakie zmiany czekają Akademię Sztuki Wojennej? Niektórzy się obawiają, że reforma jest tylko pretekstem do wymiany kadr.

Wymiana kadr jest bardzo ważną sprawą, ale reforma nie jest pretekstem do takich działań. Niemniej jednak nie chciałbym odżegnywać się od konieczności zmian personalnych. Niedopuszczalne jest, aby przyszłe kadry Wojska Polskiego były kształtowane przez osoby o takim zasobie intelektualno-moralnym, jak generałowie wywodzący się z Wojskowej Służby Wewnętrznej. Nie zbudujemy armii na doświadczeniach WSW. Żyjemy w zupełnie innej rzeczywistości politycznej. Matka polskich uczelni wojskowych, czyli ASW, musi stać się prawdziwą akademią wojskową, a nie taką, w której kształtowanie wojska i oficerów jest drugorzędnym zadaniem w stosunku do kształcenia cywilów. Dla mnie jest to absolutne nieporozumienie. Poza tym to musi być miejsce, gdzie dochodzi do wymiany myśli i tworzą się podstawowe kierunki naukowe na najwyższym światowym poziomie. Nie rozumiem, dlaczego w Akademii Obrony Narodowej nigdy nie organizowano kursów, które prowadziliby tacy ludzie, jak John Lenczowski z The Institute of World Politics w Waszyngtonie czy brytyjski generał sir Richard Shirreff, autor książki „2017: War with Russia”, w której analizuje m.in. podstawy strategiczno-taktycznych relacji między NATO a Rosją. Autor opisuje tam potencjalną wojnę z Rosją, w której w ogóle nie bierze się pod uwagę udziału Polski. To świadczy o tym, że nie uczestniczyliśmy w światowej myśli strategicznej i taktycznej. Gdyby generał miał okazję wykładać w Akademii, jego wizja wyglądałaby nieco inaczej, uwzględniłby w niej Polskę. AON była poza tym dyskursem, w którym powinni brać udział kadra i studenci.

W tę kwestię wpisuje się zainicjowany przez prof. Fałkowskiego projekt „Katedry ad hoc”. Czy będą jeszcze inne inicjatywy mające na celu sprowadzanie wykładowców z zagranicy, np. byłych wojskowych pochodzenia polskiego? Czy takie wzmacnianie kadr dotyczy tylko Akademii Sztuki Wojennej? →

Młodzi ludzie mają świadomość wagi historii. Tylko trzeba co najwyżej przekazać Polakom prawdziwą wiedzę faktograficzną, bo emocjonalnie społeczeństwo jest nastawione pozytywnie pod tym względem

Zgadzam się co do takiej potrzeby, ale nie będzie to łatwe. Aby ściągnąć te osoby do pracy w Polsce, trzeba stworzyć im warunki ponadnormatywne z polskiego punktu widzenia. Będziemy jednak sprowadzać do nas wykładowców polskiego pochodzenia, zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych, także przedstawicieli armii sojuszniczych. Z tego co wiem, takie działania podjął już rektor-komendant szkoły we Wrocławiu.

Jest Pan pierwszym ministrem obrony od lat, który równorzędnie traktuje działania na rzecz systemu obronnego i historię czy wychowanie patriotyczne. Jakich efektów się Pan spodziewa?

Ministrem obrony jestem od jesieni ubiegłego roku, ale problematyką obronną zajmuję się od kilkadziesiąt lat, a teza, że polskie państwo nie przetrwa bez armii, jest całkowicie zasadna. Polska musi mieć armię, która będzie mogła obronić własne terytorium, tak jak potrafią to np. siły zbrojne Wielkiej Brytanii, Izraela czy Turcji; choć oczywiście w razie dłuższego konfliktu potrzebują one wsparcia USA i NATO. Podobnie jak te kraje, musimy mieć zdolności obronne, które pozwolą nam utrzymać się do czasu nadejścia pomocy ze strony sojuszników. To jest fundament polskiej myśli politycznej. Kto tego nie rozumie, nie rozumie niczego z polskiej rzeczywistości. A w stosunku do wielu innych narodów mamy taki handicap, że dysponujemy wielkim potencjałem ludnościowym, mamy prawie 40 milionów mieszkańców i wspaniałe tradycje wojskowe, które są głęboko zakorzenione w myśleniu polskiej młodzieży i całego społeczeństwa. Poza tym, ze względu na pewne problemy społeczno-gospodarcze, nowoczesna, silna, patriotyczna i dobrze wyposażona

armia daje młodym ludziom szansę wielkiego awansu materialnego i zawodowego. To są przesłanki do tego, by Polska miała silne wojsko. A to, co mną kieruje, to jest dążenie do zbudowania takiej armii, która będzie miała realne możliwości, by w razie potrzeby obronić Polskę.

Polityka historyczna w Pana wizji jest tak istotna dlatego, że jest jedną z płaszczyzn, na której u młodych ludzi powinien być budowany wizerunek wojska polskiego.

Ale młodzi mają świadomość wagi historii. Tylko trzeba co najwyżej przekazać Polakom prawdziwą wiedzę faktograficzną, bo emocjonalnie społeczeństwo jest nastawione pozytywnie pod tym względem. W przeszłości włożono wiele pracy propagandowej, by te emocje zagłuszyć, ale na szczęście to się nie udało. W ostatnich latach z kolei bardzo intensywnie starano się zniechęcić Polaków do armii. To również się nie udało, bo wiadomo, że Polska, która nie będzie miała silnej armii, najpierw będzie marginalizowana, a potem zostanie zniszczona. Jeżeli ktoś chce, żeby nasz kraj zachował niepodległość, musi chcieć silnej armii. Jakie są konsekwencje jej braku, przekonaliśmy się w XVIII wieku. Niestety, nasi przodkowie zrozumieli to zbyt późno i nie do końca. ■

ANTONI MACIEREWICZ od listopada 2015 roku jest ministrem obrony narodowej. Wcześniej pełnił m.in. funkcję ministra spraw wewnętrznych w rządzie premiera Jana Olszewskiego. Był też sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej w rządzie premiera Jarosława Kaczyńskiego.

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

10
DZIAŁÓW
O SZKOLE-
NIU I TAK-
TYCENĄ
WSPÓŁCZE-
SNYM POLU
WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



KRZYSZTOF WILEWSKI

Bydgoscy łącznicy

**Ponad rok temu powstały jednostki integracji sił NATO.
Sprawdzamy, jak polska NFIU jest przygotowana do działania.**

Dla postronnego obserwatora ćwiczenia „Brilliant Jump '16” nie wyróżniały się niczym szczególnym na tle innych wielonarodowych manewrów natowskich. Ot, do jednego z krajów, w tym wypadku Polski, drogą powietrzną, morską i lądową przerzucano niecałe 2,5 tys. żołnierzy z trzech państw – Hiszpanii, Wielkiej Brytanii oraz Albanii.

Tyle że trzon tych sił stanowiła elitarna jednostka hiszpańskich sił lądowych, brygada Galicia, której żołnierze są wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt tamtejszej armii – niszczyce czołgów Centauro i odporne na wybuchy min pojazdy typu MRAP RG-31, a także nieco starsze bojowe wozy piechoty VEC M-1 oraz transportery BMR-M1. Wbrew pozorom, nie były to jednak zwyczajne ćwiczenia, lecz sprawdzenie gotowości bojowej już drugiej zmiany zreformowanych Sił Odpowiedzi NATO, czyli sił zadaniowych bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF).

PIERWSZY SPRAWDZIAN

Zgodnie z postanowieniem ze szczytu w Newport „Plan działań na rzecz gotowości”, aby VJTF oraz siły do użycia w dalszej kolejności (Initial Follow-On Forces Group – IFFG) mogły sprawnie wykonywać swoje zadania, zostały utworzone specjalne jednostki (NATO Force Integration Unit – NFIU). Najpierw powstały one w sześciu państwach – Polsce, Litwie, Łotwie, Estonii, Rumunii i Bułgarii, a do końca przyszłego roku mają osiągnąć gotowość operacyjną kolejne, na Węgrzech i Słowacji.

Dla działającej od 1 września 2015 roku polskiej NFIU ćwiczenia „Brilliant Jump '16” były sprawdza-

nem, czy jednostka osiągnęła już pełną gotowość do działania. „Choć wiosną mieliśmy bardzo wysoki stopień ukończenia, bo przekraczający 90%, to przygotowanie tych manewrów było dla nas ogromnym wyzwaniem, testowaliśmy przecież pionierską strukturę NATO”, wyjaśnia płk Artur Bogowicz, dowodzący polską NFIU.

Oficer zwraca jednak uwagę, że choć NATO do tej pory nie miało w swoich strukturach takich jednostek, to mogło wykonywać zadania związane z przemieszczeniem sił. Nowe struktury powstały po to, by robić to szybciej i sprawniej. I chociaż zadania NFIU wydają się zbieżne z tymi, za które są odpowiedzialne struktury Host Nation Support, czyli wsparcia państwa gospodarza, oficerowie służący w nowych jednostkach bardziej przypominają żołnierzy łącznikowo-doradczych niż logistyków pilnujących, aby dostarczyć sojusznikom wodę, paliwo czy amunicję.

NA SZCZYCIE W WARSZAWIE NATO PODJĘŁO DECYZJĘ O ZNACZĄCYM ZWIĘKSZENIU OBECNOŚCI NA WSCHODNIEJ ŚCIANIE. DLA OFICERÓW SŁUŻĄCYCH W NFIU JEST JASNE, ŻE TO IM ZOSTANIE POWIERZONYCH SPORO ZADAŃ ZWIĄZANYCH Z OBECNOŚCIĄ W TYM MIEJSCU

TAJEMNICZY „UNIT”

Płk Bogowicz zauważa, że od pierwszego dnia istnienia NFIU najważniejszym zadaniem było zbudowanie w strukturach polskiej armii świadomości, do czego służy nowa natowska jednostka. „Bardzo myląca okazała się sama nazwa – NATO Force Integration Unit. Ostatnie słowo, czyli »jednostka«, wiele osób, nie tylko wojskowych, ale i urzędników, rozumiało dosłownie. Zakładano więc, że jesteśmy taką samą strukturą, jak każda inna jednostka wojskowa w Polsce, batalion, brygada, pułk”. Bogowicz podkreśla, że NFIU jest elementem łącznikowo-koordynacyjnym pozbawionym jakichkolwiek funkcji dowodzenia, a państwa sojuszu północnoatlantyckiego, tworząc dwa lata temu na potrzeby zre-





RAFAŁ MNIEDŁO / ITLDK PANC

WIELKA PIĄTKA

Zgodnie z dokumentami doktrynalnymi NATO (ACO 080-104 z 9 sierpnia 2016 r.), NFIU mają wykonywać pięć głównych zadań. Pierwszym jest wsparcie przemieszczenia sił i środków VJTF oraz IFFG; drugie to podtrzymanie sił i środków VJTF i IFFG na terenie kraju; trzecie – wsparcie VJTF i IFFG w planowaniu operacji; czwarte – wsparcie szkoleń armii państw NATO organizowanych na terenie naszego kraju; piąte to planowanie, przemieszczanie i utrzymanie sił NATO (wszelkiego typu) w trakcie operacji związanych z katastrofami naturalnymi.

KOMENTARZ



**MIROSŁAW
RÓŻAŃSKI**

Chociaż NFIU w Bydgoszczy funkcjonuje zaledwie od roku, to ma już za sobą dwa poważne sprawdziany gotowości do działania: udział w ćwiczeniach „Brilliant Jump '16” i „Anakonda '16”. Rolę i znaczenie polskiej NFIU podkreślają również nasi sojusznicy, a w trakcie „Anakondy” o bydgoskiej jednostce w podobnym tonie mówił dowódca Wojsk Lądowych USA w Europie gen. broni Frederick Hodges. Komórki organizacyjne Dowództwa Generalnego RSZ i nasze jednostki, a w szczególności Zarząd Planowania Logistycznego J4 oraz Szefostwo Transportu i Ruchu Wojsk, ściśle współpracują z NFIU, przede wszystkim w czasie ćwiczeń i szkoleń z wojskami sojuszniczymi, podczas których Polska wypełnia zadania wynikające z roli państwa gospodarza.

W czasie najważniejszych tegorocznych ćwiczeń w Szefostwie Transportu i Ruchu Wojsk pracowali oficerowie łącznikowi oddelegowani z NFIU. Sprawdziło się to, bo ich obecność znacznie poprawiła przepływ informacji oraz koordynację transportu i ruchu wojsk na terenie kraju. Kluczową rolę dla NFIU przewidują także podczas najważniejszego ćwiczenia taktycznego z wojskami „Dragon '17”.

Gen. broni Miroslaw Różański jest dowódcą generalnym rodzajów sił zbrojnych.

formowanych sił szybkiego reagowania sieć jednostek łącznikowo-koordynacyjnych, chciały przede wszystkim przyspieszyć proces planowania oraz usprawnić wymianę informacji. Polska NFIU jest więc dla naszych sojuszników platformą do komunikowania się z Siłami Zbrojnymi RP.

WIELONARODOWY TEAM

Ćwiczenia „Brilliant Jump '16” pokazały, że bydgoska NFIU, w której oprócz Polaków służą żołnierze z Belgii, Bułgarii, Czech, Niemiec, Włoch, Holandii, Chorwacji, Portugalii, Rumunii, Słowenii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki, jest w pełni gotowa do działania. „To jest profesjonalny zespół, który opanował wszystkie procedury i potrafi znaleźć rozwiązania, nawet gdy ich nie ma”, chwali swoich podwładnych płk Bogowicz.

Tak wysoki poziom można było osiągnąć dlatego, że zarówno Polska, dla której utworzenie NFIU było sprawą prestiżową, jak i te kraje, które dobrowolnie przystąpiły do tej inicjatywy (i tym samym zgodziły się pokrywać z własnych środków, a nie natowskich, koszty poby-

tu, czyli nie tylko wypłacać pensję, lecz także finansować opłaty za mieszkania lub domy, szkoły dla dzieci oraz składki na ubezpieczenie zdrowotne), oddelegowały tutaj doświadczonych fachowców.

I nie jest tak, jak mogłoby się wydawać, że w Bydgoszczy przede wszystkim znaleźli się Amerykanie. „Stany Zjednoczone chciały obsadzić tutaj trzy stanowiska”, wyjaśnia płk Bogowicz. „O najwięcej, bo aż o cztery, poprosili nasi zachodni sąsiedzi, Niemcy, i to oni są najliczniejszą zagraniczną grupą w naszej jednostce”.

PRZYSZŁOŚĆ

Na szczycie w Warszawie NATO podjęło decyzję o znaczącym zwiększeniu obecności na wschodniej ścianie. Dla oficerów służących w NFIU jest jasne, że to im zostanie powierzonych sporo zadań związanych z obecnością w tym miejscu. Dopóki jednak nie zapadną ostateczne decyzje polityczne i wojskowe w ich sprawie, np. dotyczące dokładnej lokalizacji natowskich grup batalionowych oraz tego, jaką strukturę – szczebel powinno przyjąć ich dowództwo, dopóty są to tylko plany. ■



WARSAW SECURITY FORUM 26 - 28 PAŹDZIERNIKA 2016

Warsaw. Security starts here.



[WarsawForum](#) [@WarsawForum](#) WarsawSecurityForum.org



KADR
/ ĆWICZENIA

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Szkoła walki

Wzbijając tumany kurzu, siedemdziesięcotonowe abramsy prą naprzód. Dowódca nagle je zatrzymuje i kieruje do walki drugi rzut grupy bojowej na bradleyach.





BOGUSŁAW POLITOWSKI



AMERYKAŃSKIM ŻOŁNIERZOM SPODOBAŁO SIĘ NA ŻAGAŃSKIM POLIGONIE. MÓWILI, ŻE IM TRUDNIEJSZY TEREN ĆWICZEŃ, TYM WIĘCEJ MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ...

Pas ćwiczeń taktycznych w rejonie Wzgórza Prezydenckiego żagańskiego poligonu zamienił się w pole walki. Kilka kilometrów od trybuny honorowej co jakiś czas pojawiają się figury bojowe imitujące siły przeciwnika. Od strony lasu do natarcia ruszają czołgi. Siedemdziesięciotonowe abramsy, wzbijając tumany kurzu, prą naprzód. W jednym z wozów dowódca kompanii kpt. Colin Baggs obserwuje przedpole. Po trwającej kilkadziesiąt minut wymianie ognia zatrzymuje maszyny. Przed nim kilka bardzo umocnionych obiektów i dalszy atak grozi utratą pojazdów. W głośnikach radiostacji słychać wydawane rozkazy. Amerykański dowódca kieruje do walki drugi rzut swojej grupy bojowej. Wtedy ruszają bradleye. Na lewym skrzydle po wertepach mkną bojowe wozy piechoty. Plutony zmechanizowane docierają w pobliże silnie bronionych obiektów. Na ekranie monitorów, pokazujących obraz z drona krążącego w powietrzu, widać, jak z wozów wyskakują żołnierze i ruszają do ataku na budynki. Słychać głośną kanonadę z broni maszynowej. Po kilkudziesięciu minutach strzały milkną. Obiekty zostały zdobyte. Abramsy znów

mogły ruszyć naprzód i przełamać obronę agresora.

Ten epizod bojowy był jednym z wielu wykonywanych na wspólnym polsko-amerykańskim szkoleniu, które od początku lipca do połowy września odbywało się na poligonie w okolicach Świętoszowa. W ćwiczeniach brały udział amerykańska grupa bojowa Dark Knights w sile kompanii z 3 Amerykańskiej Dywizji Piechoty oraz pluton zmechanizowany z 10 Dywizji Kawalerii Pancernej, którym dowodził por. Łukasz Stelmasiak.

Żołnierze zza oceanu przyjechali jako heavy detachment do Świętoszowa tuż po zakończeniu manewrów „Anakonda '16”. Grupa bojowa Amerykanów liczyła stu żołnierzy i składała się z dwóch plutonów pancernych wyposażonych w dziesięć czołgów Abrams M1 i jednego plutonu zmechanizowanego, działającego z wykorzystaniem ośmiu transporterów opancerzonych typu Bradley z elementami wsparcia i komponentem logistycznym. Po dwumiesięcznym szkoleniu z Polakami przygotowali sprzęt do przerzutu i w połowie września transportem kolejowym opuścili Polskę. Ich miejsce na polskim poligonie koło Żagania zajęła niemiecka kompania pancerna. ■





Podczas wspólnego szkolenia nikt nie dominował. Była efektywna współpraca. Żołnierze jednej i drugiej armii uczyli się od siebie...



BOGUSŁAW POLITOWSKI (4)

**ST. SIERŻ. MARK MARTIN Z POBYTU
W POLSCE NAJDŁUŻEJ ZAPAMIĘTA
UDZIAŁ W DEFILADZIE Z OKAZJI
ŚWIĘTA WOJSKA POLSKIEGO**

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

SZEŚĆ MIL DO RAJU

**W ciągu niespełna dwóch miesięcy namierzyli 11 łodzi,
w których do Europy próbowało się przedostać
około 300 nielegalnych imigrantów
– fregata ORP „Gen. T. Kościuszko” zakończyła misję
w natowskim zespole okrętów SNMG2.**



Na Malcie załoga oddała
hołd marynarzom
z ORP „Kujawiak”, którzy
w czasie II wojny
światowej polegli
w okolicach tej wyspy.





MARTA CUTAJAR

Lódź wypatrzili w środku nocy. Wystarczył rzut oka, by przekonać się, że jej pasażerowie balansują na krawędzi katastrofy. Chwilę później informacja o nich popłynęła do Grecji i Turcji. Świtało, kiedy statek greckiej straży przybrzeżnej zaczął przyjmować na pokład kolejnych nielegalnych imigrantów: pierwszego, drugiego, dziesiątego... W kilkumetrowym pontonie, pozbawionym jakichkolwiek świateł nawigacyjnych, płynęło w kierunku Lesbos 44 mieszkańców Bliskiego Wschodu. Wśród nich 13 kobiet i dwoje dzieci. Wszyscy trafili do obozu dla uchodźców, który powstał na wyspie. Stamtąd, na mocy międzynarodowych umów, mieli zostać deportowani do Turcji. Takich nocy, jak wspominają marynarze z ORP „Gen. T. Kościuszko”, było znacznie więcej. Fregata zakończyła właśnie dwumiesięczną misję na południu Europy. Dla polskiej marynarki jedną z najdelikatniejszych i najważniejszych w ostatnich latach.

HARMIDER NA SZESNASTYM

O tym, że Polska włączy się w rozwiązywanie kryzysu migracyjnego na południu Europy, mówiło się od wielu miesięcy. W maju minister obrony Antoni Macierewicz, na spotkaniu ze swoim greckim odpowiednikiem Panosem Kammenosem, przyznał: „Jesteśmy absolutnie zdecydowani współdziałać z Grecją. Pomagać na tyle, na ile to możliwe w tej bardzo trudnej sytuacji”. Wówczas stało się jasne, że polska marynarka wojenna wyśle na Morze Egejskie jeden ze swoich najlepszych okrętów – fregatę rakietową ORP „Gen. T. Kościuszko”, wspomaganą przez śmigłowiec pokładowy SH-2G oraz pododdział morskich komandosów z Formozy. Polacy mieli dołączyć do SNMG2 (Standing NATO Maritime Group 2), czyli operującego w tamtym rejonie natowskiego zespołu dużych okrętów i wraz z nim przez dwa miesiące patrolować wody grecko-tureckiego pogranicza. To tamtędy dociera do Europy fala imigrantów. „Nie idziemy tam, by zawracać ich łodzi. Mamy prowadzić obserwację, a zdobyte wiadomości przekazywać greckiej i tureckiej straży przybrzeżnej oraz Frontexowi, czyli unijnej policji. Jeśli życie imigrantów będzie w niebezpieczeństwie, pospieszymy z pomocą”, zapewniał kmr por. Maciej Matuszewski, dowódca ORP „Gen. T. Kościuszko”.

Przygotowania do misji ruszyły jeszcze w marcu, krótko po tym, jak fregata wróciła z manewrów „Cold Response” na północy Norwegii. „Okręt stanął w stoczni, gdzie zostały przeprowadzone drobne naprawy i przeglądy. Jednocześnie marynarze z naszej załogi przechodzili niezbędne badania oraz szczepienia”, opowiadał kmr por. Matuszewski. Do misji sposobili się też lotnicy. „Ćwiczyliśmy na przykład strzelanie z karabinu pokładowego, zarówno na lądowym poligonie w Nadarzacach, jak i nad morzem”, tłumaczył por. Krzysztof Rak, nawigator SH-2G.



Polscy marynarze na misje w południowej części Europy wyruszyli już wcześniej. Wystarczy wspomnieć, że w natowskim zespole dużych okrętów dwukrotnie służyła inna fregata – ORP „Gen. K. Pułaski”. Wraz ze śmigłowcem pokładowym brała ona udział w operacji „Active Endeavour”, mającej zapobiec przemytowi ludzi i broni. „Wśród naszej załogi są marynarze, którzy byli wówczas na pokładzie »Pułaskiego«. Możemy skorzystać z ich doświadczeń”, podkreśla dowódca „Kościszki”. I dodawał, że Morze Śródziemne czy Egejskie to rejon specyficzny. „Przykładem niech będzie łączność. W naszej części świata panuje dyscyplina, kanał 16. jest wykorzystywany wyłącznie wtedy, gdy jednostka potrzebuje pomocy. Tymczasem po przekroczeniu Gibraltaru w eterze zwykle rozpoczyna się nieprawdopodobny harmider. I trzeba sobie jakoś z tym radzić”, zaznaczał kmr por. Matuszewski. Do tego dochodzą jeszcze nawigacja wśród należących do Grecji niezliczonych wysp i wysepek, zróżnicowane podejścia do portów, tłok panujący w cieśninie Bosfor. Niby wszystko wiadomo, a jednak... Ta misja miała być wyjątkowa.

ORP „Gen. T. Kościuszko” opuścił Gdynię pod koniec czerwca. 5 lipca oficjalnie dołączył do SNMG2. „Misja została podzielona na dwie części. Pierwsza z nich wiązała się z przejściem na Morze Czarne i udziałem w dwóch dużych ćwiczeniach”, wyjaśnia kmr por. Matuszewski.

Na dzień dobry Polacy dołączyli do manewrów „Sea Shield '16”, w których były reprezentowane siły morskie Rumunii, Bułgarii, Turcji i Kanady. Fregata i śmigłowiec wykonywały zadania zwalczania okrętów podwodnych (ZOP). Innymi słowy: toczyły symulowaną walkę z okrętem podwodnym. „Naszym przeciwnikiem była turecka jednostka typu 209”, wspomina kpt. mar. Piotr Jaszczura, który na pokładzie „Kościszki” odpowiada za tego rodzaju działania. Większości załogi manewry przyniosły całkiem nowe doświadczenia. „Morze Czarne ma inną hydrologię niż Bałtyk, w dodatku głębokości są tutaj nieporównywalnie większe. Z reguły wynoszą one po kilkaset metrów”, informuje kpt. mar. Jaszczura. Polskim marynarzom i lotnikom kilkakrotnie udało się w stosunkowo krótkim czasie namierzyć turecki okręt. Po wykryciu nieprzyjaciela mieli okazję przeciwiczyć atak torpedowy. „Pod względem skuteczności byliśmy wyróżniającą się jednostką”, przyznaje kpt. mar. Jaszczura.

Tymczasem SH-2G współpracował nie tylko z macierzystym okrętem. Zadania ZOP załoga wykonywała też z fregatami HMCS „Charlottetown” z Kanady oraz ROS „Regina Maria” z Rumunii, prowadziła też rozpoznanie wskazanego akwenu razem z rumuńskim śmigłowcem Puma. Ważnym elementem ćwiczeń były starty i lądowania z obcych pokładów. W trakcie dwumiesięcznej misji polski śmigłowiec zameldował się choćby na niemieckiej fregacie

FGS „Karlsruhe” i hiszpańskiej EPS „Mendes Nunes”. „Takie operacje często różnią się trochę od tych, które wykonujemy na co dzień”, przyznaje por. Rak. „Na »Reginie Marii« na przykład do lądowiska podchodzi się od strony rufy, podczas gdy do naszej fregaty zbliżamy się od burty”.

„Sea Shield” upłynęły pod znakiem pięciu dni intensywnych ćwiczeń. Potem krótka przerwa w porcie Konstancja i znów w morze – tym razem na manewry „Sea Breeze '16”. „To historyczne wydarzenie”, podkreślał kmr Andrew Hingston, dowódca grupy zadaniowej zespołu SNMG2. Okręty NATO działały bowiem burtą w burtę z jednostkami ukraińskimi. W dodatku do współpracy doszło w miejscu, które po rosyjskiej aneksji Krymu urosło do rangi jednego z najbardziej zapalnych punktów świata. „Rosjanie obserwowali nas bardzo pilnie, ale unikali prowokacji”, wspomina kmr por. Matuszewski. Sojusznicze manewry stanowiły jednak zaledwie przygrywkę do najważniejszej części misji.

REJS W CIEMNOŚCIACH

Sześć mil morskich. Taki dystans dzieli wybrzeże Turcji od północnych krańców wyspy Lesbos. Europejskich przywódców ten ciasny przesmyk od długich miesięcy przyprawia o ból głowy, podczas gdy w nielegalnych imigrantach wywołuje nadzieję: raj, o którym marzą, wydaje się przecież na wyciągnięcie ręki. Nadzieja szybko jednak może się przerodzić w rozpacz.

„Imigranci na morze wyruszają w łodziach, którymi można by wyprawić się co najwyżej na jezioro, by powędrować. W dodatku jednostki te są skrajnie przepełnione”, podkreśla kmr por. Matuszewski. „W czasie misji zdarzyło nam się namierzyć łódź, na której było miejsce dla kilku osób, a podróżowało nią ponad 60 pasażerów”. Jakby tego było mało, imigranci najczęściej starają się dostać do Grecji pod osłoną ciemności. Aby zrobić to niepostrzeżenie, nie używają żadnych świateł. „Patrolując tamten rejon, zwykle musieliśmy korzystać z urządzeń termowizyjnych i noktowizorów”, wspomina kmr ppor. Robert Legiędź, oficer operacyjny na pokładzie ORP „Gen. T. Kościuszko”. Sprawę dodatkowo komplikował zakaz używania śmigłowca, i to bez względu na porę dnia. „Akwen, na którym wykonywaliśmy zadania, to terytorium sporne między Grecją a Turcją. Trzeba się po nim poruszać z naprawdę dużym wyczuciem”, podkreśla kmr ppor. Legiędź.

Wokół Lesbos działało sporo jednostek straży przybrzeżnej oraz niewielkich okrętów należących do marynarek wojennych obydwu państw. Mimo to łodzie z imigrantami zwykle wykrywał właśnie ORP „Gen. T. Kościuszko”. Marynarze szacują, że było tak nawet w 80% przypadków. „To kwestia sprzętu, wyszkolenia załogi, zdolności do ciągłego prowadzenia obserwacji”, wylicza kmr ppor. Legiędź. Fre-



OKRĘT PRZEBYŁ DYSTANS 12,5 TYS. MIL MORSKICH. ŚMIGŁOWIEC SPĘDZIŁ W POWIETRZU BLISKO STO GODZIN

gata nie zbliżała się do obserwowanych łodzi, lecz naprowadzała na nie Greków, Turków czy Frontex. „Potem dowiadaliśmy się, że w trakcie zatrzymań imigranci zachowywali się spokojnie. Byli zrezygnowani, pogodzeni z losem”, opowiada kmdr por. Matuszewski.

Na misji jednak nie wszystko przebiega według utartego schematu. „Zdarzyło się, że jeden z przeprowadzających się do Grecji mężczyzn na widok jednostki straży przybrzeżnej wyskoczył do wody. Akcja poszukiwawcza, w której braliśmy udział, trwała całą noc. Na szczęście udało się uratować temu człowiekowi życie”, wspomina kmdr por. Matuszewski. Do poważniejszych incydentów nie doszło, choć – jak przyznają sami marynarze – kiedy się działa w miejscach trawionych przez kryzys, a wojny toczą się dosłownie za rogiem, należy być przygotowanym właściwie na wszystko. I dlatego na pokładzie jest oddział komandosów. To właśnie oni mieli zapewnić dodatkową ochronę okrętu.

W sumie podczas misji ORP „Gen. T. Kościuszko” wykrył 11 jednostek, w których znajdowało się około 300 nielegalnych imigrantów. Okręt przebył dystans 12,5 tys. mil morskich. Śmigłowiec spędził w powietrzu blisko sto godzin. Wykonał 134 operacje startów i lądowań na pokładach okrętów. „Zdobyliśmy mnóstwo cennych doświadczeń”, podkreśla kmdr por. Matuszewski i dodaje, że dotyczy to nie tylko działań na morzu. Misja bowiem miała też ważny wymiar dyplomatyczny.

„Odwiedziliśmy osiem portów, m.in. w Hiszpanii, we Włoszech, w Grecji czy Turcji. Braliśmy udział w przyjęciach dyplomatycznych organizowanych wspólnie z polskimi ambasadami. Na Malcie załoga oddała też hołd marynarzom z ORP »Kujawiak«, którzy »Kujawiak«, którzy w czasie II wojny światowej poległ w okolicach tej wyspy”, wylicza kmdr por. Matuszewski.

O polskich marynarzach stało się głośno, kiedy zaproponowali pomoc ofiarom katastrofy kolejowej na południu

Włoch. W zderzeniu dwóch pociągów nieopodal Bari zginęło prawie 30 osób, kilkadziesiąt kolejnych zostało rannych. Polacy zaoferowali, że oddadzą na rzecz poszkodowanych krew. Ostatecznie Włosi z tego nie skorzystali, ale i tak gest marynarzy doceniły tamtejsze media.

CZAS NA IKSA

Nabrzeże portu wojennego w Gdyni zaludniało się od wczesnego rana. Bliscy marynarzy pojawiali się z bukietami kwiatów, biało-czerwonymi chorągiewkami, spora część była wyposażona w aparaty fotograficzne. Kilkuletni Miłosz Skolimowski przyniósł kartkę papieru, na której jeszcze w domu wyrysował czerwone serce i napisał: „Witaj tato”. „Syna nie było przez dwa miesiące. I choć telefonował, to jednak nie to samo. Wszyscy jesteśmy już bardzo stęsknieni. A najgorsze są ostatnie chwile oczekiwania”, mówiła babcia chłopca. W główkach portu okręt pojawił się po dziewiątej rano. Przy dźwiękach orkiestry przybił do nabrzeża, po czym na pokład weszli inspektor marynarki wojennej i dowódca 3 Floty. Od dowódcy fregaty przyjęli meldunek o wykonaniu zadania. Był 16 września 2016 roku. Misja ORP „Gen. T. Kościuszko” na południu Europy dobiegła końca.

„Cieszę się, że okręt wyszedł, bez najmniejszej usterki wykonał wszystkie zadania i szczęśliwie wrócił do macierzystego portu. Zyskał wysokie oceny i uznanie naszych partnerów. Misję uważam za udaną”, podkreśla kadm. Mirosław Mordel, inspektor marynarki wojennej w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. „Niewykluczone, że nasze fregaty będą jeszcze wykonywały zadania na południu Europy”, dodaje. Wcześniej jednak wybierze się tam okręt dowodzenia ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki”. 1 stycznia przyszłego roku stanie on na czele Stałego Zespołu Sił Obrony Przeciwwinowej NATO numer 2. „Przygotowania do misji przebiegają zgodnie z planem”, zapewnia kontradmiral Mordel. ■

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Biegiem do gwiazdek

**Co siódmy z zarejestrowanych
kandydatów ma szansę zostać oficerem
obrony terytorialnej.**

Nabór ruszył wiosną. Do 30 czerwca w internetowej bazie Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu zarejestrowało się 894 kandydatów. Nie wszyscy zdecydowali się zrobić kolejny krok, czyli złożyć wniosek do dyrektora Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej (za pośrednictwem właściwego wojskowego komendanta uzupełnień) o przyjęcie do studium oficerskiego na rzecz wojsk obrony terytorialnej (OT). Do resortu wpłynęło 775 takich pism. Ci, którzy pozytywnie przeszli badania lekarskie i psychologiczne, mogli na początku września przystąpić do egzaminu. W tej grupie znaleźli się Olga i Łukasz, oboje po Akademii Wychowania Fizycznego, oboje wysportowani i zdeterminowani, aby włożyć mundur podporucznika. Przyjechali na egzamin razem, bo prywatnie są parą.

„Cieszy nas duże zainteresowanie, bo spośród tak wielu kandydatów wybierzemy najlepszych”, mówi mjr Piotr Szczepański z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych (WSOWL) we Wrocławiu i opisuje warunki, jakie muszą spełnić przyszli oficerowie wojsk obrony terytorialnej: muszą mieć tytuł magistra, polskie obywatelstwo, dobry stan zdrowia i nie mogą być karani. Jeśli spełnią te wymagania, czekają ich test z wiedzy obywatelskiej, sprawdzian z języka angielskiego oraz egzamin sprawnościowy, a na koniec – rozmowa kwalifikacyjna.

Pod koniec sierpnia długa lista kandydatów stopniała. Do egzaminu w WSOWL we Wrocławiu przystąpiło 375 osób. 31 sierpnia o 20 miejsc w studium rywalizowało 68 podoficerów służby czynnej, a przez kolejne cztery dni o 130 miejsc walczyli cywile.

Każdy ranek rozpoczynał się od rejestracji kandydatów i ich ostatecznej weryfikacji. Niektórzy dołączali brakujące do dokumentów dyplomy ukończenia studiów, inni –



**Olga została przyjęta
do studium oficerskiego.**



zaświadczenia o niekaralności. Kolejny etap to test z wiedzy obywatelskiej. „Ten sprawdzian nie dyskwalifikuje kandydata, ale pozwala zdobyć dodatkowe punkty”, tłumaczy ppłk Krzysztof Grabowski, przewodniczący uczelnianej komisji rekrutacyjnej. Przez 30 minut trzeba było odpowiedzieć na kilkadziesiąt pytań. Kto jest autorem polskiego hymnu? Kim był Józef Piłsudski? Jaki kaliber broni ma kbk AK? Anna oceniła je jako łatwe. Trudniej było na egzaminie z języka angielskiego. Płk Marek Bodziany, przewodniczący jednego z zespołów przeprowadzających rozmowy kwalifikacyjne, przyznaje, że prawidłowe odpowiedzi na sto pytań na poziomie podstawowym mogły dać kandydatowi sto punktów, tymczasem najlepszy wynik to 89.

OSTRA SELEKCJA

Po części teoretycznej – czas na sprawdzenie kondycji. Ten egzamin odbywa się więc w strojach sportowych. Mężczyźni muszą pokonać dystans 1000 m (w czasie minimum 3 min 40 s), co najmniej sześć razy podciągnąć się na drążku, zaliczyć bieg wahadłowy 10x10 m w czasie nie dłuższym niż 30,6 s oraz przepłynąć przez minutę 50 m. Panie musiały przebiec 800 m (3 min 50 s), pokonać bieg wahadłowy po kopercie (28 s), zwis na drążku (10 s) oraz 50 m na basenie (75 s). „Niespełnienie minimalnych wymogów, choćby



NIESPEŁNIENIE MINIMALNYCH WYMOGÓW, CHOĆBY W JEDNEJ KONKURENCJI, WYKLUCZA KANDYDATA

PIOTR SZCZEPAŃSKI / WSOWL (3)

w jednej konkurencji, wyklucza kandydata”, tłumaczy zasady egzaminu mjr Szczepański.

W szkolnej hali sportowej trwa egzamin z podciągania na drążku i biegu wahadłowego. Sito selekcji jest bardzo gęste, a egzaminatorzy bezlitośni. Do drążka podchodzą kolejni kandydaci. „Nie dotykaj nogami ziemi”, w czasie odliczania podciągnięć ostrzega płk Mirosław Doliński, kierownik Zakładu Wychowania Fizycznego i Sportu. Wyniki zapisuje na karcie egzaminacyjnej; 15, 5, 12, 21, 19 podciągnięć. Po dwóch dniach egzaminów pułkownik ocenia, że poziom jest zróżnicowany, a niektórzy odpadali z drążka nawet po jednym podciągnięciu. To ci, którzy przyjechali na rekonesans, żeby wrócić tu za rok. „Kandydaci na oficerów muszą być sprawni fizycznie, bo czeka ich intensywny 12-miesięczny kurs”, podkreśla płk Doliński. „Jak bez kondycji poradzą sobie na trwających cały dzień zajęciach z taktyki, gdy trzeba biegać

i czołgać się z całym oprzyrządowaniem?”, pyta. Po 12 miesiącach zostaną dowódcami plutonów i muszą być przykładem dla swoich podwładnych.

Drugą stronę sali gimnastycznej zajęły dziewczyny. „Trzymaj!”, krzyczy egzaminator konkurencji zwis na drążku. Mija 20, 30, 35 sekund. Dziewczyna zeskakuje. Podchodzi kolejna. Mijają zaledwie dwie sekundy, gdy daje za wygraną. „Jest pani nieprzygotowana, trzeba pokonać opór masy ciała. Przykro mi”, żegna kandydatkę. Jedna z kolejnych konkurencji rozgrywa się na odległym o kilkadziesiąt metrów stadionie. Tam czeka już egzaminator ze stoperem. „Biegnij, dasz radę!”, cały czas powtarzała sobie Olga, gdy po pierwszym okrążeniu stadionu poczuła, że słabnie. „Osiemset metrów to trudny dystans, ale się udało”, tłumaczy. Łukasz żałował, że wśród kolegów, z którymi biegł na tysiąc metrów, nie było lidera, który „pociągnąłby” grupę, a jego zmobilizował do większego wysiłku. Wtedy pewnie udałooby mu się osiągnąć lepszy wynik.

Na koniec przewidziano egzamin z pływania. Przed budynkiem, w którym mieści się basen, stoi kilku młodych mężczyzn. Z ich twarzy można wyczytać, że nie są zadowoleni z egzaminu. Krzysztof nie ukrywa rozgoryczenia. Okazał się o dwie sekundy za wolny w pływaniu, bo 50 m pokonał w 62 s. „Odpadłem i nie ma znaczenia, że umiem rysować mapy czy poruszać się w terenie”, mówi rozżalony. Jest znacznie starszy od większości kandydatów. „Trudno mi się z nimi dziś porównywać”, mówi i po chwili dodaje: „Piętnaście lat temu w biegu na 3 tys. m osiągałem czas poniżej 12 min”. Kandydatów, którym niewiele zabrakło do spełnienia minimalnych wymagań, ppłk Bodziany zachęca, by wrócili w przyszłym roku.

ROZMOWA Z KOMISJĄ

Jest późne popołudnie, gdy do budynku, gdzie będą prowadzone rozmowy kwalifikacyjne, wchodzi kolejne grupy kandydatów. Zamienili stroje sportowe na garnitury, garsonki lub dzinsy. Do ostatniego etapu dotrwali tylko ci, którzy zdali test z angielskiego i osiągnęli wymagane minimum w konkurencjach sportowych. Na schodach mijamy dużą grupę mężczyzn. Opuszczają budynek. To ci, którzy odpadli. Z 30-osobowego zespołu, do którego rano zostali przydzieleni Olga i Łukasz, do rozmowy z komisją zakwalifikowało się siedmioro kandydatów. Płk Krzysztof Grabowski wywołuje kolejnych z listy i zaprasza ich na rozmowę. Każdemu uważnie się przygląda, zwraca uwagę zarówno na predyspozycje, jak i motywacje. Zauważył, że sporo osób działa w organizacjach proobronnych.

Olga mogła podjąć pracę jako nauczycielka wychowania fizycznego, ale nie pociągała jej perspektywa zajęć w szkole. Gdy poszła na rozmowę w sprawie zatrudnienia do prywatnej firmy produkującej drukarki, właściciel zapytał, czy ➔

PO EGZAMINIE DO STUDIU OFICERSKIEGO NA POTRZEBY WOJSK OT PRZYJĘTO 92 OSOBY Z 375, KTÓRE SIĘ ZGŁOSIŁY

PIOTR SZCZEPANSKI / W S O W I
nie zamierza w najbliższym czasie zająć w ciężę. Teraz takie pytania nie padły. Komisja chciała wiedzieć, dlaczego Olga chce zostać żołnierzem. „Studiowałam bezpieczeństwo narodowe w Akademii Obrony Narodowej, zaliczyłam także turnus służby przygotowawczej. Teraz chcę wykorzystać zdobytą wiedzę w praktyce”, opowiada. Zdobyła 237 punktów. Została przyjęta. Łukasz jest mniej spięty niż podczas egzaminu z wychowania fizycznego. Z testu z języka angielskiego został zwolniony, bo ma certyfikat STANAG (natowskie świadectwo umiejętności językowych). Dobrze poradził sobie też z testem z wiedzy obywatelskiej. Chętnie mówi o sobie, choć w słowach jest dość oszczędny. „Dobraliśmy się na zasadzie przeciwieństw”, śmieje się rozgadana Olga. „Chcę się sprawdzić”, po chwili Łukasz odpowiada na pytanie, dlaczego postanowił zostać oficerem OT. Pochodzi z wojskowej rodziny, a teren wrocławskiej szkoły pamięta z zabaw w dzieciństwie – czasami zabierał go tam ojciec.

Ppłk Marek Bodziany dobrze ocenia kandydatów na podporuczników obrony terytorialnej. Twierdzi, że są świadomi różnic między wojskami operacyjnymi i OT. Dlaczego się zgłosili? Jednych motywuje fakt, że po kursie mają zagwarantowaną służbę w regionie swojego zamieszkania, inni widzą szanse rozwoju zawodowego, z kolei niektórzy dostrzegają zagrożenia płynące z wschodniej granicy. „Zauważam, że coraz więcej młodych ludzi identyfikuje się z Polską i przywiązuje dużą wagę do tożsamości narodowej”, mówi ppłk Bodziany. O patriotyzmie oraz o przywiązaniu do tradycji i kultury swego kraju jako motywacji, aby zostać żołnierzem, opowiada też Marcin, jeden z kandydatów. Zapewnia, że nie kierowały nim względy finansowe. Przystąpił do egzaminu, bo postanowił zamienić dobrze prosperującą firmę handlową na służbę w wojsku. Próbował dostać się do Formozy, ale nie przeszedł selekcji. Z egzaminów we Wrocławiu jest jednak zadowolony, bo dostał 40 punktów za rozmowę kwalifika-



cyjną. To sporo, bo maksymalna ich liczba wynosi 50, a średnia – około 20. Tylko kandydaci, którzy należą do jakiejś organizacji proobronnej lub mieszkają na wschodzie kraju, w województwach, w których zlokalizowano pierwsze brygady OT, dostają dziesięć punktów więcej.

NA WSCHODNIEJ GRANICY

Po egzaminie do studium oficerskiego na potrzeby wojsk OT przyjęto 92 osoby, w tym 26 kobiet, które od 3 października biorą udział w 12-miesięcznym szkoleniu. Pierwszy miesiąc tych zajęć to wojskowe abecadło, czyli regulaminy i musztra. Później dojdą zajęcia z taktyki, rozpoznania, topografii, łączności. Po roku ci młodzi ludzie staną się zalążkiem przyszłych kadr wojsk obrony terytorialnej: dostaną stopień podporucznika i zostaną dowódcami plutonów. Czym będą się zajmować? Wśród zadań stawianych przed żołnierzami obrony terytorialnej są m.in.: prowadzenie działań militarnych we współdziałaniu z wojskami operacyjnymi (w razie wybuchu konfliktu), ochrona ludności przed skutkami klęsk żywiołowych, ochrona mienia, akcje poszukiwawcze oraz ratownicze.

„Od dawna wiedziałam, że chcę zostać oficerem, nawet wtedy, gdy rozpoczęłam studia na AWF-ie. Łukasz myślał podobnie. Jego ojciec, który jest wojskowym, utwierdzał nas w przekonaniu, że to godna praca i nie będziemy żałować takiego wyboru”, opowiada Olga. „Rzucą nas pewnie gdzieś na wschodnią granicę, abyśmy szkolili szeregowych z obrony terytorialnej”, przewiduje Łukasz. ■



University of
LODZ



CHARLES
UNIVERSITY
IN PRAGUE



Event co-sponsored by NATO

INTERNATIONAL CONFERENCE

NATO TOWARDS THE CHALLENGES OF A CONTEMPORARY WORLD AFTER THE 2016 WARSAW SUMMIT

Paper proposals: 10 October 2016

15 - 16 November 2016
The European Institute
Ul. Piotrkowska 262
Lodz (Łódź), POLAND



More details at www.nato.uni.lodz.pl

HONORARY PATRONAGE



MAYOR OF THE CITY OF LODZ
Jerzy Zbogarzewski



ATLANTIC-COMMUNITY.ORG

The Open Think Tank on Foreign Policy



MEDIA PATRONAGE

Defence24 NAVAL FORCES
Security Military Industry INTERNATIONAL FORUM FOR MARITIME POWER

Polska Zbrojna

MILITARY
TECHNOLOGY

STOSUNKI
MIĘDZYNARODOWE

MILTECH MÖNCH
Verlagsgesellschaft mbH

CORAZ BLIŻEJ WOJSKA

Z chor. rez. Jackiem Klimankiem

**o problemach organizacji proobronnych i działaniach na rzecz
bezpieczeństwa kraju rozmawia Bogusław Politowski**

ObronaNarodowa.pl to grupa ludzi szukających mocnych wrażeń czy może raczej takich, którzy dążą do wyższych celów?

Jesteśmy organizacją, która od czasu powstania w 2010 roku ma jeden cel – doprowadzenie do rozpoczęcia funkcjonowania w kraju nowej obrony terytorialnej, czyli zupełnie innej niż ta, którą pamiętamy z ostatnich dekad XX wieku. Staramy się promować ten rodzaj sił zbrojnych, ale też wносить uwagi krytyczne. Zdecydowanie nie jesteśmy ludźmi szukającymi mocnych wrażeń. Zależy nam na bezpieczeństwie kraju i to jest najważniejsze.

Czy w ten sposób można scharakteryzować wszystkie inne organizacje paramilitarne? Jaka jest specyfika waszego stowarzyszenia?

Nie wszystkie organizacje podążają tą samą drogą. My jesteśmy otwarci na współpracę z tymi, które realizują program zbliżony z naszym lub do niego podobny. Ważny jest również tzw. target wiekowy. Staramy się trafiać do osób w wieku 25 lat i starszych, które najczęściej mają za sobą pierwsze doświadczenia zawodowe.

Tacy ludzie są już wstępnie ukształtowani i ustalili swoje priorytety. Oczywiście trafiają do nas też młodzi, ale praca

BOGUSŁAW POLITOWSKI

z nimi wygląda zupełnie inaczej. Jeśli jednak ktoś z nich wytrwa, zazwyczaj jest bardzo aktywnym członkiem naszego stowarzyszenia.

Ilu ludzi skupiacie w organizacji i z jakich środowisk oni pochodzą?

Ta liczba się zmienia z dnia na dzień, ale w przybliżeniu mamy od 800 do tysiąca aktywnie działających członków. Mowa oczywiście o osobach dorosłych, które w przyszłości chcą stać się żołnierzami – obywatelami zasilającymi wojsko obrony terytorialnej. Co do środowiska, z którego pochodzą, to śmiało można powiedzieć, że jest to przekrój całego społeczeństwa. Są wśród nas robotnicy, lekarze, handlowcy, biznesmeni, rezerwiści, żołnierze NSR-u, a nawet pilot cywilnych samolotów odrzutowych. Wszyscy stawiają na jakość i efektywność szkolenia, ponieważ przeznaczają na nie czas, który mogliby poświęcić na życie rodzinne czy rozwój zawodowy.

Przynależność do waszej organizacji jest dosyć kosztowna. Ile trzeba wydać, żeby być ubranym i wyposażonym jak Pan?

To jeden z większych problemów, z którymi borykają się nasi członkowie, i prawdopodobnie innych organizacji także. Jak na razie, za wyposażenie, umundurowanie oraz udział w szkoleniach każdy z nas płaci z własnej kieszeni, a są to niemałe kwoty. Przykładowo mundur i wyposażenie ze średniej półki to koszt około 1500 zł, broń pozbawiona cech użytkowych lub dobra replika to kolejne 1500 zł. Osoby, które chcą mieć broń palną, muszą też ponieść koszty uzyskania pozwolenia, jej zakupu oraz zabezpieczenia.

Czy widzi Pan potrzebę stworzenia np. federacji organizacji proobronnych, powołania gremium, które by reprezentowało środowisko ludzi takich jak Pan w kontaktach z wojskiem i władzą różnych szczebli?

Powstała już inicjowana przez gen. Bogusława Packa Federacja Organizacji Proobronnych, do której nie przystąpiliśmy. Jak czas pokazał, decyzja była słuszna, bo w tej chwili to już martwy byt. Koordynacją współpracy wszystkich organizacji proobronnych na terenie kraju zajmuje się utworzone w tym celu biuro w MON-ie. Nie wydaje się zatem, aby były potrzebne kolejne komórki administracyjne. Kontakty z wojskiem są natomiast możliwe dzięki już istniejącym przepisom. Organizacje mogą np. składać wnioski do planu współpracy na kolejny rok i, jak wynika z naszego doświadczenia, są one realizowane. Jako koordynator projektu LPOT [lekka piechota obrony terytorialnej] również złożyłem wnio-

sek o pomoc w organizacji szkolenia na rok 2017 i czekam na jego akceptację.

Czy dla organizacji proobronnych nastały złote czasy?

Może nie złote czasy, ale dobry okres na jeszcze lepsze działanie. Rzeczywiście, jeszcze kilka lat temu nasze plany i propozycje, którymi staraliśmy się zainteresować wojsko czy cywilne instytucje, były „wołaniem na puszczy”. Wszystko się zmieniło i przyspieszyło po kolejnych wyborach parlamentarnych.

Nie ma obaw, że przez takie organizacje jak wasza dostęp do broni i szkolenia prowadzonego przez dobrych specjalistów uzyskają ludzie działający z innych pobudek, członkowie grup przestępczych?

Jako organizacje cywilne nie mamy środków na weryfikację uczestników szkoleń, ale nie jesteśmy bezradni. U nas działalność w organizacji jest podzielona na rejony, a w tych z kolei są grupy czy też pododdziały przyporządkowane do powiatu, gminy czy miejscowości. W takich lokalnych skupiskach staramy się weryfikować, kto i po co stara się z nami szkolić. Oczywiście nie można wykluczyć, że niepożądana osoba przeniknie do naszego środowiska. Mamy jednak świadomość, że stowarzyszenia takie jak nasze są sprawdzane przez służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo kraju. I na to się godzimy.

Po raz pierwszy członkowie stowarzyszenia Obrona-Narodowa.pl wzięli udział w dużych ćwiczeniach wojskowych. Jak wypadliście w „Anakondzie '16”?

Zdajemy sobie sprawę z mankamentów naszego uzbrojenia i braków w wyszkoleniu. Staramy się to nadrabiać zaangażowaniem, dyscypliną i przestrzeganiem procedur. I to jest doceniane. Po ćwiczeniach „Anakonda '16” zostaliśmy zaproszeni na ich podsumowanie do Biura ds. Utworzenia Obrony Terytorialnej MON, którego oficerowie przyjęli nasze spostrzeżenia. Wierzymy, że przydadzą się one w tworzeniu programu szkolenia dla tego rodzaju wojsk. Warto zaznaczyć, że podczas „Anakondy” działaliśmy na trzech poligonach – w Orzyszu, Nowej Dębie oraz Białej Górze. Za koordynowanie naszych trzech kompanii było odpowiedzialne stanowisko dowodzenia w Nowej Dębie, w którym byli m.in. oficerowie z Biura ds. Utworzenia Obrony Terytorialnej. Obieg informacji umożliwiła natomiast nasza sieć łączności radiowej, działająca niezależnie od systemu wojskowego.

Wśród członków organizacji proobronnych słyszę często, że powstanie nowego rodzaju wojsk jest dla nich →

WIZYTÓWKA



wielką szansą. Pod jakim względem? Czy macie obiecanie, że wejdziecie w skład jednostek obrony terytorialnej?

Niczego nam nie obiecano. Bardziej jest to szansa na stanie się stałym ogniwem w systemie bezpieczeństwa kraju. Nie ukrywam, że wielu z nas zechce wstąpić do WOT-u. Ja sam z przyjemnością włożę mundur na stałe, jeżeli tylko w moim regionie rozpocznie funkcjonowanie któraś z brygad OT. Jeżeli jeden z naszych pomysłów, którym jest wcielenie do nowo powstającego rodzaju wojsk jednolitych pododdziałów po ich uprzednim certyfikowaniu, zostanie wdrożony, będzie to wielki pozytyw. Nie liczymy jednak na wejście do tych struktur „z marszu”.

W takim razie, jakiej pomocy najbardziej oczekujecie ze strony MON-u?

Już wiele dostajemy. Głównie ta pomoc polega na udostępnianiu obiektów szkoleniowych, instruktorów czy zabezpieczenia technicznego, jak dzieje się to w województwie lubuskim, gdzie współpracujemy z 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną, której sekcja szkolenia – z ppłk. Rafałem Miernikiem na czele – traktuje nas niemal jak własny pododdział, oraz 10 Brygadą Kawalerii Pancernej. Nasze kontakty są niemal wzorcowe. Czego oczekujemy? Uproszczenia procedur odnośnie do korzystania z obiektów, uzyskania limitów amunicji strzeleckiej i środków pozoracji pola walki, możliwości korzystania z uzbrojenia strzeleckiego jednostek wojskowych na terenach obiektów wojskowych. Przydałaby się też zgoda na udostępnianie nam niektórych elementów wyposażenia, np. masek przeciwgazowych czy hełmów kompozytowych, którym skończył się okres używalności i są przechowywane w magazynach jednostek wojskowych. Oczekujemy także szkoleń z ochrony informacji niejawnych, które pozwolą nam na używanie podstawowego sprzętu łączności, czyli radiostacji ręcznych i plecakowych.

Na czym polega projekt „Lekka piechota obrony terytorialnej”, którym Pan kieruje?

CHOR. REZ. JACEK KLIMANEK

Jest dowódcą projektu szkoleniowego „Lekka piechota obrony terytorialnej” ogólnopolskiego stowarzyszenia ObronaNarodowa.pl. Służbę wojskową rozpoczął w 1988 roku w 1 Batalionie Szturmowym. Następnie służył w 25 i 4 Batalionie Rozpoznawczym oraz 17 Wielkopolskiej Brygadzie Zmechanizowanej. W trakcie misji w Republice Iraku brał udział w obronie City Hall w Karbali. Po przejściu do rezerwy w 2008 roku zajął się działalnością społeczną w specjalnych grupach operacyjnych (SGO) oraz organizacjach proobronnych Liga Obrony Kraju i ObronaNarodowa.pl. Na co dzień pracuje jako specjalista ds. sprzedaży w jednej z sieci marketów budowlanych.

Ma on na celu wyszkolenie obywatela na poziomie żołnierza lekkiej piechoty, począwszy od etapu podstawowego, a skończywszy na kompanii. Poprzez wprowadzenie programu szkolenia oraz certyfikacji po każdym jego etapie chcemy stworzyć zasady zbliżone do tych, które w przyszłości mogą być wprowadzone przez wojsko np. na potrzeby przyjmowania jednolitych pododdziałów do służby w obronie terytorialnej. Wsparciem tego projektu jest zainteresowana 17 WBZ, która w listopadzie weźmie udział w certyfikowaniu na poziomie podstawowym naszych członków z województwa lubuskiego. Chociaż projekt szkoleniowy „Lekka piechota obrony terytorialnej” prowadzi stowarzyszenie ObronaNarodowa.pl, pod pewnymi warunkami udostępniamy go organizacjom zewnętrznym.

Wzięliście też udział w szkoleniu z cyberobrony. Na czym polegają takie zajęcia?

Mają one pokazać potencjał cywilnych ekspertów i ich możliwości reagowania na zagrożenia wynikające ze specyfiki współczesnych konfliktów zbrojnych. Na takim szkoleniu widać, że działania konwencjonalne często są ostatnim etapem konfrontacji w świecie wirtualnym. Były to pierwsze tego typu zajęcia i dotyczyły przede wszystkim bezpieczeństwa danych w sieci, zasad zabezpieczania urządzeń oraz bezpieczeństwa korespondencji. Poruszono również tematykę związaną z INFOOPS oraz OPSEC. Szkolenie zorganizowaliśmy razem z Polską Obywatelską Cyberobroną oraz Biurem ds. Utworzenia Obrony Terytorialnej.

A jakie macie plany na kolejne miesiące?

W październiku w Przemyślu odbędą się V Ogólnopolskie Ćwiczenia Organizacji Proobronnych. Listopad to czas eksperymentalnej certyfikacji w lubuskiej obronie terytorialnej (LPOT). Na razie sprawdzian zostanie przeprowadzony na podstawie przyjętego w programie LPOT regulaminu, ale mamy nadzieję, że w przyszłości będziemy korzystać z dokumentu opracowanego na potrzeby WOT-u. Będzie to krok w stronę stworzenia zasad włączania do niego pododdziałów proobronnych. ■

PLUT. RAFAŁ WALICKI


Data i miejsce urodzenia:

27 czerwca 1978 roku,
Sulęcín.

W wojsku służy od:

1 grudnia 2005 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła
Podoficerska Wojsk Lądowych
w Poznaniu.

Zajmowane stanowisko: zastępca
dowódcy wysuniętych obserwatorów
w Dywizjonie Artylerii Samobieżnej
17 Wielkopolskiej Brygady
Zmechanizowanej.

Zostałem żołnierzem, bo: zawsze
interesowałem się armią. W wojsku
spełniam swoje marzenia.



*Gdybym nie
został
żołnierzem:
rozwickłbym się
w budownictwie.*

**Moje największe
osiągnięcie:** jestem
wielokrotnym mistrzem
Polski w biegach na
orientację i w narciarstwie
biegowym. Ale mam
nadzieję, że największe
sukcesy jeszcze
przede mną.



Najlepsza broń: karabinek kbk AK
kalibru 7,62 mm.

**W umundurowaniu polskiego
żołnierza podobają mi się:** jego
funkcjonalność i wygoda.


Przełomowe wydarzenie w życiu:

śmierć siostry.

Misje i ćwiczenia: uczestniczyłem
w IX zmianie PKW Afganistan.

*Gdybym mógł
zmienić coś
w wojsku: za
dużo jest
biurokracji,
papierkowej
roboty.*

Co robię po służbie: mój czas wolny jest
skrupulatnie zaplanowany. Jestem
ratownikiem WOPR oraz strażnikiem
rybackim, a także trenerem lekkiej
atletyki i narciarstwa biegowego. Sam
też uprawiam wiele dyscyplin, m.in.
kolarstwo i pływanie.



Moja książka życia:
wolę film.

Niezapomniany film:
„Siedem dusz”.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. 17 WBZ

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

To nie jest zwykła służba

Wezwanie może nadejść w każdej chwili.
Przerywają wtedy zajęcia, pakują sprzęt
i ruszają wykonać zadanie.

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTACIE O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

ŻOŁNIERZE MIŃSKIEGO ODDZIAŁU MA- NEWROWEGO NALEŻĄ DO NAJLEPIEJ WYSZKOŁO- NYCH W NA- SZEJ ARMII

Gdy w kierunku VIP-a padają strzały, wszystko dzieje się błyskawicznie. Żandarmeria tworzą krąg, osłaniają go własnymi ciałami i odprowadzają w bezpieczne miejsce. Cała operacja trwa kilkadziesiąt sekund. Widać, że została dobrze wyćwiczona, bo każdy z żołnierzy doskonale zna swoje miejsce i rolę w grupie ochronnej. Działa niczym automat.

W 2004 roku w strukturach Żandarmerii Wojskowej wydzielono oddziały specjalne – jednostki o charakterze policyjnym przeznaczone do działań specjalnych. Pierwszy taki powstał w Warszawie, a w 2005 roku podobny zainaugurował działalność w Mińsku Mazowieckim. Jednostki zdolne do natychmiastowego przerzutu w rejon operacji były odpowiedzialne nie tylko na transformację polskiej armii, lecz także na zagrożenia terrorystyczne oraz zaangażowanie Polski w operacje zagraniczne.

TRENING CZYNI MISTRZA

Miński oddział jest podporządkowany komendantowi głównemu Żandarmerii Wojskowej. Składa się z dowództwa, sztabu i pododdziałów. Dwa bataliony manewrowe mają po trzy kompanie. Z dwóch pododdziałów zabezpieczających jeden odpowiada za zapewnienie dowodzenia i łączności, a drugi za logistykę. Jedenaście lat temu postawiono na nowoczesność, elitarność i współpracę międzynarodową. Dziś żołnierze mińskiego oddziału manewrowego należą do najlepiej wyszkolonych w naszej armii. Dwukrotnie – w 2010 i 2015 roku – zostali wyróżnieni tytułem honorowym Przodujący Oddział WP. Stanowią także trzon Wielonarodowego Batalionu Policji Wojskowej NATO (w jego skład oprócz Polaków wchodzi Chorwaci, Czesi i Słowacy). Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim wydziela również pododdziały w ramach Sił Odpowiedzi NATO i grup bojowych UE. Od 2006 roku żołnierze wchodzi w skład wielonarodowych pododdziałów policji wojskowej i biorą udział w misjach wojskowych prowadzonych przez Organizację Narodów Zjednoczonych, NATO, Unię Europejską oraz Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Pod auspicjami Europejskich Sił Żandarmerii na przełomie 2014 i 2015 roku ramie w ramie z francuskimi i hiszpańskimi kolegami czuwali podczas misji w Republice Środkowoafrykańskiej nad bezpieczeństwem cywilów.

Zastępca komendanta Oddziału Specjalnego ŻW w Mińsku Mazowieckim ppłk Sławomir Niemirka opowiada o głównych zadaniach, które stoją przed żołnierzami w szkarłatnych beretach: „Wspieramy oddziały i pododdziały sił zbrojnych oraz policji, które działają przeciw terroryzmowi, pomagamy policji w razie zagrożenia bezpieczeństwa i porządku publicznego, utrzymujemy w gotowości bojowej siły i środki do użycia w sytuacjach kryzysowych, akcjach ratowniczych. W sytuacji zagrożenia jesteśmy gotowi do wsparcia każdej jednostki Żandarmerii Wojskowej na terenie kraju”.

Oddział mińskich żandarmów ćwiczy codziennie. Scenariusze zajęć są realne, bo szkolenie musi przygotować do prawdopodobnych wydarzeń – może to być ewakuacja VIP-a, usunięcie podejrzanego ładunku, obezwładnienie napastnika. „Trening pozwala lepiej wykonać zadanie, zgrywamy się i osiągamy coraz lepsze wyniki. Codzienne ćwiczenia sprawiają, że wyrabia się pamięć mięśniowa, a dzięki temu w sytuacji zagrożenia działamy automatycznie, np. nie szukam pistoletu, lecz ręka sama sięga do kabury”, tłumaczy kpr. Damian Kazimierski.

Płk Sławomir Niemirka opowiada o szkoleniach. Każdy tydzień jest rozpisany dzień po dniu, godzina po godzinie: strzelanie, walka wręcz, ćwiczenia na torze przeszkód, terenoznawstwo, taktyka. „Doskonalimy zdobyte umiejętności. W każdej chwili może nadejść rozkaz do wyjazdu, bo gdzieś wybuchły zamieszki i policja potrzebuje wsparcia, trzeba zabezpieczyć budynek i wzmocnić ochronę. Wtedy przerywamy zajęcia, pakujemy sprzęt i ruszamy wykonać zadanie”, mówi.

Codziennie szkolenia uzupełniają zajęcia na poligonach (co najmniej czterech w roku) i zgrupowaniach kondycyjno-wspinaczkowych. Czasem ćwiczenia bywają widowiskowe, jak wtedy gdy żandarmi zjeżdżali na linach z ponad 80-metrowej zapory wodnej na Solinie (scenariusz zakładał, że terroryści chcą uszkodzić zaporę i opanować elektrownię wodną).

Jednym z najtrudniejszych szkoleń jest SERE (Survival – przetrwanie, Evasion – unikanie, Resistance – opór i Escape – ucieczka). Żołnierze uczą się, jak przeżyć na terytorium wroga, w nieznanym terenie. Po kilku godzinach zajęć teoretycznych ruszają w teren na ponad tydzień. Ćwiczenia uważnie obserwuje psycholog, bo chodzi nie tylko o fizyczne przetrwanie w ekstremalnie trudnych warunkach, lecz także o wyrobienie odporności ➔



ODDZIAŁ SPECJALNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ W MIŃSKU MAZOWIECKIM

W marcu 2015 roku nadano mu imię gen. bryg. Jana Tomasza Gorzechowskiego „Jura”, współpracownika marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i dowódcy Żandarmerii Polowej I Brygady Legionów. Na święto jednostki wybrano 24 kwietnia – tego dnia przypada rocznica jednej z brawurowych akcji, którą w 1906 roku dowodził generał. Miejscem szczególnym na terenie Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim jest kamień z tablicą upamiętniającą poległych podczas misji w Afganistanie sierż. Marcina Pastusiaka i kpr. Grzegorza Bukowskiego. ■



psychicznej, gdy trzeba stawić opór przeciwnikowi usiłującemu wydobyć informacje wywiadowcze.

Mjr Tomasz Drobek, zastępca dowódcy batalionu – szef sztabu, opowiada o ćwiczeniach na terenie Narodowego Centrum Badań Jądrowych, gdzie znajdują się materiały podlegające szczególnej ochronie, m.in. izotopy promieniotwórcze. Żandarmi dostali sygnał, że na teren Centrum wtargnęli nieznani osobnicy. „Chodziło także o pokazanie, jak działa pododdział interwencyjny. Chcieliśmy, aby pracownicy poznali w praktyce obowiązujące procedury, np. wiedzieli, że muszą przejść przez posterunek kontrolny. Także dla nas była to nowa sytuacja, ponieważ w odróżnieniu od obiektów poligonowych Centrum przez cały czas ćwiczeń tętniło życiem. Chodziło też o zgranie różnych służb, dlatego że

konieczna była współpraca ze strażą pożarną”, wyjaśnia mjr Drobek.

Raz w miesiącu instruktorzy szkolą członków organizacji proobronnych Strzelec. Uczą ich teorii strzelania, posługiwania się bronią, rzutu granatem ćwiczebnym. Przybliżają taktykę ogólnowojskową oraz specyfikę Żandarmerii, czyli posługiwanie się środkami przymusu bezpośredniego. Pokazują, jak się zachować podczas patrolu, jak korzystać z mapy i innych przyrządów do określania azymutu.

„Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim jest silnie związany ze społecznością lokalną”, podkreśla ppłk Paweł Durka, rzecznik komendanta głównego ŻW. W mieście są wystawiane wspólne patrole z policją. Cyklicznie odbywają się ćwiczenia

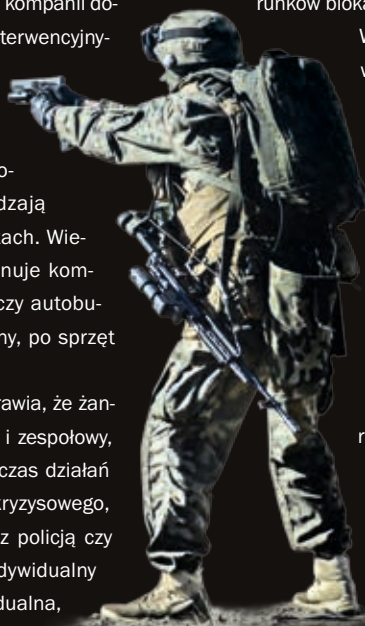
SPRZĘT ZESPOŁOWY I INDYWIDUALNY

Głównym sprzętem, którym dysponuje Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim, są pojazdy osobowo-terenowe Land Rover w dwóch wersjach – z twardym i miękkim dachem. Do działań patrolowych i prewencyjnych są używane ople vivaro. Pododdziały kompanii dowodzenia dysponują terenowo-interwencyjnymi wozami dowodzenia, potocznie zwanymi łosiami. Wszystkie pododdziały są wyposażone w samochody ciężarowe Jelcz, które dobrze sprawdzają się w terenie w każdych warunkach. Wieloma różnymi pojazdami dysponuje kompania logistyczna – od busów czy autobusów pasażerskich, przez cysterny, po sprzęt specjalistyczny.

Szerokie spektrum działań sprawia, że żandarmi mają sprzęt indywidualny i zespołowy, który jest używany zarówno podczas działań wojskowych, jak i reagowania kryzysowego, gdy jest konieczna współpraca z policją czy strażą graniczną. Na sprzęt indywidualny składają się m.in.: broń indywidualna, karabinki Beryl, pistolety Glock, latarki,

maski, hełmy, kamizelki kuloodporne, paralizatory, celowniki. Ze sprzętu zespołowego korzystają wszyscy żandarmi, są to m.in.: łomy, tarany oraz karabiny maszynowe UKM 2000 P, strzelby gładkolufowe, granatniki kalibru 40 mm, zestawy do organizacji posterunków blokadowych z kolczatką.

W 2017 roku do jednostki powinny trafić samochody interwencyjne lekko opancerzone, tzw. silo, które znacznie ułatwią wykonywanie zadań związanych z kontrolą zachowania tłumu, gdy jest potrzebny sprzęt bardziej maszynowy i cięższy, o większych gabarytach. Taki wóz zapewnia ochronę balistyczną załodze oraz daje możliwość montażu karabinu maszynowego, który jest nieodzownym elementem w działaniach specjalnych. Silo mają zastąpić wycofane z eksploatacji wozy AMZ Kutno Dzik-2/Gucio PILO (pojazd interwencyjny lekko opancerzony). ■



SYLWIA GUZOWSKA (2)

z reagowania kryzysowego, podczas których żandarmi współpracują z lokalną administracją czy szkołami. Ppłk Durka tłumaczy, że chodzi nie tylko o sprawdzenie procedur, lecz także o to, aby pokazać mieszkańcom, jak działa Żandarmeria.

SPRAWDZIAN W PRAKTYCE

Żandarmi z mińskiego oddziału swoje wyszkolenie mogli ostatnio sprawdzić w praktyce, podczas dwóch ważnych imprez masowych: szczytu NATO w Warszawie oraz Światowych Dni Młodzieży w Krakowie. Przygotowania do zabezpieczenia obu wydarzeń rozpoczęły się kilka miesięcy wcześniej.

Program szkolenia przygotowywał m.in. mjr Tomasz Drobek. Jak opowiada, przed szczytem NATO kursy spe-

cialistyczne prowadzili instruktorzy z Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie, którzy na co dzień zajmują się ochroną VIP-ów i zabezpieczają ważne wizyty. Zajęcia były poświęcone głównie taktyce ochrony osób, którym nadano status VIP-a. Mińscy żandarmi ćwiczyli także strzelania sytuacyjne, np. na wypadek zamachu na ochra-nianą osobę. „Gdy w kierunku VIP-a padną strzały, wszystko musi toczyć się błyskawicznie. Żandarmi z szyku ochronnego tworzą krąg, osłaniają go własnym ciałem i tak szybko, jak to możliwe, zabierają z miejsca zagrożenia”, tłumaczy por. Krzysztof Marczak, dowódca plutonu.

„Wszystkie trzy pododdziały batalionu manewrowego przeszły takie szkolenie. Ćwiczyliśmy różne sytuacje, które mogą stanowić zagrożenie, jak wypadek na drodze, który wymusza objazd na trasie”, podkreśla mjr Drobek. ➔

Podczas szczytu NATO żandarmi Oddziału Specjalnego ŻW z Mińska zabezpieczali hotele, w których spali delegaci, ochraniali poszczególnych członków delegacji, kontrolowali osoby wchodzące do hotelu i patrolowali okolice. Byli także przydzieleni do konwojów, w których poruszali się po mieście goście szczytu. Wspólnie z żandarmami z oddziału warszawskiego patrolowali także stadion PGE Narodowy. „Nasi żołnierze przeszli też szkolenie z oceny wiarygodności dokumentów, zarówno polskich, jak i zagranicznych, weryfikujących tożsamość. Poznali, jakie mają one zabezpieczenia, m.in. siatkę gilotynową (specyficzny wzór), strukturę, rodzaje papieru i farb drukarskich. Odbili także szkolenie z obsługi broni nieśmiertelności, czyli paralizatorów elektrycznych Taser X2, oraz uczyli się, jak postąpić z osobą, wobec której go użyto”, opowiada mjr Tomasz Drobek.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem szczytu NATO por. Krzysztof Marczak, dowódca plutonu, dostał konkretne zadanie: miał ochraniać ministra obrony Szwajcarii, który nocował w hotelu Sobieski. Na dwa dni został jego osobistym ochroniarzem. Płk Niemirka podkreśla, że do takich zadań są przydzielani doświadczeni żandarmi. Takim żołnierzem jest por. Marczak, który w Afganistanie w 2010 roku ochraniał doradców szkolących policjantów, a w 2014 roku w Kosowie był dowódcą plutonu manewrowego. Podczas szczytu towarzyszył ministrowi w trakcie różnych spotkań, zawsze trzymając się kilka

kroków z tyłu. „To była spokojna robota” – ocenia. „Przygotowując się do jej wykonania, zebrałem informacje na temat ministra: ile ma wzrostu, ile waży, czy jest alergikiem”. Każdy z żołnierzy przygotowywał się indywidualnie do wykonania przydzielonego mu zadania. Jeden poznawał hotel, inny sprawdzał drogi ewakuacyjne i okolicę. Tak właśnie postąpił plut. Przemysław Boroniec, który podczas szczytu NATO razem z kolegą ochraniał delegację z Maroka, nocującą w hotelu Golden Tulip. Ich zadanie polegało na pełnieniu warty przed pokojem zagranicznych gości.

O ile przed szczytem NATO żandarmi z Mińska musieli się szkolić z ochrony VIP-a, ponieważ nie wykonują takich zadań na co dzień, o tyle przed Światowymi Dniami Młodzieży specjalne przygotowania nie były potrzebne. Podczas tej imprezy zadania 200 mińskich żandarmów polegały głównie na patrolowaniu wyznaczonych rejonów. Pilnowali, aby panował w nich porządek, kierowali poszczególne osoby do właściwych sektorów. „Taką służbę patrolowo-ochronną wykonujemy na co dzień”, podkreśla płk Niemirka.

„Zostaliśmy także przeszkoleni z udzielania pierwszej pomocy medycznej, co przydało się w kilku przypadkach. Zdarzyły się zaskąbnienia, bo żar łał się z nieba”, opowiada plut. Przemysław Boroniec, którego zadaniem była ochrona porządku publicznego na podzielonym na sektory dworcu PKP w Krakowie.



TRZY PYTANIA DO

płk. Sławomira Niemirki

Na czym polega specyfika Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej, czyli co was wyróżnia spośród innych jednostek?

Jak wskazuje nazwa naszego oddziału, realizujemy zadania specjalne Żandarmerii Wojskowej. Dotyczą one trzech obszarów. Po pierwsze, wykrywamy i zatrzymujemy przestępców stwarzających zagrożenie. Po drugie, wspomagamy wszystkie terenowe jednostki Żandarmerii Wojskowej w różnych dziedzinach ich działalności

(oprócz sfery dochodzeniowo-śledczej i operacyjno-rozpoznawczej, bo te zadania wykonują wyspecjalizowane komórki) i po trzecie, wspieramy dowódców innych jednostek wojskowych w przeciwdziałaniu różnym zagrożeniom. Nasi żołnierze pozostają w stałej gotowości, aby w ciągu kilku godzin móc wesprzeć inne jednostki wojskowe w ich zadaniach, np. wystawić patrole w miejscu zagrożenia, pomóc w kontroli zachowań tłumu podczas masowej imprezy czy

w ochronie VIP-a. Są także zadania planowe, przydzielone na stałe, związane z sytuacjami kryzysowymi, ale o nich nie mogę mówić publicznie.

Jakie wymagania muszą spełniać kandydaci na żandarmów?

Określa je komendant główny. Kryteria są jasne i dostępne na stronie internetowej. Nie różnią się one znacznie od wymogów stawianych kandydatom do innych jednostek Żandarmerii. Zwracamy jednak

„Patrolowałem okolice wejścia wschodniego. Ruch był duży. Zwracałem uwagę na nietypowe zachowania: czy ktoś obserwuje teren dworca, czy robi zdjęcia?”, opowiada.

„Na Światowych Dniach Młodzieży byliśmy chwaleni za komunikatywność. Wszyscy żandarmi znają angielski, więc w razie potrzeby informowali pielgrzymów, jak poruszać się po mieście”, zwraca uwagę ppłk Paweł Durka.

UDANA „ANAKONDA”

Cennym doświadczeniem był udział w „Anakondzie”, największych ćwiczeniach polskiej armii, w których uczestniczyło 31 tys. żołnierzy z 23 krajów. Żandarmi czuwali nad bezpiecznym przemieszczaniem się wojsk. Pilotowali kolumny, wystawiali patrole, brali udział w konwojach. Sprawdzali także trasy przejazdu VIP-ów wizytujących manewry.

Pododdziały ŻW oraz plutony Military Police (MP) z Chorwacji, Czech i Słowacji, wchodzące w skład Wielonarodowego Batalionu Policji Wojskowej NATO (łącznie około 400 żołnierzy), a także po raz pierwszy ze Stanów Zjednoczonych, uczestniczyły również w międzynarodowych ćwiczeniach taktycznych „SHARP LYNX '16”.

„Sporym wyzwaniem były różnice w uzbrojeniu i taktyce stosowanej w poszczególnych armiach. Na przykład Amerykanie w inny sposób zakładają kajdanki”, opowiada kpr. Damian Kazimierski, który jako koordynator w Centrum Operacji Taktycznych (Tactical Operation

Center – TOC) odpowiadał za sprawny przepływ informacji. Utrzymywał też stałą łączność satelitarną z czterema ośrodkami poligonowymi w Drawsku Pomorskim, Orzyszu, Żaganiu i Wędrzynie, gdzie żołnierze Wielonarodowego Batalionu Policji Wojskowej NATO i MP USA wykonywali zadania prewencyjne i ochronne. „Przez dwa tygodnie TOC było sercem batalionu międzynarodowego”.

W Oddziale Specjalnym ŻW w Mińsku Mazowieckim nie ma ludzi przypadkowych. Nie łatwo się tu dostać i – co podkreślają sami żandarmi – nie jest to zwykła służba wojskowa.

„Takie mamy czasy, że dziś żołnierz musi być wielobranżowy i uniwersalny. Na misji w Afganistanie byłem zarówno kierowcą, jak i łącznościowcem oraz strzelcem”, mówi kpr. Damian Kazimierski, który w Żandarmerii jest już 13 lat. Dziesięcioletni staż ma por. Krzysztof Marczak. Opowiada, że poprzednio służył w wojskach inżynierskich. „W Mińsku praca jest ciekawsza. Ciągłe szkolenia i nowe wyzwania sprawiają, że człowiek się nie nudzi”, zapewnia. W mińskiej jednostce służy także 20 kobiet – w stopniu od szeregowego do kapitana. Są oficerami sekcji, patrolowymi. Dowódca podkreśla, że nie mają żadnej taryfy ulgowej, zresztą same jej nie chcą.

Na egzaminy zgłasza się wielu kandydatów na żandarmów. Zostają najlepsi. „Szukamy osób, które wiedzą, dlaczego chcą u nas służyć”, podsumowuje ppłk Sławomir Niemirka. ■

bacniejszą uwagę na wynik rozmowy z psychologiem oraz kondycję fizyczną. Kandydat powinien mieć co najmniej 175 cm wzrostu, być zdrowy i niekarany, przejść pozytywnie badania psychologiczne i testy psychotechniczne. Musi m.in. przebiec 3 tys. metrów w odpowiednim czasie – zależnym od grupy wiekowej, np. 22-latek, aby uzyskać ocenę bardzo dobrą, powinien pokonać ten dystans w ciągu 13 minut. Musi także podciągnąć się dziesięć razy na drążku, zrobić powyżej 40 pompek, a także przez dwie minuty wykonać powyżej 50 brzuszków.

Bierzemy udział w zagranicznych ćwiczeniach, m.in. grup bojowych UE czy Sił Odpowiedzi NATO, więc dodatkowym atutem jest znajomość języka angielskiego.

Co trzeba zrobić, żeby się dostać w szeregi Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim?

Kandydaci muszą wypełnić ankietę – jest dostępna na stronie internetowej. Zainteresowanie naszą jednostką jest duże, miesięcznie wpływa od 20 do 40 ankiet, dlatego nabór prowadzimy średnio raz w miesiącu. W ten sposób wyłaniamy osoby, które spełniają kryteria, czyli zdały egzamin z wychowania fizycznego. Przez to pierwsze sito przechodzi co drugi kandydat. Potem staje on przed komisją lekarską. Nie wszyscy dostają jednak pozytywną decyzję. Czasem, ku naszemu zaskoczeniu, kandydata dyskwalifikuje np. podwyższony cholesterol. Najwięcej osób odpada na badaniach psychotech-

nicznych, podczas których są wyłaniane osoby zdolne do kierowania pojazdami uprzywilejowanymi. Takim pojazdem jest np. karetka pogotowia jadąca na sygnale, ale uprzywilejowane mogą być też pojazdy ŻW, którymi dysponuje nasza jednostka. Dlatego każdy żołnierz musi mieć możliwość uzyskania uprawnień do ich prowadzenia. Z 40 kandydatów, którzy się zgłaszają, zostaje około dziesięciu. Wybieramy z nich najlepszych. Średnio przyjmujemy kilku szeregowych miesięcznie. Kwalifikacje na oficerów prowadzi Komenda Główna Żandarmerii Wojskowej, a kryteria są podobne. ■

Płk SŁAWOMIR NIEMIRKA jest zastępcą komendanta Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

SKIEROWANIE DO KOMISJI LEKARSKIEJ

Od kilku miesięcy przebywam na zwolnieniu lekarskim z powodu dolegliwości po wypadku w służbie. Niedawno szef kompanii powiedział, że jeżeli nie przerwę zwolnienia lekarskiego, to dowódca jednostki wojskowej będzie musiał skierować mnie do komisji lekarskiej, która oceni, czy jestem zdolny do służby. Noga, którą uszkodziłem w wypadku, już się zrosła, jednak muszę jeszcze przejść rehabilitację. Czy komisja lekarska może uznać mnie za niezdolnego do służby? Jestem na L-4, czy w takiej sytuacji muszę stawić się do komisji lekarskiej? Chcę nadal służyć w wojsku.

→ **Problem, z którym zwrócił się do redakcji zainteresowany, jest dość złożony. Co do zasady istnieje prawna możliwość skierowania żołnierza zawodowego do komisji lekarskiej również w okresie, w którym przebywa on na zwolnieniu lekarskim.** Zgodnie z ustawą pragmatyczną do wojskowej komisji lekarskiej kieruje się żołnierza, gdy nie wykonuje on zadań służbowych z powodu choroby trwającej nieprzerwanie przez trzy miesiące. Użyte przez ustawodawcę słowa „kieruje się” oznaczają, że dowódca jednostki wojskowej nie ma w tej sytuacji wyboru.

Należy jednak zaznaczyć, że nie zawsze stan zdrowia żołnierza pozwala na stawienie się do komisji lekarskiej bez uszczerbku na jego zdrowiu. W takiej sytuacji żołnierz powinien zawiadomić pisemnie jednostkę wojskową, że nie jest w stanie wykonać polecenia służbowego, ponieważ ma w tym zakresie określone wyraźne przeciwwskazania zdrowotne. W celu uniknięcia nieporozumień i wątpliwości, a co istotne – wszczęcia postępowania mającego na celu zwolnienie żołnierza ze służby z uwagi na odmowę przyjęcia skierowania do wojskowej komisji lekarskiej lub nieusprawiedliwionego niezgłoszenia się do tej komisji w określonym terminie i miejscu albo niepoddania się badaniom, do których został zobowiązany przez komisję lekarską – żołnierz zawodowy powinien do wymienionego zawiadomienia dołączyć zaświadczenie od lekarza prowadzącego leczenie, iż nie może on stawić się do komisji lekarskiej nie ze swojej winy. Chyba że ma zaświadczenie L-4, że jako chory musi leżeć. W przeciwnym wypadku stawiennictwo do komisji lekarskiej jest obowiązkowe (wyrok WSA w Warszawie z 8 listopada 2010 roku, sygn. akt. II SA/Wa 1099/10, w którym Sąd uznał, że „zaświadczenie lekarskie uprawie-

dliwia wyłącznie nieuczestniczenie przez żołnierza w jego zajęciach służbowych. Zajęciami służbowymi są zaś zadania przypisane do zajmowanego stanowiska służbowego. Pojęcie »zajęcia służbowe« nie sposób skutecznie rozszerzyć na obowiązek żołnierza do stawiania się na badanie przed komisją lekarską. Konieczność zbadania zdrowia żołnierza pod kątem jego przydatności do służby nie wynika bowiem z zajmowanego stanowiska służbowego. [...] Posiadanie przez żołnierza zwolnienia lekarskiego, obejmującego swym zakresem czas, w jakim miał on się zgłosić na badania przed komisją lekarską, nie usprawiedliwia niezgłoszenia się do tej komisji”).

Z przedstawionej przez żołnierza sytuacji wynika jednak, że dowódca może skierować żołnierza do komisji lekarskiej nie w celu ustalenia zdolności do służby, lecz z uwagi na pogorszenie stanu zdrowia uniemożliwiające lub utrudniające wykonywanie zadań służbowych z jednoczesnym uszczegółowieniem, że ma to na celu udzielenie czasowych ulg w służbie (zwolnienia od niektórych czynności służbowych na zajmowanym stanowisku służbowym) lub orzeczenie o potrzebie udzielenia urlopu zdrowotnego. Takie działanie, zgodne z ustawą pragmatyczną, byłoby w pełni uzasadnione, nie tylko z uwagi na okoliczności sprawy, ale również ze względów finansowych. Skierowanie żołnierza do wojskowej komisji lekarskiej wiąże się z poniesieniem przez jednostkę wojskową kosztów. Przedwczesne skierowanie żołnierza do komisji zakończyłoby się prawdopodobnie uznaniem go za zdolnego do służby, ponieważ długotrwały uszczerbek na zdrowiu można orzekać po zakończeniu leczenia. Oczywiście jest zatem, że również orzekanie o zdolności do służby może nastąpić dopiero po zakończeniu leczenia.

Przyjmuje się do celów orzeczniczych, że o długotrwałym uszczerbku na zdrowiu można mówić wówczas, gdy powoduje on ograniczenie zdolności organizmu trwające dłużej niż sześć miesięcy. Zgodnie z §14 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych, urlopu zdrowotnego można udzielić żołnierzowi zawodo-

wemu, gdy nie wymaga on już dalszego leczenia, ale nie odzyskał jeszcze pełnej zdolności do wykonywania obowiązków służbowych. Orzeczenie o potrzebie udzielenia urlopu zdrowotnego wydaje komisja lekarska. Udziela ona urlopu w wymiarze dwóch miesięcy. Urlop powyżej sześciu miesięcy nie może być udzielony – stanowi o tym art. 62 ust. 8 pkt 1 ustawy o służbie wojskowej.

Jeżeli jednak żołnierz zostanie skierowany do wojskowej komisji lekarskiej jedynie w celu określenia zdolności do służby jeszcze przed zakończeniem leczenia podstawowego, powinien on złożyć do tejże komisji wniosek o zaliczenie na poczet materiału dowodowego zaświadczenia lekarskiego od lekarza prowadzącego tok leczenia o rokowaniach co do powrotu do zdrowia oraz przebiegu dotychczasowego leczenia. Dokument taki musi zostać uwzględniony przez komisję, która, jeżeli uzna inaczej niż zapisano w ocenie zawartej w zaświadczeniu, będzie zobligowana wytłumaczyć powody jego nieuwzględnienia w uzasadnieniu wydanego orzeczenia. Wniosek należy złożyć w sekretariacie komisji lekarskiej w dwóch egzemplarzach, aby zainteresowany miał jego kopię (wyrok WSA w Warszawie z 11 maja 2016 roku sygn. akt. II SA/Wa 2013/15).

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 5, art. 60b pkt 1, art. 60c, art. 62 ust. 8 pkt 1, art. 111 pkt 4; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych z 27 sierpnia 2014 roku (DzU 2014 poz. 1503 z późn. zm.) – §14–16; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie orzekania o zdolności do zawodowej służby wojskowej oraz właściwości i trybu postępowania wojskowych komisji lekarskich w tych sprawach z 3 czerwca 2015 roku (DzU 2015 poz. 761) – §8, §17; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie ustalania stopnia uszczerbku na zdrowiu oraz związku śmierci żołnierzy ze służbą wojskową wskutek wypadku lub choroby z 8 sierpnia 2003 roku (DzU nr 163 poz. 1578), tekst jednolity z 6 maja 2014 roku (DzU 2014 poz. 839) – §16 ust. 4; ustawa z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” (DzU 2013 poz. 267 oraz 2014 poz. 183 i 1195 z późn. zm.) – art. 9, art. 75 §1 oraz art. 107 §3.

NOSZENIE ŁAŃCUSZKA

Chciałbym uzyskać informację na temat noszenia łańcuszka z krzyżykiem, z symbolem wiary, w której jestem wychowany. Zgodnie z art. 53 ust. 5 „Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej” mogę nosić taki łańcuszek, a według „Regulaminu ogólnego Sił Zbrojnych RP” (pkt 97) nie mogę. Po 20 latach noszenia musiałem go zdjąć z szyi. Dodatkowo za nieprzestrzeganie regulaminu zostałem ukarany naganą. Czy jest jakaś możliwość odwołania się od tej decyzji w razie takich sytuacji? Czy jest możliwość zmiany regulaminu w tej dziedzinie?

→ **Zakaz noszenia łańcuszka w trakcie wykonywania czynności służbowych w mundurze jest zgodny z „Regulaminem ogólnym Sił Zbrojnych RP”.**

Poruszony przez autora pytania problem faktycznie może nasuwać pewne wątpliwości, co do uprawnienia do wprowadzania w nim zapisów, które wprost ograniczają konstytucyjne prawa żołnierza zawodowego w dziedzinie wolności sumienia i wyznania. Niewątpliwie „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej” z 2 kwietnia 1997 roku jest najwyższym aktem prawnym w Polsce. Z treści jej art. 53 ust. 2 wynika, że wolność religii obejmuje wolność wyznawania lub przyjmowania religii według własnego wyboru oraz uzewnętrzniania indywidualnie lub z innymi, publicznie lub prywatnie, swojej religii przez uprawianie kultu, modlitwę, uczestniczenie w obrzędach, praktykowanie i nauczanie. Wolność religii obejmuje także posiadanie świątyń i innych miejsc kultu w zależności od potrzeb ludzi wierzących oraz prawo osób do korzystania z pomocy religijnej tam, gdzie się znajdują. Jednocześnie w ust. 5 cytowanego przepisu jest mowa o tym, że wolność uzewnętrzniania religii może być ograniczona jedynie w drodze ustawy i tylko wtedy, gdy jest to konieczne do ochrony bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego, zdrowia, moralności lub wolności i praw innych osób.

Gdy mowa o ograniczeniach ustawowych, ustawodawca odsyła do ustawy o powszech-

nym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej z 21 listopada 1967 roku ze zmianami, w której zapisano, że sposób odbywania czynnej służby wojskowej oraz obowiązki i uprawnienia żołnierzy określają ustawa oraz wydane na jej podstawie rozporządzenia i zarządzenia, a także regulaminy i rozkazy wydane przez ministra obrony narodowej. Z tego przepisu wynika zatem, że regulacje dotyczące pełnienia służby ustawodawca pozostawił do kompetencji ministra obrony narodowej. W art. 97 „Regulaminu ogólnego Sił Zbrojnych RP” faktycznie wprowadzono określone ograniczenia w noszeniu wszelkiego rodzaju biżuterii oraz ozdób, zezwalając jedynie na zegarek, obrączkę oraz sygnet lub pierścionek. Ograniczenia te wynikają ze specyficzności służby, która nie jest tożsama z wykonywaniem czynności zawodowych zazwyczaj obowiązujących pracowników zatrudnionych w sektorze cywilnym. Zakaz noszenia łańcuszka jest zapewne związany z zapobieganiem zaistnieniu sytuacji, w której może spowodować on zagrożenie dla zdrowia żołnierza.

Nie ma możliwości zmiany regulaminu, a już na pewno gdyby taka zmiana była możliwa, to nie mogłaby się odbyć w trybie uproszczonym, lecz w porozumieniu i za zgodą ministra obrony narodowej. Należy to bowiem wyłączyć do jego kompetencji. Wydaje się, że w sprawie zastosowano zbyt wysoki wymiar kary, ponieważ naruszenie dyscypliny służbowej w ten sposób powinno skutkować nałożeniem kary upomnienia. ■

Podstawy prawne: „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej” z 2 kwietnia 1997 roku (DzU 1997 nr 78 poz. 483 z późn. zm.) – art. 53 ust. 2 i 5; ustawa o powszechnym obowiązku obrony Rzeczypospolitej Polskiej z 21 listopada 1967 roku (DzU 1967 nr 44 poz. 220), tekst jednolity z 12 maja 2015 roku (DzU 2015 poz. 827) – art. 63; ustawa o dyscyplinie wojskowej z 9 października 2009 roku (DzU 2009 nr 190 poz. 1474), tekst jednolity z 13 maja 2016 roku (DzU 2016 poz. 772) – art. 24; decyzja nr 445/MON ministra obrony narodowej w sprawie wprowadzenia do użytku „Regulaminu ogólnego Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej” z 30 grudnia 2013 roku (Dz.Ur. MON 2013 poz. 398) – pkt. 97.

/ WETERANI PYTAJA

GRATYFIKACJA URLOPOWA

Mam status weterana. Wraz z żoną jesteśmy żołnierzami zawodowymi. Jakie są zasady otrzymania gratyfikacji urlopowej i czy prawo do niej przysługuje każdemu z nas?

→ Zgodnie z art. 73 ust. 1 pkt 6 ustawy pragmatycznej żołnierze zawodowi dostają gratyfikację urlopową. Przysługuje ona bez względu na wysokość uzyskiwanych dochodów. W art. 87 tej ustawy zostały określone zasady, na jakich jest ona przyznawana. I tak żołnierzowi zawodowemu gratyfikacja urlopową przysługuje raz w roku. Jeśli jednak został on powołany do zawodowej służby wojskowej w danym roku, będzie ona przysługiwać pod warunkiem, że pełnił on służbę przez co najmniej sześć miesięcy kalendarzowych.

DLA KAŻDEGO

Przy ustalaniu wysokości gratyfikacji urlopowej bierze się również pod uwagę małżonka i dzieci pozostające na utrzymaniu żołnierza zawodowego. Wysokość gratyfikacji urlopowej na jedną osobę uwzględnianą we wniosku wynosi 35% najniższego uposażenia zasadniczego żołnierza zawodowego, obowiązującego 1 stycznia danego roku kalendarzowego, w którym żołnierz nabył prawo do urlopu wypoczynkowego. W tym roku taka gratyfikacja będzie wyższa niż w ubiegłym. 1 stycznia 2016 roku weszło bowiem w życie rozporządzenie ministra obrony narodowej z 18 grudnia 2015 roku w sprawie stawek uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych, zgodnie z którym najniższe uposażenie zasadnicze wynosi obecnie 2900 zł. Oznacza to, że gratyfikacja urlopową na jedną osobę wynosi 1015 zł.

Jeśli oboje małżonkowie są żołnierzami zawodowymi, gratyfikacja przysługuje każdemu z nich. W takim jednak wypadku przy ustala-

niu wysokości gratyfikacji dla danego żołnierza nie uwzględnia się jego małżonka, a dzieci pozostające na wspólnym utrzymaniu bierze się pod uwagę przy ustalaniu gratyfikacji tylko jednego z małżonków.

KIEDY ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Aby otrzymać pieniądze, konieczne jest złożenie wniosku. Stanowi on podstawę wypłaty gratyfikacji. Wniosek należy przedstawić:

1) przed rozpoczęciem urlopu wypoczynkowego lub dodatkowego urlopu wypoczynkowego, jeśli żołnierz korzysta z niego w wymiarze co najmniej pięciu dni roboczych, lub po zakończeniu tego urlopu. Wniosek składa się nie wcześniej niż 30 dni przed rozpoczęciem urlopu i nie później niż 14 dni od dnia jego zakończenia; albo

2) po przedstawieniu dowodu dokonania opłaty lub przedpłaty za odpłatną formę wypoczynku żołnierza, jego małżonka lub dziecka pozostającego na jego utrzymaniu; albo

3) po wyznaczeniu lub skierowaniu żołnierza do pełnienia służby poza granicami państwa.

Gratyfikację urlopową wypłaca się w terminie 14 dni od dnia złożenia wniosku. Przysługuje ona niezależnie od sposobu spędzenia urlopu. ■

IZABELA STELMACH,
prawnik Centrum Weterana Działań
poza Granicami Państwa

Podstawa prawna: ustawa z 11 września 2011 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych – art. 87; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 18 grudnia 2014 roku w sprawie gratyfikacji urlopowej żołnierzy zawodowych.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

/ SPRAWY ŻOŁNIERZY

Większe limity dla służby czynnej

Ćwiczenia wojskowe odbędą się w przyszłym roku więcej rezerwistów.

Zgodnie z projektem rozporządzenia przygotowanym przez Ministerstwo Obrony Narodowej, limity powołań do służby przygotowawczej w 2017 roku mają być podobne do tegorocznych – w praktyce przeszkolonych może zostać maksymalnie 12 tysięcy ochotników. Będą to szkolenia na potrzeby trzech korpusów: szeregowych (turnusy trwające do czterech miesięcy), podoficerskiego (do pięciu miesięcy) oraz oficerskiego (do pół roku). Organizowane będą nie tylko w uczelniach wojskowych i centrach szkolenia, lecz także w wybranych jednostkach wojskowych w całej Polsce.

Na poziomie zbliżonym do przyjętego w 2016 roku kształtować się będą również limity powołań na ćwicze-

nia rotacyjne dla żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych. Zgodnie z projektem rozporządzenia, będzie w nich mogło wziąć udział maksymalnie 15 tysięcy żołnierzy mających podpisane kontrakty oraz nadany przydział kryzysowy.

W 2017 roku zwiększyć się ma liczba rezerwistów (niebędących żołnierzami NSR) biorących udział w obowiązkowych ćwiczeniach wojskowych. Projektowane regulacje uwzględniają tworzenie wojsk obrony terytorialnej i szkolenie żołnierzy tego rodzaju wojsk, którzy zgodnie z założeniami mają ćwiczyć przez miesiąc – sumując szkolenia odbywane przez nich w ciągu całego roku. Dlatego wojsko przewiduje łącznie ponad 26 tysięcy powołań na ćwiczenia, w tym ponad 7 tysięcy na potrzeby WOT i trzech tworzących się brygad OT.

Projekt rozporządzenia określa też limity powołań do służby okresowej. Pełni się ją w uzasadnionych przypadkach w kraju lub poza jego granicami, zazwyczaj wtedy, gdy brakuje specjalisty w danej dziedzinie. W przyszłym roku taką służbę będzie mogło pełnić do 75 żołnierzy. PG/PZ ■

Miejsca dla przyszłych oficerów

W 2017 roku dwie uczelnie wojskowe będą prowadzić studium oficerskie dla 442 osób.

Studium oficerskie zostanie otwarte we wrocławskiej Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych oraz dęblińskiej Wyższej Szkole Sił Powietrznych.

Pierwsza z tych placówek przyjmie aż 415 kandydatów. Najwięcej miejsc przewidziano na półrocznym studium dla podoficerów. 274 żołnierzy będzie się szkolić w 21 różnych specjalnościach, m.in.: pancerno-zmechanizowanej, rozpoznawczej, saperskiej i ogólnologicznej.

Podoficerowie i cywile będą też mogli wziąć udział w najkrótszym, bo trwającym zaledwie trzy miesiące, studium. Poszukiwani są m.in. leka-

rze, dentyści, weterynarze, farmaceuci, ratownicy medyczni, na których czeka w sumie 21 miejsc.

Wrocławska uczelnia oferuje też kursy: 12-miesięczny (specjalności m.in.: projektowo-programowa informatyczna, geograficzna, ekonomiczno-finansowa oraz orkiestr i zespołów estradowych) oraz ośmioletni i pięcioletni, przeznaczone dla przyszłych wojskowych prawników i ekonomistów.

W murach wrocławskiej WSO szlify oficerskie będzie zdobywać też 15 szeregowych.

Dęblińska Szkoła Orłąt z kolei planuje w przyszłym roku przyjąć na kurs oficerski 22 podoficerów.

Ośmiu z nich będzie się szkolić w korpusie sił powietrznych (grupy ruch lotniczy i inżynieryjno-lotnicza), reszta zostanie specjalistami od przeciwlotniczych zestawów rakietowych. Na studium 24-miesięcznym będą się szkolić kandydaci na podporuczników ruchu lotniczego.

O udział w kursach mogą aplikować zarówno żołnierze, jak i osoby ze środowiska cywilnego. Podstawowe wymagania są dla wszystkich takie same: polskie obywatelstwo, dobry stan zdrowia, tytuł magistra (lub uzyskanie go przed rozpoczęciem rekrutacji) oraz określony przez armię kierunek studiów. PG/PZ ■

/ POMOCNICY ESKULAPA

HIPOTERMIA NIEODKRYTA



Z Tomaszem Sanakiem,

ratownikiem medycznym z Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, o przyczynach hipotermii i sposobach jej leczenia rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Jesteś pracownikiem Zakładu Medycyny Pola Walki WIM oraz Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jako ratownik medyczny trzykrotnie byłeś w Afganistanie. W pracy szczególną uwagę poświęcasz zagadnieniom związanym z hipotermią.

Tematyką hipotermii zaraził mnie dr Tomasz Darocha, który od kilku lat zajmuje się tą chorobą. Doktor Darocha jest współtwórcą Centrum Leczenia Hipotermii Głębokiej. Co mnie zafascynowało w tej chorobie? Przede wszystkim to, że jest ciągle nieodkryta. Z jednej strony zabija, z drugiej chroni. Mimo wielu badań dotyczących hipotermii dopiero od kilku lat stosuje się nowoczesne metody leczenia pacjentów, np. ECMO, czyli metodę krążenia pozaustrojowego stosowaną w leczeniu głębokich stanów wychłodzenia organizmu. Generalnie chodzi o to, że wypompowuje się krew poszkodowanego do urządzenia, które ją ogrzewa i natlenia.

Kiedy mówimy o hipotermii?

Gdy u poszkodowanych, u których nie rozpoznano urazu, temperatura spada poniżej 35°C, a u tych po urazie – poniżej 36 stopni. Ta wiedza jest istotna, bo na przykład część pacjentów przyjmowanych do szpitali polowych w Iraku w lecie miała potwierdzoną hipotermię łagodną.

W jakich sytuacjach żołnierzom zagraża hipotermia?

Na przykład podczas zajęć poligonowych i realnych misji bojowych, kiedy są narażeni na ekstremalne warunki atmosferyczne. Ale główną przyczyną hipotermii u żołnierzy są urazy. Im ciężiej są ranni, tym mocniej załamują się mechanizmy chroniące przed wyziębieniem, co prowadzi do szybkiego narastania choroby.

Temat hipotermii jest dla wojska szczególnie ważny i dlatego kilka miesięcy temu zwróciliśmy się do Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia z prośbą o rekomendację platformy e-learningowej dotyczącej tej choroby. Żołnierze powinni zapoznać się ze zgromadzonymi tam materiałami. Takie szkolenia przeszło już

np. ponad 90% strażaków po rekomendacji Komendy Głównej Straży Pożarnej.

Co to znaczy, że hipotermia jest odwracalną przyczyną zgonów?

Według wytycznych Europejskiej Rady Resuscytacji, hipotermia jest odwracalną przyczyną zatrzymania krążenia. Jako medycy i niemedycy musimy wiedzieć, jak ją leczyć, żeby nie narażać naszych poszkodowanych na śmierć.

W jaki sposób leczy się pacjenta z hipotermią w czasie pokoju, a w jaki na polu walki?

Żołnierze na pewno korzystają z lepszych systemów prewencji hipotermii. Chodzi mi o systemy rekomendowane przez Komitet Naukowy ds. Taktyczno-Bojowej Opieki nad Poszkodowanym (Tactical Combat Casualty Care). Żołnierze pacjenci mają szczęście, że na polu walki jest obecny medyk. Przy cywilach go nie ma, więc ekspozycja na warunki atmosferyczne w ich przypadku może być kilkukrotnie dłuższa. Ale zasady leczenia poszkodowanych na wojnie i w czasie pokoju znacząco się nie różnią.

Jesteś współautorem wspomnianej platformy e-learningowej Akademia Hipotermii. Co to za projekt?

To bardzo ważne dla mnie pytanie. Zespół ludzi pod kierownictwem dr. Tomasza Darochy oraz dr. Sylwiusza Kosińskiego i moim opracował oraz wdrożył interaktywną platformę służącą edukacji na temat hipotermii. Beneficjentem szkolenia może być osoba niezwiązana z medycyną, ale mogą to być ratownicy kwalifikowani, ratownicy medyczni, pielęgniarki i lekarze. Platforma jest ogólnodostępna i całkowicie darmowa. Na dzisiaj interaktywne kursy ukończyło ponad 25 tys. osób! W przyszłości zamierzamy dodać kolejne lekcje, np. dotyczące postępowania ratunkowego w odmrożeniach. Namawiam wszystkich dowódców, aby zachęcili swoich żołnierzy do zdobywania wiedzy w Akademii Hipotermii pod adresem akademia.hipotermia.edu.pl. ■

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

KRZYSZTOF WILEWSKI, TADEUSZ WRÓBEL

ZBROJNY SALON

**Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego
jest największą wystawą uzbrojenia
i sprzętu wojskowego w Europie Środkowej.
I jedną z największych na świecie.
W tym roku został pobity rekord ubiegłorocznej
edycji. Mimo to niespodzianek nie było.**

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



Fabryka
Broni „Łucznik”
z Radomia
zaprezentowała
karabinek
MSBS-5,56R.



W

stolicy województwa świętokrzyskiego pojawiło się w tym roku aż 609 wystawców (w 2015 roku było ich mniej niż 600) z 30 krajów, którzy prezentowali swe wyroby na powierzchni ponad 27 tys. m². Ponad połowę firm stanowiły podmioty krajowe. Spośród zagranicznych najczęściej było tych ze Stanów Zjednoczonych, w tym największe koncerny z branży zbrojeniowej i lotniczej,

jak Boeing, Lockheed Martin czy Raytheon. Zaprezentowały się również główne europejskie przedsiębiorstwa z tej branży, m.in. Airbus, BAE Systems, Rheinmetall, Kongsberg, MBDA, SAAB i Leonardo-Finmeccanica.

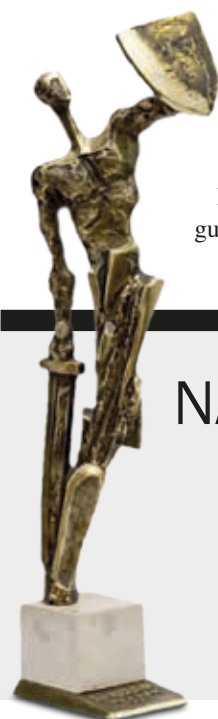
Po niemal ćwierćwieczu istnienia MSPO są największą wystawą uzbrojenia i sprzętu wojskowego w Europie Środkowej i jedną z największych na świecie. W Unii Europejskiej pod względem rozmachu wyprzedzają ją tylko dwie wystawy zbrojeniowe – DSEi w Londynie i Eurosatory w Paryżu.

Brak ostatecznej decyzji w sprawie przetargu na śmigłowce wielozadaniowe oraz priory-

tetowe traktowanie zakupu nowych maszyn uderzeniowych spowodowały, że podobnie jak rok temu, w Kielcach była bardzo silna reprezentacja producentów wiroplątów. Oprócz pokazywanych podczas wcześniejszych edycji śmigłowców, takich jak Apache, AW 149 czy Caracal, w tym roku nowością była uzbrojona wersja black hawka.

Tradycyjnie mocny element ekspozycji stanowiły pojazdy pancerne. Na stoisku Polskiej Grupy Zbrojeniowej (PGZ) można było zobaczyć, jak będą wyglądały czołgi Leopard 2A4 zmodernizowane do standardu 2PL. Inną nowością był PT-16, czyli propozycja unowocześnienia czołgów PT-91 i T-72. Poza tym PGZ zaprezentowała w tym roku w Kielcach m.in. dwie wersje rozpoznawcze kołowego transportera opancerzonego Rosomak oraz platformę gasienicową Anders z załogową wieżą HITFIST 30P. Znacznie skromniej w porównaniu do lat poprzednich wyglądała oferta PGZ, jeśli chodzi o artylerię. W Kielcach pokazano gasienicową wersję samobieżnego moździerza kalibru 120 mm i armatohaubicę Krab. Zabrakło natomiast Kryla, czyli armatohaubicy na platformie kołowej.

Wiele ciekawych pojazdów pancernych można było zobaczyć na stoiskach prywatnych



NAGRODY MSPO 2016

Nagrody Defender

- PIT-RADWAR za zdolną do przerzutu stację radiolokacyjną Bystra
- PCO SA za termowizyjną kamerę KLW-1R Asteria
- Huta Stali Jakościowych za ARMSTAL

- KenBIT Koenig i Wspólnicy Sp.J za MHS PIGEON – okrętowy system edycji i transmisji wiadomości
- Wojskowy Instytut Techniki Inżynierskiej za zestaw minerski do elektrycznego wysadzania ładunków MW



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

WYSTAWCY PRZYGOTOWALI OFERTY NIE TYLKO DLA WOJSK OPERACYJNYCH, LECZ TAKŻE DLA OBRONY TERYTORIALNEJ

firm polskich i z zagranicy. Z pewnością uwagę zwracał potężny wóz ewakuacji i ratownictwa technicznego, który opracowała firma Szczęśniak Pojazdy Specjalne. Pojawiło się również kilka wozów rywalizujących o zamówienie w ramach programu wielozadaniowych pojazdów wojsk specjalnych „Pegaz” oraz nowy pojazd patrolowy wojsk lądowych.

W Kielcach nie zabrakło też różnych rozwiązań, jeśli chodzi o bezzałogowce, nie tylko te najbardziej znane – latające. Oczywiście pojawiły się także liczne propozycje lżejszego uzbrojenia. W tym przypadku wystawcy starali się wyjść naprzeciw potrzebom nie tylko wojsk operacyjnych, lecz także nowo tworzonej wojsk obrony terytorialnej.

- WB Electronics SA za bezzałogowy system powietrzny Łoś
- Hertz Systems i NovAtel Inc. z Kanady za system nawigacji GPS/SAASM o bardzo wysokiej odporności na zakłócenia oparty na odbiorniku HGPST R-EFTS oraz antenie GAJT-710 ML
- Wojskowe Zakłady Elektroniczne za zestaw urządzeń instruktorskich TR-I

- IMS GRIFFIN za lekki wielofunkcyjny lokalizator celu Moskito TI
 - Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej za podwodną stabilizowaną platformę sensoryczną do działań OPM
- Nagroda Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej** została przyznana konsorcjum firm: Mesko SA (lider), Wojskowa Akade-

mia Techniczna im. Jarosława Dąbrowskiego i Centrum Rozwojowo-Wdrożeniowe Telesystem-Mesko Sp. z o.o. za przenośny przeciwlotniczy zestaw raketowy Piorun

**Wyróżnienie
Ministra Obrony Narodowej
otrzymał
Wojskowy Instytut Techniczny
Uzbrojenia – Zielonka za
bezzałogowy nosiciel
głowicy GK-1/GO-1
pionowego startu
DragonFly**



ROSOMAK SA

Zwiadowcze rosomaki

W Kielcach po raz pierwszy pokazano dwie wersje rozpoznawcze kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. **KTO-R1** jest wozem dowódczo-rozpoznawczym, a **KTO R-2** wozem rozpoznania ogólnego. Na obu zamontowano wieże załogowe HITFIST-30P, na

nich zaś stabilizowaną głowicę obserwacyjno-celowniczą Janus RSTA firmy Leonardo, która ma kamery telewizyjną i termowizyjną oraz dalmierz laserowy. Innym nowym systemem jest maszt z mikrofonami akustycznej detekcji strzału i strzelca Ferryt. Transportery wy-

posażono też w zespoły kamer dziennie-nocnych, które dostarczają załodze informacje o tym, co dzieje się wokół pojazdu. Na razie wojsko chce kupić 50 rosomaków rozpoznawczych, ale możliwe, że z czasem zwiększy zamówienie do 88 sztuk. WRT ■

JAROSŁAW WISNIEWSKI

„ŁUCZNIK” – RADOM

Szersza oferta Łucznika

Fabryka Broni „Łucznik” – Radom podpisała podczas MSPO drugą umowę na dostawę 40 karabinków dla kompanii reprezentacyjnej MSBS-5,56R. Tym razem zamawiającym była Straż Więzienna. Pokazano też nową odmianę broni modułowej – karabinek na naboje 7,62 mm x 39. Opracowano go z myślą o klientach zagranicznych, ponieważ na świecie ten typ amunicji jest bardzo popularny ze względu na powszechność karabinków AK/AKM. MSBS, którego magazynek można wymieniać z „kałaszkami”, stanowi atrakcyjną propozycję. Potwierdzeniem tego był zakup przez Nigerię w radomskiej firmie wersji karabinka Beryl przystosowanej do amunicji 7,62 mm x 39. Stając się poszerzyć swą ofertę, Fabryka Broni podjęła też pracę nad karabinkami MSBS na amunicję natowską 7,62 mm x 51. WW ■

WITU

Mordercza ważka

Szef resortu obrony narodowej wyróżnił podczas MSPO 2016 bojowy bezzałogowy system powietrzny klasy mikro pionowego startu **DragonFly**, opracowany przez Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia.



J. WISNIEWSKI

Zestaw o masie startowej 5 kg może przenosić różne głowice bojowe, takie jak kumulacyjno-odłamkowa GK-1 lub odłamkowo-burząca GO-1 i GO-2 HE. Opracowano też głowicę termobaryczną GTB-1 FAE. Poza tym są jeszcze głowice odłamkowo-burzące w wersji ćwiczebnej GO-1 HE-TP i GO-1 HE-TR. Rozpiętość systemu Dragon-

Fly z rozłożonymi czterema potrójnymi wirnikami wynosi 700 mm, a długość wraz z głowicą 900 mm. Masa i rozmiary sprawiają, że może go obsługiwać jeden żołnierz.

Sterowany z ziemi zestaw może atakować cele odległe do 10 km, bo jego czas lotu wynosi 20 minut. Po wybraniu celu uderza w niego z góry, tam gdzie zwykle w pojazdach jest najsłabsze opancerzenie. Przebijalność jego w przypadku głowicy GK-1 wynosi 150–200 mm RHA. Jako że głowice mają układ zabezpieczenia typu SA (Save-Arm) z możliwością wielokrotnego uzbrajania i rozbrajania, system DragonFly może w razie niewykonania ataku powrócić do operatora. WR ■

PIT-RADWAR SA

KRZYSZTOF WILEWSKI



Bystra dla popradów

Bystra
dysponuje
zasięgiem
około 80 km

Radary z Polski cieszą się światową renomą. Zdolna do przerzutu stacja radiolokacyjna Bystra to następca używanych od kilku lat przez naszą armię mobilnych stacji radiolokacyjnych krótkiego zasięgu Soła. Radar skonstruowany na potrzeby przeciwlotniczych zestawów rakietowych bardzo krótkiego zasięgu Poprad wyposażono w antenę

z mechanicznym przeszukiwaniem przestrzeni w azymucie i elektrycznym w elewacji (AES). ■

Bystra, dysponując zasięgiem około 80 km, jest w stanie wykrywać nie tylko samoloty, śmigłowce i drony, lecz także lokalizować i śledzić trajektorię lotu gratów moździerzowych i rakiet manewrujących. ■

ZM TARNÓW SA – WAT

Pilica gotowa do służby

Jest przykładem na to, jak z dobrej broni można zrobić broń jeszcze lepszą. Przeciwlotniczy system rakietowo-artyleński Pilica składa się z sześciu zestawów rakietowo-artyleńskich ZUR-23-2SP Jodek, uzbrojonych w 23-milimetrowe armaty oraz pociski przeciwlotnicze Grom lub Piorun, a także zdolnej do przerzutu stacji radiolokacyjnej Soła. Pilicą, dzięki pełnej automatyzacji dowodzenia i kierowania ogniem, można niszczyć nie tylko statki powietrzne – samoloty, śmigłowce i drony – lecz także cele typu RAM, czyli np. pociski moździerzowe i haubiczne. ■

SZCZĘŚNIAK POJAZDY SPECJALNE

Kuzyn Mamuta

Firma Szczęśniak Pojazdy Specjalne, pomimo porażki w przetargu na kołowy pojazd ewakuacji i ratownictwa technicznego dla Wojska Polskiego (oferowany przez nią mamut przegrał z propozycją spółki Rosomak SA), kontynuuje prace nad takimi konstrukcjami. Na tegorocznym MSPO w Kielcach zaprezentowała wóz, którym zainteresowała się armia czeska. Jest oparty na ośmiokołowym podwoziu T815-7M0R98 47 447 8x8.1R. Dopuszczalna masa całkowita pojazdu wynosi 46 400 kg.

Jedną z różnic konstrukcyjnych w stosunku do mamuta dotyczy czterodrzwiowej kabiny dla pięciu

osób, podczas gdy poprzednik miał dwudrzwiową. Oczywiście jest ona opancerzona.

Drugą różnicą polega na innym miejscu zamontowania żurawia hydraulicznego o udźwigu 17 320 kg i wysokości 4,4 m. Poza tym wóz wyposażono w urządzenie holownicze o udźwigu 14 tys. kg, dwie przyciągarki – główną ze 100 m bieżącymi linami i pomocniczą z 220 m liny oraz lemiesz. W



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

OBRUM GLIWICE

Wariacja na temat twardego

Na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach zaprezentowano prototyp czołgu o nazwie PT-16.

Jest to kolejna wariacja naszej zbrojeniówki – a konkretnie spółki OBRUM Gliwice – na temat modernizacji wozów z rodziny T-72. PT-16 to propozycja przeznaczona na eksport. Czołg został uzbrojony w słowacką armatę TG MSB 120 kalibru 120 mm, która pozwala na używanie amunicji przeciwpancernej DM53/DM63 oraz programowalnej typu ABM (Air Burst Munition).

Maszynę napędza wyprodukowany w Serbii silnik o mocy 1000 KM, a kompozytowy pancerz w krytycznych miejscach zapewnia ochronę na poziomie 1000 RHA. Na pokładzie PT-16 znalazły się również nowoczesne systemy łączności i dowodzenia oraz przyrządy optyczne i optoelektroniczne. ■



RHEINMETALL

Polska wersja

Leopard 2 PL zdecydowanie był medialną „gwiazdą” tegorocznego MSPO w Kielcach. Prototyp głęboko zmodernizowanego czołgu Leopard 2A4 z 10 Brygady Kawalerii Pancernej z Żagania przyciągał uwagę zwiedzających nie tylko nowoczesnym, „pikselowym” malowaniem. Zainteresowanie budziło przede wszystkim to, co znalazło się pod kompozytowym pancerzem. ■

Czołg zbudowany przez inżynierów z niemieckiego koncernu Rheinmetall, którzy teraz mają „nauczyć” tego samego polskich specjalistów z Bumar Łabędy, Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych z Poznania oraz PCO z Warszawy, wyposażono w m.in. najnowszej generacji przyrządy obserwacyjno-celownicze, nowy system stabilizacji armaty oraz hydrauliczny napęd wieży. ■

ZAKŁAD HYDRAULIKI SIŁOWEJ HYDROMECH SA

Wielki maszt

Podczas MSPO w Kielcach ZHS Hydromech SA wystawił **maszt mobilny typu HMM**. Jest to konstrukcja kratowa, składana teleskopowo i zainstalowana na przyczepie ciężarowej. W wersji 36-metrowej

tworzy ją sześć segmentów, każdy długości 7,2 m. Masa wraz z podwoziem masztu wynosi 16,5 t. System hydraulicznych podpór stabilizujących sprawia, że nie są wymagane odciąg linowe. Maszt HMM

wyposażono w agregat prądotwórczy i zasilacz hydrauliczny. Własny system zasilania automatyki i napędu umożliwia rozłożenie całej konstrukcji i sterowanie ulokowanymi na niej urządzeniami. Na końcu masztu jest szpica, na której można montować zestawy anten lub głowice optoelektroniczne o maksymalnej masie 350 kg. WRT ■



ŚMIGŁOWCE

Maszyny wsparcia

Rywalizujące o zamówienia polskiego MON-u firmy lotnicze przedstawiły m.in. śmigłowce wielozadaniowe z uzbrojeniem.

Koncern Lockheed Martin zaprezentował produkowany w PZL Mielec śmigłowiec Black Hawk uzbrojony w przeciwpancerne pociski kierowane Hellfire II i lekkie rakietami kierowanymi DAGR kalibru 70 mm. Maszynę wyposażono w głowicę optoelektroniczną Wescam MX-10 D,

która ma możliwość naprowadzania różnego typu pocisków rakietowych. Z kolei PZL-Świdnik pokazały W-3PL Głuszec z wyrzutniami przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike-ER o zasięgu 8 km. Z maszyną można zintegrować cięższe pociski Spike-NLOS. ■

WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE

Dla leopardów

Propozycję modernizacji obecnie posiadanych przez wojska lądowe wozów zabezpieczenia technicznego Bergepanzer 2 pokazały Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne w Poznaniu.

Została ona przygotowana we współpracy z firmą Flensburger Fahrzeugbau Gesellschaft mbH. Wykorzystano rozwiązania z pojazdu Wisenn opracowanego dla Danii, ale używanego też w innych państwach. Zmodernizowany bergepanzer wyposażono w nowy, dłuższy żuraw, o udźwigu do 30 tys. kg. Zamontowano też nową wciągarkę głów-

ną o sile uciągu 35 tys. kg i pomocniczą o sile uciągu 1500 kg. Kolejnym wprowadzonym rozwiązaniem jest rozszerzalny lemiesz. Zwiększono m.in. moc power packa oraz zastosowano nowe gąsienice. Unowocześniono także inne systemy pojazdu. Bergepanzer 2 powstał na podwoziu czołgu Leopard 1. Tymczasem w Kielcach był też prezentowany nowszy wóz zabezpieczenia technicznego ARV-3 Buffalo na podwoziu czołgu Leopard 2. TW ■

Zamontowano nową wciągarkę główną o sile uciągu 35 tys. kg.



Czeski most

Na MSPO 2016 zaprezentowano opracowany w Czechach most samochodowy **Tatra AM-50 EX** z własnym napędem. Jego nadwozie składa się z pojedynczej platformy mostowej M50 EX o długości 13,5 m i szerokości 4 lub 4,4 m oraz jednego przesuwanego filaru. Maksymalna masa AM-50 EX wynosi 30 t. Natomiast maksymalna nośność platformy wynosi 50 ton. Po jej rozłożeniu można pokonać przeszkodę o szerokości 10–12,5 m i głębokości 2–6 m. Zestaw mostowy składa się z czterech takich pojazdów.

Istnieje możliwość budowania mostów różnej długości poprzez połączenie od dwóch do ośmiu odcinków mostowych. WT ■

ROBERT CZULDA

Odlotowy projekt

Francusko-brytyjski program samolotu bojowego nowej generacji najprawdopodobniej zakończy się opracowaniem dwóch konstrukcji.

Pierwszy raz o programie nowego samolotu bojowego (Future Combat Air System – FCAS) usłyszano w styczniu 2014 roku, kiedy w Londynie odbywał się szczyt brytyjsko-francuski. W trakcie wizyty w bazie RAF-u Brize Norton premier Wielkiej Brytanii David Cameron z prezydentem Francji François Hollandem uzgodnili zacieśnienie współpracy w dziedzinie polityki jądrowej, kosmicznej, klimatycznej oraz obronnej. Na mocy porozumienia z Lancaster House z 2010 roku o współpracy obronnej i w wymiarze bezpieczeństwa, Cameron i Hollande zgodzili się wspólnie opracować samolot bojowy przyszłości. Pierwszym etapem miał być dwuletni okres prac analitycznych, mających określić warunki wykonalności projektu. Koszt tego etapu oszacowano na 120 mln funtów.

W marcu 2016 roku Hollande gościł Camerona w Amiens, gdzie podjęto decyzję o kontynuacji programu FCAS. Prace nad pierwszym etapem mają zostać sfinalizowane do końca 2016 roku, a w przyszłym ruszy budowa demonstratorów technologii, żeby były gotowe do 2025 roku. Na ten etap prac potrzeba będzie 1,5 mld funtów, a koszty projektu zostaną podzielone po równo między dwa państwa. Nowy samolot miałby osiągnąć gotowość operacyjną w latach trzydziestych. Mniej więcej w 2020 roku przewiduje się przeprowadzenie pogłębionej całościowej analizy technicznej i określenie, który partner będzie odpowiadał za dany element projektu. Na razie biorą w nim udział takie firmy, jak: BAE Systems, Dassault Aviation, Leonardo-Finmeccanica Airborne and Space Systems (dawny Selex ES), Rolls-Royce, Snecma/Safran Aircraft Engines oraz Thales.

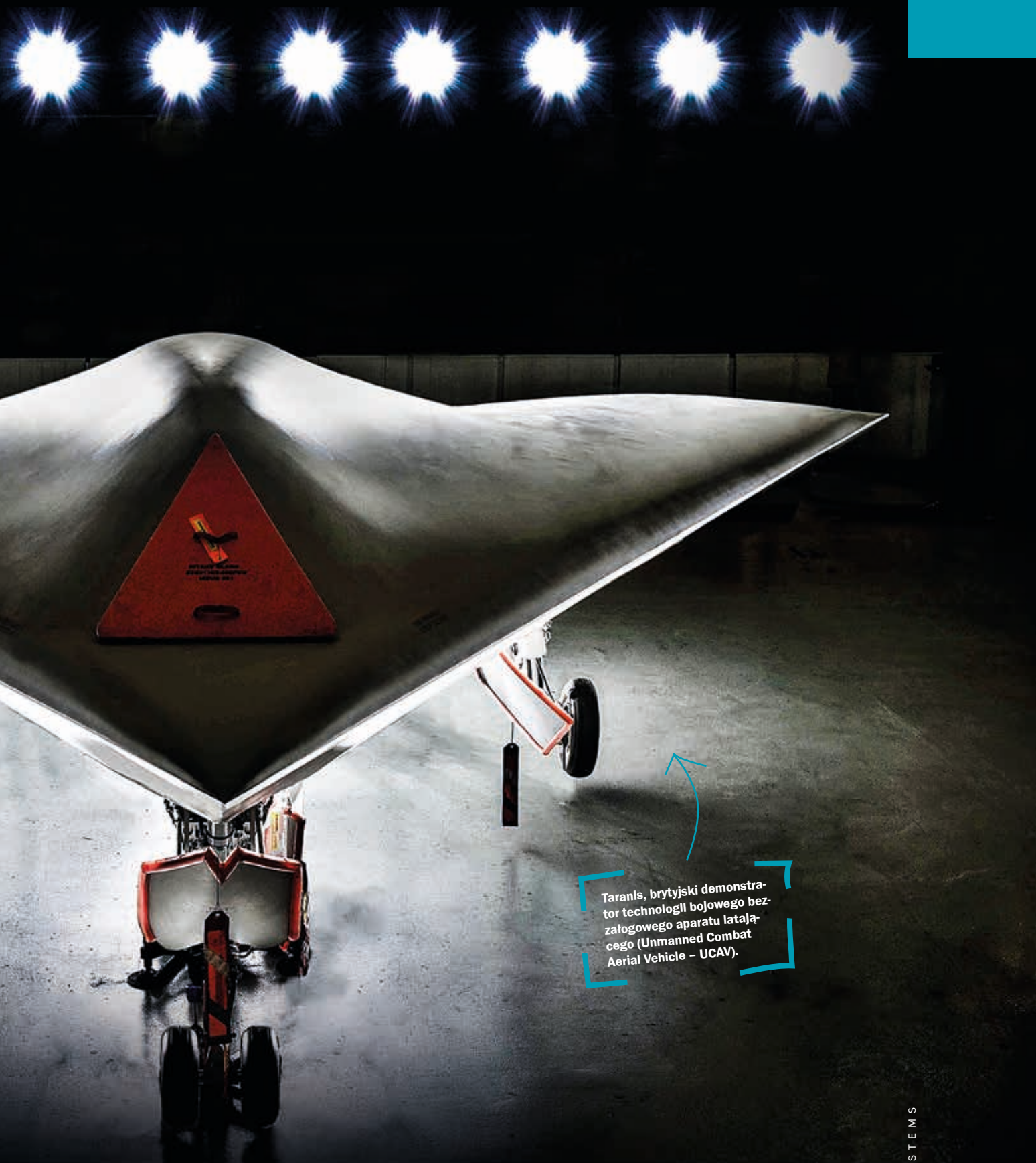
Założenia projektu nie są jeszcze znane – wiadomo jedynie, że partnerzy niechętnie dzielą się informacjami, bo dotyczą one najnowocześniejszych technologii, są więc ściśle tajne. Przyjęto, że FCAS ma być raczej samolotem bezzałogowym, najprawdopodobniej z możliwością tan-

FCAS TO NAJAMBITNIEJSZY PROJEKT ZBROJENIOWY PRZYSZŁOŚCI W EUROPIE

kowania w locie. Nie wyklucza się jednak, że powstaną dwie wersje – załogowa i bezzałogowa. Sposób kontroli bezzałogowca nie jest znany – może się ona odbywać za pośrednictwem zarówno operatorów naziemnych, jak i pilota lecącego obok FCAS-a. Po wejściu do służby nowoczesny odrzutowiec zastąpi obecnie używane przez Francję i Wielką Brytanię samoloty bojowe, czyli Dassault Rafale i Eurofighter Typhoon. Proces ten miałby się rozpocząć po roku 2030 i potrwać wiele lat.

SPRAWDZANIE MOŻLIWOŚCI

Pewną wiedzę o możliwych kierunkach rozwoju tego projektu dają dzisiejsze programy, na których FCAS w określonym stopniu będzie się opierał. Pierwszym →



Taranis, brytyjski demonstrator technologii bojowego bezzałogowego aparatu latającego (Unmanned Combat Aerial Vehicle – UCAV).

BAE SYSTEMS

FRANCUZI I BRYTYJCZYCY PREFERUJĄ ROZWIĄZANIA BEZZAŁOGOWE, A SCEPTYCZNI WOBEC TAKIEGO POMYSŁU NIEMCY WOLĄ SAMOLOT BARDZIEJ KLASYCZNY

z nich jest Taranis, brytyjski demonstrator technologii bojowego bezzałogowego aparatu latającego (Unmanned Combat Aerial Vehicle – UCAV). Pierwszy egzemplarz został zaprezentowany w lipcu 2010 roku, a jego chrzest w powietrzu odbył się dopiero po trzech latach. W ten sposób BAE Systems testuje zdolność, która ma być zaimplementowana – jeśli okaże się to możliwe – na platformie FCAS. Chodzi o autonomiczność uderzeniową, dzięki której FCAS sam wyszukiwałby cele, lokalizował je i identyfikował na określonym terenie. Decyzja o użyciu broni, przynajmniej w wypadku Taranisa, ciągle jednak będzie zależeć od człowieka.

Drugim projektem mogącym wpłynąć na kształt FCAS-a jest nEUROn, również eksperymentalny, bezzałogowy bojowy aparat latający (UCAV). Na czele tego projektu stoi francuski gigant Dassault Aviation, wspierany przez Szwajcarię (RUAG Aerospace), Szwecję (Saab AB), Hiszpanię (EADS Casa, obecnie Airbus Group), Włochy (Alenia, obecnie Leonardo-Finmeccanica) oraz Grecję (Hellenic Aerospace Industry). Zaangażowany w program jest także francuski Thales. Demonstrator technologii nEUROna wzbił się w powietrze w grudniu 2012 roku, a testy lotnicze, w tym odbicia radarowego (technologii stealth), zakończono w marcu 2015 roku. Podobnie jak Taranis, także nEUROn jest przewidziany jako maszyna bezzałogowa.

Ani Taranis, ani nEUROn nie staną się jednak docelową propozycją w programie FCAS, jako że oba to jedynie demonstratory technologii, czyli projekty służące sprawdzeniu konkretnych rozwiązań i założeń. Co do FCAS-a, to konkretne parametry, zarówno podsystemów, jak i demonstratora technologii, będą jednak zależeć przede wszystkim od operacyjnych wymogów, które postawi Francja i Wielka Brytania, a także od możliwości technicznych w ciągu kolejnej dekady. Dotyczy to chociażby zakresu autonomiczności działania FCAS-a. Przedstawiciele BAE Systems wyjaśnili, że chociaż człowiek nie zostanie całkowicie wyeliminowany z operowania tą maszyną, to jednocześnie oczekiwane jest, aby w określonych warunkach FCAS mógł działać bez jego nadzoru.

Przy okazji programu FCAS warto przypomnieć francusko-niemiecko-włoski pomysł wspólnej budowy rozpoznawczego drona średniego pułapu i długiego trwania lotu (medium altitude, long endurance – MALE). Ten międzynarodowy projekt zakończył się fiaskiem z powodu braku wsparcia rządowego. Istnieje możliwość, że do MALE dołączy Wielka Brytania, która musi niedługo zastąpić zużyte w Afganistanie bezzałogowce General Atomics MQ-9 Reaper. W niedalekiej przeszłości Londyn – powołując się na porozumienie w Lancaster House z 2010 roku – proponował Francji wspólne prace nad takim dronem. Tyle że udział innych państw przekształca program w projekt bardzo umiędzynarodowiony, podczas gdy Londyn woli kontakty bilateralne. Nie bez powodu zresztą, bo Brytyjczycy mają dowody na efektywność takiego działania w postaci francusko-brytyjskiego pocisku manewrującego dalekiego zasięgu Storm Shadow/SCALP oraz dopiero rozwijanego projektu odpalanej ze śmigłowca rakiety przeciwokrętowej Sea Venom/ANL.

NIEMIECKIE POMYSŁY

Podobny projekt, będący systemem broni następnej generacji, opracowuje Airbus Defence and Space. Ta firma proponuje dwumiejscowy samolot o zmniejszonej efektywnej powierzchni odbicia radarowego jako następcę należących do niemieckiej Luftwaffe odrzutowców Tornado. Niemcy chcą, aby ich maszyna w przyszłości towarzyszyła na polu walki ciągle używanym odrzutowcom Eurofighter. Airbus Defence and Space uważa jednak, że ani w latach trzydziestych, ani czterdziestych technologia UCAV nie będzie na tyle rozwinięta, by mogła stanowić wsparcie dla eurofighterów, więc jest potrzebna również wersja z pilotami.

Warto przy tym przyjrzeć się rozwiązaniu, w którym przewiduje się załogę składającą się z dwóch osób – jedna byłaby odpowiedzialna za pilotowanie, a druga za obsługę innych systemów pokładowych, w tym tych, które dopiero powstaną w przyszłości. Niemcy biorą jednak pod uwagę, że ich projekt będzie opierał się na dwóch konstrukcjach – zarówno załogowej, jak i bezzałogowej. Wszystko zależy od dostępności technologii i kosztów. ■



nr 34.

*Szeregowy, 34 Batalion
Radiotechniczny (2016 rok)*

rys. Monika Rokicka



NR 34.

UBIÓR POLOWY

SZEREGOWY, 34 BATALION
RADIOTECHNICZNY (2016 ROK)

Prezentujemy szeregowego z jednostki radiotechnicznej w ubiorze polowym wz. 2010, składającym się z bluzy i spodni. Na kieszeni na lewym rękawie widoczna jest mocowana na rzep oznaka rozpoznawcza, a nad kieszenią – oznaka przynależności państwowej, tj. naszywka z flagą Rzeczypospolitej Polskiej. Na piersi nad prawą kieszenią znajduje się oznaka z nazwiskiem. Nogawki spodni munduru są wypuszczone do trzewików ćwiczebnych. Na głowie żołnierz ma furażerkę polową wz. 93 z orłem lotniczym, używaną w siłach powietrznych. ■



34 BATALION RADIOTECHNICZNY

Jednostka stacjonuje w Chojnicach, od 12 czerwca 2008 roku w strukturze 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej. 34 Batalion Radiotechniczny został utworzony na podstawie rozkazu dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego nr 0145 z 29 września 1973 roku, w wyniku przeformowania 3 Samodzielnej Kompanii Radiotechnicznej. Pierwszym garnizonem jednostki, która w tym czasie wchodziła w skład Wojsk Lądowych, był Modlin. Na-

stępnie, na mocy rozkazu dowódcy WOW nr PF-28 z 17 grudnia 1997 roku, batalion przeszedł w podporządkowanie dowódcy Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej. Rozkazem szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego nr 084/Org. z dnia 11 sierpnia 1999 roku został po raz kolejny przeformowany i przeniesiony do Chojnic, w miejsce rozformowanego 22 Batalionu Radiotechnicznego. Oficjalnie zaczął tam działać 1 stycznia 2000 roku. ■



nr 35.

Starszy szeregowy,
Polski Kontyngent Wojskowy
w Kosowie (2013)



RAFAŁ
CIASTOŃ

Echo głębin



Charakterystyczny dźwięk sonaru aktywnego, wysyłającego wiązkę ultradźwięków, która powraca, po odbiciu się od podwodnej przeszkody, zna chyba każdy fan filmów „Polowanie na Czerwony Październik” czy „Okręt”. Wynalazek ten, pierwotnie używany głównie jako sensor do wykrywania okrętów podwodnych, jest dziś powszechnym narzędziem służącym m.in. do nawigacji.

Wiek XX przyniósł ludzkości dwa konflikty nazwane światowymi, podczas których Rzesza – najpierw kajzerowska Druga, a następnie hitlerowska Trzecia – na szeroką skalę korzystała z broni podwodnej. Wynikało to przede wszystkim z relatywnej słabości Hochseeflotte i Kriegsmarine (a zwłaszcza tej drugiej), nie tak silnych jak floty ententy i aliantów. Okręty podwodne, osławione U-booty, przez pewien czas niwelowały tę przewagę, a skuteczna walka z nimi zależała w głównej mierze od zdolności do detekcji.

O śmiertelności nowej broni Brytyjczy, a z nimi cały świat, przekonali się już 22 września 1914 roku. Tego dnia dowodzący okrętem U-9 kpt. Otto Weddigen w ciągu kilkunastu minut zatopił trzy krążowniki pancerne Royal Navy – HMS „Aboukir”, HMS „Hogue” i HMS „Cressy”. Aby walkę z nowym zagrożeniem uczynić bardziej skuteczną, sięgnięto po rozwiązanie opracowane dwa lata wcześniej. Wtedy to bowiem brytyjski meteorolog L. Richardson opatentował urządzenie będące protoplastą sonaru (rok później podobny patent zgłosił także niemiecki fizyk A. Behm). Impulsem do prac było przede wszystkim zatonięcie „Titanica” – echolokator miał wykrywać przeszkody podwodne, a więc również góry lodowe. Podczas I wojny światowej królewska marynarka, po przygodzie z tzw. oscylatorem Fessendena, skupiła się na użyciu hydrofonu, czyli urządzenia podobnego w działaniu do sonaru pasywnego. Trwały jednak prace nad systemem emitującym, a nie tylko wychwytyującym fale dźwiękowe. Pierwotny ASDIC-a (akronim pochodzi od nazwy komórki sztabu generalnego, w której był on opracowywany – Anti-Submarine Division) trafił do testów w połowie 1917 roku, a w 1923 została weń wyposażona pierwsza flotylla niszczycieli.

Prace nad echolokacją prowadzono oczywiście nie tylko w Wielkiej Brytanii, lecz także m.in. w USA, z którymi po wybuchu kolejnego konfliktu światowego Londyn podzielił się technologią. Za oceanem urządzenie nazwano sonarem (akronim pochodzi od słów Sound, Navigation and Ranging) i w dalszym ciągu je udoskonalano. Zarówno aktywne (wysyłające wiązkę fal dźwiękowych), jak i pasywne (jedynie wylapujące dźwięki) sonary stały się niezbędnym wyposażeniem jednostek nawodnych i podwodnych, a także samolotów przeznaczonych do zwalczania tych ostatnich. Aby uzyskać zdolność do wykrycia radzieckich okrętów podwodnych wychodzących na wody północnego Atlantyku, USA zbudowały zintegrowaną sieć sensorów pasywnych – SOSUS.

Ale sonary są używane nie tylko w celach militarnych – wyposaża się w nie zarówno statki handlowe, jak i prywatne jachty, by mogły sondować głębokość dna; trawlerzy rybackie, by wykrywały ławice ryb; bezzałogowe pojazdy podwodne służące do poszukiwań różnego rodzaju obiektów (w tym również ciał); wchodzi nawet w skład wyposażenia nurków. ■



Autor jest doktorantem Akademii Obrony Narodowej,
ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ ROSJA

MARIA PRZEŁOMIEC

POWRÓT ROSJI DO GRY?

Sukcesy Putina w polityce południowej są efektem ryzykownej gry *va banque* związanej z bardzo trudną sytuacją, w jakiej rosyjski prezydent znalazł się po ataku na Ukrainę.

US DOD
↓

R

zecznik prasowy Kremla oznajmił po ostatnim spotkaniu prezydentów Putina i Obamy w chińskim Hangzhou, że rozmowy były dobre, trwały dłużej niż oczekiwano i... mają być kontynuowane. W języku dyplomacji oznacza to, że konsultacje w sprawie wojny w Syrii zakończyły się fiaskiem. Właściwie trudno było się spodziewać czegoś innego, wzięwszy pod uwagę, że po wcześniejszym spotkaniu ministrów spraw zagranicznych szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow nawet nie wziął udziału w zapowiedzianej konferencji prasowej. Amerykańskie media, powołując się na źródła w departamencie stanu, podały, że sprawa utknęła w martwym punkcie z powodu wycofania się Moskwy z wcześniejszych ustaleń. Problem polega na tym, że syryjskie cele obu państw najwyraźniej się różnią, a Władimir Putin ma w tej grze zdecydowanie więcej do stracenia niż kończący urzędowanie Barack Obama.

POŁUDNIOWY ZWROT MOSKWY

Rosjanie 30 września 2015 roku przeprowadzili pierwszy atak lotniczy w Syrii. Zachodni politycy nie byli tym zachwyceni, zwłaszcza że do nalotu doszło w pobliżu miasta Homs, czyli w regionie opanowanym nie przez bojowników Państwa Islamskiego, lecz przez rebeliantów sprzeciwiających się reżimowi Baszszara al-Asada. Podobnie wyglądały kolejne bombardowania. 2 października we wspólnym oświadczeniu Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Arabia Saudyjska, Turcja oraz Katar wyraziły zaniepokojenie tymi działaniami i wezwały Rosję do ich zaprzestania. Określono je jako błąd

przyczyniający się do dalszej eskalacji przemocy i podsycania ekstremizmu.

Władimir Putin oznajmił jednak, że nie może beczynie czekać, aż „terroryści dotrą do Rosji” i dodał, że wobec prawdopodobieństwa takiego scenariusza konieczne jest zjednoczenie całej międzynarodowej koalicji w walce z islamskim dżihadem. Prezydenta wsparła cerkiew prawosławna, która w specjalnie wydanym oświadczeniu podkreślała, że „walka z terroryzmem to święta wojna i dziś nasz kraj prawdopodobnie jest jej najaktywniejszym uczestnikiem. Ta decyzja jest zgodna z prawem międzynarodowym, mentalnością Rosjan i naszą specjalną rolą na Bliskim Wschodzie”. W podobnym duchu o interwencji w Syrii informowały rosyjskie media.

Problem w tym, że jednocześnie Moskwa wykluczyła włączenie się do kierowanej przez USA zachodniej koalicji przeciw Państwu Islamskiemu na obowiązujących w niej zasadach. W ten sposób rosyjska operacja powietrzna stała się elementem konkurencyjnego aliansu Rosji, Syrii i Iranu. Zachód krytykował działania Moskwy, ale nie towarzyszyła temu gotowość do podjęcia realnych kroków, które mogłyby zrównoważyć jej akcje. Co więcej, państwa zachodnie szybko zaczęły sygnalizować możliwość wspólnego działania z Rosją przeciwko Państwu Islamskiemu oraz znalezienia kompromisowego rozwiązania w kwestii Asada. W ten sposób pierwszy etap syryjskiej operacji Rosji zakończył się wykonaniem zadania – Putin wszedł do Syrii jako samodzielny gracz.

Głównym celem tej operacji, zdaniem ekspertów, było przełamanie międzynarodowej izolacji, w jakiej Rosja znalazła się po aneksji Krymu i interwencji na wschodniej Ukrainie. Putinowi zależało także na wsparciu swego najwierniejszego bliskowschodniego sojusznika, czyli Asada, a przez to pokazaniu innym



CZERWCOWE ZBLIŻENIE ROSJI Z TURCJĄ STAŁO SIĘ WAŻNYM ELEMENTEM WZMACNIAJĄCYM ROSYJSKĄ POZYCJĘ NIE TYLKO NA BLISKIM WSCHODZIE

regionalnym przywódcom, że Rosja nie opuszcza sprzymierzeńców.

Kolejny cel był obliczony na uspokajanie sytuacji wewnętrznej w państwie. Operację w Syrii, pierwszą interwencję zbrojną poza obszarem postsowieckim, przedstawiano społeczeństwu nie tylko jako wyzwanie rzucone Zachodowi, lecz także jako awans z pozycji mocarstwa regionalnego do globalnego, a to wzmacniało Putina. W efekcie Rosja wracała na Bliski Wschód jako istotny gracz militarny i polityczny, którego rola wzrastała wraz z zaostrzaniem się w Europie kryzysu migracyjnego oraz związanego z nim (mimo zaprzeczeń poprawnych politycznie zachodnich środowisk) zagrożenia zamachami terrorystycznymi. Dobrym tego przykładem może być zakończony właśnie szczyt G20. Rok temu na spotkaniu w tureckiej Antalyi Putin wezwał co prawda do wspólnej walki z terroryzmem (było to tuż po zamachu w Paryżu), ale jego wystąpienie nie spotkało się ze specjalnym odzewem. Teraz rosyjski prezydent był jedną z głównych postaci szczytu. Pytanie tylko, czy jest to dowód siły Putina, czy też raczej słabości Zachodu.

TURECKI GAMBIT

W chińskim Hangzhou Putin rozmawiał nie tylko z Barackiem Obamą. Rosyjskie media sporo miejsca poświęciły spotkaniu z nowym sojusznikiem, czyli tureckim przywódcą Recepem Erdoğanem. Nic dziwnego, gdyż nieoczekiwane czerwcowe zbliżenie z Turcją stało się ważnym elementem wzmacniającym rosyjską pozycję nie tylko na Bliskim Wschodzie.

Stosunki między obu krajami były mocno napięte od czasu zestrzelenia w listopadzie 2015 roku przez tureckie lotnictwo rosyjskiego bombowca, który w czasie nalotów na Syrię naruszył przestrzeń powietrzną Turcji. Moskwa natychmiast wprowadziła embargo na tureckie produkty, przerwano wspólne projekty energetyczne, rosyjscy turyści dostali zakaz wypoczywania na tureckich plażach. Ta „epoka lodowcowa” trwała niemal pół roku i chyba taka sytuacja zaczęła przeszkadzać Ankarze, o czym świadczyły wysyłane w stronę Rosji sygnały pojednawcze.

Do gwałtownego ocieplenia doszło jednak dopiero po nieudanym wojskowym puczu przeciwko tureckiemu prezydentowi. Zachodni sojusznicy, w ocenie Erdoğan, zbyt słabo wyrazili solidarność z nim. W dodatku mieli pretensje o przeprowadzane po zamachu masowe czystki. W tej sytuacji pragmatyczny turecki przywódca poszedł do rosyjskiej Canossy. Przeprosił prezydenta Putina, aresztował wojskowych winnych zestrzelenia samolotu (jak na zamówienie okazali się puczystami) i zapowiedział turecko-rosyjskie zbliżenie. Według niektórych ekspertów, spotkanie Putina z Erdoğanem, do którego doszło 9 sierpnia w St. Petersburgu, może się okazać punktem zwrotnym, jeżeli chodzi o tworzenie regionalnych sojuszy, nie tylko na terenie Bliskiego Wschodu, lecz także Kaukazu Południowego. Dowodem na to ma być fakt, że dzień przed rozmowami w Petersburgu Putin spotkał się w Baku z przywódcami Azerbejdżanu i Iranu. Jak twierdzi Wiktor Repetowicz, specjalista od spraw Bliskiego Wschodu, może to oznaczać budowę ➔

w tym regionie nowej osi Moskwa–Ankara–Teheran. Tę teorię zdaje się potwierdzać wiele późniejszych rosyjsko-turecko-irańskich spotkań trójstronnych, w tym dotyczących rosyjsko-tureckiego planu w Syrii, a także wspólnych przedsięwzięć energetycznych.

ENERGETYKA NA CELOWNIKU

Inny ekspert, dr Maciej Munnich z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, przestrzega, że rezultatem takiego sojuszu staje się osłabienie pozycji USA i NATO w regionie. Co prawda, według niego, w Syrii zyskuje na tym głównie Turcja, ale na Kaukazie Południowym wzmacniają się wpływy Rosji. Pierwszą ofiarą takiego stanu może się stać bezpieczeństwo energetyczne UE.

Po pierwsze, efektem rosyjsko-tureckiego zbliżenia jest powrót projektu „Turecki potok”. Gazociągiem tym rosyjski gaz miałby być dostarczany nie tylko do Turcji, lecz także dalej – do wybrzeży Grecji i południowej Europy. W ostatnich dniach Gazprom ogłosił, że właściwie wszystko już jest gotowe, by rozpocząć zarzuconą w 2015 roku budowę.

Po drugie, na rosyjsko-azersko-irańskim szczycie w Baku zawarto porozumienie o współpracy w wydobywaniu i transporcie gazu kaspjskiego. Może ono stępować europejskie starania dywersyfikacyjne, w których istotną rolę odgrywa Południowy Korytarz Gazowy, będący jednym z priorytetowych projektów energetycznych Unii Europejskiej. Chodzi o sieć gazociągów mających przez Gruzję i Turcję transportować gaz z regionu Morza Kaspijskiego do krajów europejskich. Korytarz ten składa się z istniejącego Gazociągu Południowokaukaskiego, biegnącego z Azerbejdżanu przez Gruzję do Turcji, oraz będącego w budowie Gazociągu Transanatolijskiego z Turcji. Teraz Rosja, na podstawie zawartych w Baku porozumień, domaga się, aby Południowym Korytarzem popłynął także rosyjski surowiec. A to umocniłoby pozycję Gazpromu w Unii Europejskiej, zamiast osłabić.

ROZGRYWKA VA BANQUE

Interwencja w Syrii pozwoliła Rosjanom wyrwać się z międzynarodowej izolacji i pokazać, że bez ich udziału rozwiązywanie globalnych problemów jest, jeżeli nie niemożliwe, to przynajmniej bardzo trudne. Co prawda, do zniesienia antyrosyjskich sankcji na razie Moskwie doprowadzić się nie udało, niemniej jednak uległa wzmocnieniu jej pozycja w Europie, a przede wszystkim na Bliskim Wschodzie, gdzie próbuje stworzyć układ alternatywny do koalicji pod egidą USA. Ważnym partnerem i sojusznikiem w tej grze stała się Turcja. Problem w tym, że jest ona aliantem dosyć niepewnym.

Wiele wskazuje bowiem na to, że Erdoğan przede wszystkim wykorzystuje Putina do swojej własnej gry z Zachodem.

Jak jednak zauważa Jeffrey Mankoff, wicedyrektor Programu Rosja i Eurazja Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych, na dłuższą metę polityka Moskwy może się okazać istotnym wyzwaniem dla bezpieczeństwa Turcji. Chodzi o militaryzację wybrzeża Morza Czarnego, aktywniejszą dyplomację na Kaukazie Południowym, wspieranie różnych kurdyjskich grup i coraz wyraźniej ujawniające się rozbieżności między rosyjskimi a tureckimi celami w Syrii. Jednym słowem korzyści wynikające z obecnej turecko-rosyjskiej współpracy będą ograniczone ze względu na rozbieżne interesy geostrategiczne w basenie Morza Czarnego, na Kaukazie oraz na Bliskim Wschodzie. W tej sytuacji rezultaty tego zbliżenia najprawdopodobniej będą miały przede wszystkim charakter gospodarczy. W kwestiach bezpieczeństwa natomiast Ankara nadal będzie polegała na partnerach z NATO.

Reasumując, trzeba zauważyć, że przynajmniej na razie południowa polityka Putina przyniosła Rosji wymierne korzyści. Po pierwsze, na arenie międzynarodowej pozwoliła wyrwać się z międzynarodowej izolacji i sprawiła, że Moskwa wróciła na Bliski Wschód w charakterze znaczącego gracza. Po drugie, w samej Rosji odwróciła uwagę od w sumie nieudanej operacji ukraińskiej. Po trzecie, stworzyła warunki sprzyjające wzmocnieniu uzależnienia Unii Europejskiej od rosyjskich surowców energetycznych. Inna sprawa, że te sukcesy w dużej mierze wydają się efektem ryzykownej gry *va banque* związanej z bardzo trudną sytuacją, w jakiej znalazł się reżim Władimira Putina po ataku na Ukrainę. Putin musi tak działać, bo nie ma innego wyjścia. Przy czym sukcesy rosyjskiego prezydenta bardzo często są efektem zaniechań i braku spójnej strategii ze strony Zachodu. Dodatkowo na jego korzyść działa pogłębiający się kryzys w Unii Europejskiej oraz zbliżające się wybory w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. I właściwie nie wiadomo, co jest dla demokratycznego świata większym wyzwaniem – rosyjski prezydent czy wewnętrzne problemy. ■

MARIA PRZEŁOMIEC w latach 1990–2006 pracowała jako korespondent Sekcji Polskiej BBC, specjalizując się w tematyce związanej z państwami byłego ZSRR, uczestniczyła w praktycznie wszystkich bardziej istotnych wydarzeniach rozgrywających się na tym terenie. Od lutego 2007 roku prowadzi w TVP Info cykliczny program „Studio Wschód”, poświęcony sytuacji polityczno-społecznej w krajach byłego ZSRR.

SZANOWNI PRENUMERATORZY „MÓWIĄ WIEKI”!



Informujemy, że od lipca 2016 roku Bellona SA nie wydaje już Magazynu Historycznego „Mówią wieki”. Od tego miesiąca jedynym wydawcą naszego miesięcznika jest Oficyna Wydawnicza „Mówią wieki”, założona w 1991 roku przez Stefana Mellerę. W związku z tym od lipca 2016 roku zmieniają się warunki prenumeraty.

Gorąco zachęcamy – prenumerujcie „Mówią wieki”. Nowa niższa cena (także dla szkół) to jedynie 45 zł za sześć numerów!

Od lipca pismo ma objętość minimum 80 stron i jest dostępne również w wersji elektronicznej (e-Kiosk).

ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu tradycyjnym można zamówić drogą elektroniczną, wysyłając maila na adres: prenumeratamw@gmail.com lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720

(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki)

Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

TOMASZ OTŁOWSKI

IMPERIALNE ASPIRACJE

Po puczu Turcja dokonała serii nagłych zwrotów niemal na wszystkich kluczowych kierunkach strategicznych.



Gdy w piątkowy wieczór 15 lipca 2016 roku zbuntowane jednostki tureckiej armii opuszczały koszary, usiłując po raz kolejny w historii kraju przeprowadzić przewrót wojskowy, nikt nie przypuszczał, jak bardzo to wydarzenie będzie brzemienne w skutkach. Nieudana próba siłowego obalenia przez armię konstytucyjnego porządku ustrojowego w Turcji, choć zakończona już po kilkunastu godzinach, wciąż przynosi bowiem nowe, zaskakujące rezultaty, i to w najróżniejszych aspektach funkcjonowania tureckiego państwa i społeczeństwa.

NOWY SULEJMAN WSPANIAŁY

Skutki nieudanego puczu odczuwa dziś przede wszystkim sama armia (w której szeregach władze dokonują czystek na skalę niespotykaną w nowożytnej historii Turcji), a także gospodarka kraju, w dużym stopniu oparta na turystyce. Najważniejsze następstwa próby przewrotu i późniejszych reakcji władz chyba jednak zaczynają ujawniać się w sferze polityki zagranicznej Turcji i w jej geostrategicznej orientacji w odniesieniu do kluczowych wyzwań regionu. W wielu wypadkach jesteśmy świadkami zaskakujących zwrotów w działaniach międzynarodowych Ankary, często wręcz o 180 stopni. Takiego przebiegu wydarzeń nie spodziewał się chyba nikt, nawet wytrawni znawcy Turcji i jej najnowszej historii. A można być pewnym, że prezydent Recep Tayyip Erdoğan, obecnie już bez skrupowania pozujący na nowego sułtana Sulejmana Wspaniałego, jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Pucz – niezależnie od tego, czy był nieudany ze względu na złe przygotowanie i brak szczęścia jego organizatorów, czy też dlatego, że był prowokacją obozu prezydenta Erdoğan, spektaklem mającym uzasadnić późniejsze radykalne działania władzy – dał siłom rządzącym Turcją dogodny pretekst do rozliczenia się z opozycją. I to zarówno tą faktyczną, jak i urojoną. Fa-

la represji, która przełała się już (i wciąż przelewa) przez cały kraj, poraża skalą. Aresztowanych, zwolnionych z pracy, szykanowanych i nękanych przesłuchaniami lub rewizjami może być w sumie nawet 200 tys. ludzi! Według oficjalnych danych władz w Ankarze, do końca sierpnia 2016 roku aresztowano nieco ponad 20 tys. osób podejrzewanych o powiązania z puczem. Nieoficjalnie mówi się jednak w Turcji nawet o 40 tys. zatrzymanych i osadzonych w więzieniach. Wśród nich jest co najmniej 1800 wysokich rangą oficerów wszystkich rodzajów sił zbrojnych, w tym niemal połowa tureckich generałów i admirałów. Liczba szeregowych żołnierzy tureckich sił zbrojnych oraz podoficerów i niższych stopniem oficerów poddanych różnym formom represji nie jest znana, z pewnością należy ich jednak liczyć w tysiące. Dość wspomnieć, że niemal połowa doświadczonych i doskonale wyszkolonych pilotów wojskowych latających na myśliwcach F-16 (a więc elita elit tureckich sił powietrznych) siedzi w więzieniach, czekając na proces o rzekomy udział w puczu; podobno są wśród nich nawet ci, którzy 24 listopada 2015 roku zestrzelili rosyjski samolot szturmowy Su-24 nad granicą syryjską. Okrzyknięci bohaterami narodowymi i nagradzani przez samego Erdoğan, muszą zmierzyć się z realną groźbą najwyższego wymiaru kary.

Nie ma wątpliwości, że nieudana próba wojskowego przewrotu dała prezydentowi sposobność do ostatecznego oczyszczenia armii „z wrogich islamowi elementów świeckich i nacjonalistycznych”, które sam tak piętnował od wielu lat. To, czego Recep Erdoğan i związany z nim rząd tworzony przez Partię Sprawiedliwości i Rozwoju (Adalet ve Kalkınma Partisi – AKP) nie mogli zrobić w normalnych warunkach, gdy funkcjonowały procedury demokratyczne, daje się przeprowadzić jako oczywiste działania będące reakcją na próbę przewrotu wojskowego, a mające na celu wzmocnienie bezpieczeństwa państwa i jego obywateli po nieudanym „zamachu na demokrację”. Efekt jest jednak taki, że armia turecka – nominalnie druga co do wielkości →

w NATO i jedna z największych na Bliskim Wschodzie, a do tego nowoczesna i doskonale wyszkolona – jest dzisiaj w stanie chaosu i poważnie osłabiona.

Nic zatem dziwnego, że pod koniec sierpnia 2016 roku Turcy zdecydowali się podjąć ograniczoną operację militarną „przeciwko terrorystom” po syryjskiej stronie granicy. Celem „Tarczy Eufratu” – oprócz powstrzymania ambicji Kurdów działających w Syrii – jest też dowartościowanie własnej opinii publicznej i pokazanie, zarówno jej, jak i sąsiadom, a może także sojusznikom z NATO, że turecka armia wciąż jest silna i sprawna. Tyle że skala tej operacji (uwidaczniana w bombastycznych, ale kuriozalnie brzmiących komunikatach o kolejnych „dwóch czołgach, które właśnie przekroczyły granicę z Syrią”, dołączając do wcześniej tam dyslokowanych ośmiu innych) jest więcej niż symboliczna i daje wiele do myślenia wszystkim tym, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie na temat niedawnej potęgi i zdolności operacyjnych tej armii. Dzisiaj ofensywne operowanie jednym wydzielonym, wzmocnionym batalionem zmechanizowanym jest chyba wszystkim, na co stać Ankarę.

ZASKAKUJĄCE ZWROTY

Nowa geopolityka Turcji to przede wszystkim seria nagłych zwrotów w dotychczasowych działaniach na niemal wszystkich kluczowych kierunkach strategicznych. Najbardziej spektakularnym i w najwyższym stopniu przykuwającym uwagę międzynarodowej opinii publicznej oraz mediów światowych przykładem takich „nowych działań” Turcji stał się nieoczekiwany reset polityki Ankary wobec Rosji. Zwrot, który nastąpił nagle, po kilku miesiącach pełnych napięcia, jawnej wrogości i stanu na krawędzi otwartej konfrontacji militarnej po tym, jak dwa tureckie myśliwce F-16 zestrzeliły rosyjski samolot Su-24, który rzekomo – bo, jak się dzisiaj okazuje, sprawa nie była jednak tak oczywista – wtargnął w przestrzeń powietrzną Turcji.

Niedawna wizyta prezydenta Recepta Erdoğan w Moskwie, jego umizgi i hołdy składane wówczas „drogiemu przyjacielowi” Władimirowi Putinowi – pozostające jednak, co symptomatyczne, bez wzajemności – pokazują, jak daleko Turcja odeszła od swej historycznie tradycyjnej postawy wrogości i nieufności względem Rosji. Nawet jeśli obecne działania Ankary to tylko taktyczna gra – będąca np. elementem szerszej strategicznej operacji, której faktycznym celem jest uzyskanie większych koncesji politycznych od Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych – to i tak postawa Erdoğan i jego obozu budzi niesmak i zdziwienie. Chyba nawet sami Rosjanie nie do końca wierzą w szczerość jego intencji, czego dowodem są nie tylko ostentacyjny i pogardliwy chłód Putina



GLENN FAWCETT / US DOD

POD RZĄDAMI RECEPA ERDOĞANA TURCJA CORAZ WYRAŹNIEJ USIŁUJE WRÓCIĆ DO STATUSU DAWNEGO IMPERIUM OSMAŃSKIEGO, REGIONALNEJ POTĘGI, MAJĄCEJ WPŁYW NA SYTUACJĘ NA CAŁYM BLISKIM WSCHODZIE

w czasie rozmów z tureckim prezydentem, lecz także takie działania Moskwy, jak wykorzystanie irańskiej bazy wojskowej do nalotów na syryjskich „terrorystów” (a w rzeczywistości – głównie rebeliantów, wspieranych m.in. przez Ankarę) czy manewry okrętów Floty Czarnomorskiej u brzegów Anatolii i krajów Lewantu.

Nie da się jednak ukryć, że zaskakujący zwrot ku Rosji idzie w parze z wieloma innymi działaniami, które absolutnie nie mieszczą się w kanonie standardowych zachowań tureckiej dyplomacji. Gdy prezydent Erdoğan bawił w Moskwie, niemal w tym samym czasie turecki minister spraw zagranicznych spotykał się ze swym odpowiednikiem z Islamskiej Republiki Iranu. Relacje turecko-irańskie, mieszczące się w kategorii stosunków międzysąsiedzkich (wszak 500 km wspólnej granicy zobowiązuje), również nie należały w ostatnich dekadach do łatwych, skazując obie strony na co najmniej stan „zimnego pokoju”. Obecnie jesteśmy świadkami gwałtownej odwilży, polegającej na osiągnięciu przez Ankarę i Teheran „wzajemnego zrozumienia dla głównych wyzwań i problemów regionu i obu partnerów” (cytat z komunikatu końcowego spotkania). Ale tak jak w wypadku relacji z Rosją, w tym nagłym zbrataniu dwóch jeszcze do niedawna

zdeklarowanych rywali pobrzmiewa w tle jakiś dysonans, coś fałszywego i nienaturalnego. Czy znowu Turcy jedynie prowadzą grę? A jeśli tak, to dlaczego nie widzą, że w ten sposób nie uda im się omamić Persów, mistrzów dyplomacji? Tak naprawdę jedyne, co może połączyć (choć raczej w krótkookresowej perspektywie) Ankarę i Teheran, to dążenie do utrzymania geopolitycznego status quo w odniesieniu do losu Kurdów, zamieszkujących region bliskowschodni i dążących do wykrojenia swojego niepodległego państwa z terenów Turcji, Iranu, Syrii i Iraku.

W obu wypadkach – zarówno relacji z Rosją, jak i Iranem – nie sposób bowiem abstrahować od faktu, że realne interesy geopolityczne nieuchronnie sytuują Turcję w faktycznej opozycji wobec tych dwóch mocarstw. Tak zresztą dotychczas wyglądała sytuacja międzynarodowa w regionie – Moskwa i Teheran wspierały w Lewancie te siły, które w tym samym czasie zwalczała Ankara, i na odwrót. Wystarczy wspomnieć w tym kontekście rolę Rosji i Iranu we wspieraniu reżimu prezydenta Baszszara al-Asada, rosyjskie poparcie dla Kurdów w Syrii czy ambiwalentny stosunek, jaki przez lata miała Turcja do islamistów z Państwa Islamskiego. A przecież Ankara ma na pieńku z Moskwą także w odniesieniu do wielu innych obszarów – dość wspomnieć krymskich Tatarów czy tureckojęzyczne i powiązane z Turcją historycznie oraz kulturowo narody Azji Centralnej.

ASAD NIE MUSI ODEJŚĆ

Testem dla tych nowych strategii i kierunków działań „nowej Turcji” staje się jej zaangażowanie w najważniejszy konflikt regionu bliskowschodniego, czyli wojnę syryjską. Jeszcze kilka miesięcy temu prezydent Erdoğan jak mantrę powtarzał, że „Asad musi odejść”. Dzisiaj ten warunek dotyczący losów prezydenta Syryjskiej Republiki Arabskiej nie jest już aksjomatem w tureckiej strategii wobec tego kraju. Jak się okazuje, Al-Asad może już brać udział w budowaniu nowej Syrii, choć tylko na „pierwszym etapie” (cokolwiek miałyby to oznaczać).

Co więcej, dzięki chwilowemu zbliżeniu z Rosją i Iranem – najważniejszymi sojusznikami Damaszku – udało się Turkom znaleźć czynnik będący punktem zaczepienia w taktycznym dialogu z władzami syryjskimi, prowadzonym od pewnego czasu z wykorzystaniem kilku nieformalnych kanałów (kluczową rolę odgrywają tu byli szefowie wywiadów obu państw, obecnie już na emeryturze, którzy doskonale znają się z dawnych lat służby). Czynnikiem tym jest właśnie kwestia zwalczania rosnących aspiracji wolnościowych Kurdów w całym regionie. W tym sensie nie jest przypadkiem, że to właśnie po tureckim resecie relacji z Moskwą i odwilży z Teheranem,

Kurdowie w Syrii stali się nagle celem zaskakującej, otwartej kampanii militarnej ze strony reżimu w Damaszku, dotychczas traktującego ich jako sojuszników w walce z Państwem Islamskim.

Równie nieprzypadkowo w tym samym mniej więcej czasie Turcy rozpoczęli operację „Tarcza Eufratu”, której faktycznym celem strategicznym (choć w walce z Państwem Islamskim skrytnie skrywanym za zasłoną propagandy) jest niedopuszczenie do przejścia przez syryjskich Kurdów kontroli nad ostatnim, jeszcze przez nich nieopanowanym, fragmentem pogranicza Syrii z Turcją. Ten około 100-kilometrowy odcinek turecko-syryjskiej granicy między miastami Dżarabulus na wschodzie a Azaz na zachodzie to także – w dosłownym sensie – ostatnie lądowe połączenie między Turcją a terenami kontrolowanymi w północnej Syrii przez rebeliantów.

Syryjscy partyzanci z Wolnej Armii Syryjskiej, „zainstalowani” przy pomocy Turcji w pogranicznym Dżarabulusie, mają zatem stanowić dla Ankary gwarancję, że tych terenów nie zdobędą Kurdowie. Nie wydaje się jednak, aby strategia ta była w pełni zgodna z interesami Damaszku, który co prawda chętnie widziałby klęskę kurdyjskich planów separatystycznych, ale chyba niekoniecznie kosztem wzmocnienia antyrządowej syryjskiej rebelii i otwartej obecności sił tureckich na swym terytorium. Jak więc widać, także i w tym wypadku cele i interesy Turcji oraz Syrii są zbieżne w bardzo ograniczonym stopniu, co nie stanowi podstawy do budowy trwałych i bliskich relacji.

TRZECIEJ DROGI NIE MA

Pod rządami AKP i Recepta Erdoğan, wzmocnionych wewnętrznie po nieudanym lipcowym puczu, Turcja coraz wyraźniej i jawniej usiłuje wrócić do statusu dawnego imperium osmańskiego, regionalnej potęgi, mającej wpływ na sytuację na Bliskim Wschodzie – od Egiptu po Iran i od Kaukazu po Arabię Saudyjską. I choć te ambitne plany mają na razie niewielkie szanse na realizację, to dopiero czas pokaże, co ostatecznie z tych aspiracji wyniknie.

Na razie widać już jednak, że próba odgrywania przez Turcję dawnej roli nowego imperium osmańskiego jawnie kłóci się ze statusem zdeklarowanego sojusznika Zachodu. Tym samym już niedługo Turcja będzie zmuszona dokonać ostatecznego i fundamentalnie ważnego dla jej przyszłości wyboru między rolą ważnego, ale jednak nie pierwszorzędnego, członka wspólnoty państw Zachodu związanych sojuszem w ramach NATO a próbą samodzielnego wzmocnienia swej pozycji międzynarodowej, niosącą jednak ze sobą liczne i trudne do przewidzenia wyzwania. Trzeciej drogi nie ma. ■

NIEZROZUMIAŁA WOJNA

Z Łukaszem Fyderkiem

**o trudnej sytuacji na Bliskim Wschodzie, konfliktach
wewnętrznych w Syrii, roli tzw. Państwa Islamskiego
w regionie oraz o polskiej misji wojskowej w tej części świata
rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.**

Dlaczego dla Europejczyków konflikt na Bliskim Wschodzie jest tak mało czytelny? Im więcej o nim mówimy, tym mniej z niego rozumiemy.

Problem w tym, że dotychczasowe sposoby opisu tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie, niezbyt dobrze przystają do wydarzeń w tamtym rejonie świata. Chodzi mi o pokłosie Arabskiej Wiosny z 2011 roku, a w konsekwencji dezintegrację państw na Bliskim Wschodzie. Dla nas najłatwiejszy do opisanego i zrozumienia jest fakt, że dochodzi do rywalizacji lokalnych mocarstw. Wiąże się to z pewną próżnią, jaka się wytworzyła na Bliskim Wschodzie po decyzji Stanów Zjednoczonych o zmniejszeniu zaangażowania w tym regionie. Warto przypomnieć, że po 1990 roku, kiedy z polityki bliskowschodniej wycofał się Związek Radziecki, USA pozostały tam najpotężniejszym graczem. Teraz politycy skupieni wokół Baracka Obamy doszli do wniosku, że zaangażowanie takie jest kosztowne i nie przynosi żadnej poprawy wizerunkowej. Na te wydarzenia w ostatnim czasie nałożyły się wojny domowe w Syrii, Jemenie i Libii, gdzie głównymi aktorami nie są mocarstwa globalne, lecz kraje, takie jak Iran, Arabia Saudyjska czy Turcja, dążące do hegemonii na Bliskim Wschodzie. I właśnie przez te konflikty – wewnętrzne, ale

umiędzynarodowione – które wymykają się łatwemu opisowi, to, co dzieje się w całym regionie, wydaje się niezrozumiałe.

Czy u podstaw konfliktów, o których Pan mówi, leży radykalizacja postaw i ideologii ścierających się tam stron, czy może są też inne przyczyny?

Kraje bliskowschodnie mają wiele wspólnego, jeśli chodzi o religię, kulturę, etniczność, a nawet profil gospodarczy. Oprócz tego łączy je jeszcze inna kwestia, na którą niewiele osób zwraca uwagę – te państwa doznały eksplozji demograficznej. Proszę sobie wyobrazić, że 70 lat temu w Syrii żyło około 2 mln ludzi, a przed wybuchem wojny już 22 mln. Czynnikiem demograficznym ma ogromne znaczenie polityczne i militarne. Mówiąc wprost – gdy jest duży przyrost naturalny, życie ludzkie staje się tanie. Brzmi to brutalnie, ale wysoka dzietność jest skorelowana z łatwością rekrutacji młodych mężczyzn do udziału w grupach zbrojnych. Jeśli w jednej rodzinie rodzi się sześciu czy ośmiu synów, to wysłanie połowy z nich na front nie jest już takim problemem, jak w społeczeństwach, gdzie dzieci rodzi się mało. Dlatego dynamika konfliktów na Bliskim Wschodzie tak różni się np. od wojny w Donbasie.

W połowie lipca w Turcji doszło do nieudanego puczu wojskowego. W jakim stopniu te wydarzenia wpłynęły na i tak już trudną sytuację w Syrii?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wyjść od tego, że obecnie w Syrii toczy się równocześnie kilka wojen wewnętrznych i dwie międzynarodowe. Główny konflikt dotyczy walki z reżimem Baszszara al-Asada i trwa od pięciu lat. Odrębny, na północnych terenach Syrii i w zachodnim Iraku, polega na walkach z bojownikami tzw. Państwa Islamskiego. Ciekawe, że o ile z perspektywy syryjskiej jest to konflikt o charakterze peryferyjnym, o tyle dla Zachodu staje się problemem zasadniczym. I wreszcie, mamy dżihadystów, którzy walczą ze wszystkimi, próbując forsować swoją utopijną wizję świata. Najstarszy konflikt rozgrywany w Syrii dotyczy natomiast suwerenności Kurdystanu. Problem w tym, że rozwiązanie jednego z tych wewnętrznych sporów może nie mieć żadnego wpływu na pozostałe. Każda z wojen, chociaż po →



MICHAŁ ZIELIŃSKI

części się one zazębiają, ma swoją odrębną dynamikę. Na dodatek na tę sytuację nakłada się rywalizacja mocarstw regionalnych o ustalenie swojej strefy wpływów na Bliskim Wschodzie i tu do gry wchodzi Iran, Arabia Saudyjska i właśnie Turcja.

Na początku września media obiegła informacja, że tureckie czołgi wkroczyły na teren Syrii. Co to oznacza?

Po nieudanym puczu przeprowadzono w armii tureckiej olbrzymie czyszczenie. Mówi się, że dotknęły one około 4 tys. oficerów. Części z nich postawiono już zarzuty zdrady stanu, inni siedzą w więzieniach, jeszcze innych zwolniono ze służby. Obecnie armia została w pełni podporządkowana centralnemu ośrodkowi władzy i prezydentowi Erdoğanowi. Ma to znaczenie z tego względu, że prezydent i skupieni wokół niego politycy od lat parli do interwencji militarnej w Syrii. Tureccy wojskowi natomiast aż do 15 lipca byli temu przeciwni. Teraz Erdoğan nie ma już żadnej blokady. Na tereny syryjskie wkroczyły jednostki 2 Armii, w której dokonano szczególnie dużych zmian w korpusie oficerskim. Przy czym interwencja ta jest niewielka – wojsko weszło na obszar, który rozdziela dwie kurdyjskie enklawy. Celem Turków jest zwalczanie Państwa Islamskiego oraz kurdyjskiej partii i jej zbrojnego ramienia. Czy możemy się spodziewać eskalacji tego konfliktu? Jak mówił Carl von Clausewitz, każda wojna ma własną gramatykę, a specyfiką interwencji w wypadku konfliktów domowych jest eskalacja militarnego zaangażowania. Na razie nie wiadomo, czy Turcja zostanie mocniej wciągnięta w te działania. Pewne jest jednak to, że gdyby tak się stało, będzie to trudna i kosztowna walka.

Graczami na arenie syryjskiej są także Rosjanie i – choć w coraz mniejszym stopniu – Stany Zjednoczone. Jaka jest rola tych państw w konflikcie syryjskim?

Jeśli chodzi o Rosję, to można by krótko odpowiedzieć, że chodzi o wspieranie i utrzymanie reżimu pre-

Po wielu porażkach dżihadystów stracili znaczną część marketingowego blasku

zydenta Asada. W dłuższej perspektywie jest to zapewnienie sobie kontroli nad Syrią i utrzymanie militarnej obecności na syryjskim wybrzeżu. To strategiczne miejsce, pozwalające Rosji na projekcję siły na obszar Bliskiego Wschodu i Morza Śródziemnego. Rosyjska strategia niepokoi Turcję i dlatego, pomimo ostatniego zbliżenia dyplomatycznego między tymi państwami, nie widzę szans na ich bliską współpracę w przyszłości. Poza tym są jeszcze wątki osobiste – prezydent Erdoğan bardzo chciałby upadku Asada.

Inną kwestią jest zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w działania na Bliskim Wschodzie. USA przyjęły wobec licznych problemów w Syrii postawę bierną i wyczekującą. Dla Amerykanów zasadniczym celem jest bowiem walka z tzw. Państwem Islamskim. Oczywiście USA są bliższe politycznie siłom walczącym z reżimem Asada. Tyle tylko, że jest to trudny związek, bo „rewolucjoniści” po części są związani z ideologią dżi-

hadystyczną, a to z kolei jest dla USA bardzo niewygodne wizerunkowo i niebezpieczne. Ciekawe, że Amerykanie nigdy nie mówili o tym, co stanie się po ewentualnym pokonaniu Państwa Islamskiego. Bo o ile co do Iraku sprawa wydaje się prosta, gdyż jest tam rząd uznawany przez USA, o tyle nie wiadomo, co będzie z Syrią. Czy na terenach wyzwolonych od Państwa Islamskiego ma wrócić administracja prezydenta Asada? A może do głosu dojdą Kurdowie lub rebelianci? Jasnych komunikatów nie ma. Odrębną kwestią jest militarne pokonanie Państwa Islamskiego, co wydaje się trudne ze względu na tak niewielkie zaangażowanie USA i koalicjantów w działania w Syrii i Iraku. Jedną z możliwości jest przekształcenie obecnej misji szkoleniowej sił USA w kinetyczną. Coraz częściej mówi się o zwiększeniu zaangażowania militarnego o 10 tys. żołnierzy. To zdecydowanie przyspieszyłoby ofensywę na kluczowe dla Państwa Islamskiego miasta Mosul i Rakkę.

Niedawno czytałam wypowiedzi amerykańskich dowódców zaangażowanych w walki na Bliskim Wschodzie. Spodziewają się oni ciężkich starć właśnie

o wspomniany przez Pana Mosul i uważają, że miało może być wyzwolone spod wpływu Państwa Islamskiego do końca tego roku. Co to oznacza dla tego ugrupowania, skoro właśnie tam dżihadysty proklamowali kalifat?

Zamieszкана przez kilkaset tysięcy mieszkańców Rakka w Syrii czy liczący milion mieszkańców Mosul w Iraku to najważniejsze ośrodki w regionie opalone przez Państwo Islamskie i ich utrata będzie potężnym ciosem. Proszę pamiętać, że za sukcesem Państwa Islamskiego stało także to, że miało ono bazę terytorialną, że prezentowało się jako państwo – pierwszy od wieków prawdziwy kalifat. Usunięcie organizacji z jej bazy terytorialnej będzie znaczącym problemem dla Państwa Islamskiego. To jednak wciąż nie oznacza, że przestanie ono istnieć. Pozostaną np. kontrolowane przez dżihadystów enklawy w Libii czy Jemenie.

Czy Państwo Islamskie przeżywa kryzys? Czy jest wciąż atrakcyjne np. dla radykalnych muzułmanów z Europy?

Jeszcze w 2015 roku Państwo Islamskie odnosiło zwycięstwa, ale teraz nastąpił regres. Po porażkach dżihadysty stracili znaczną część marketingowego blasku. Według informacji medialnych, znacząco zmniejszył się napływ kandydatów do tej organizacji. Chciałbym jednak ostrzec, że zwycięstwo nad Państwem Islamskim na Bliskim Wschodzie może oznaczać zwiększenie ataków w Europie – dla przegrywającego ugrupowania to racjonalna strategia – ale w dłuższej perspektywie ryzyko zamachów zmaleje.

Niedawno media obiegrała także informacja, że w wyniku amerykańskiej operacji zginął rzecznik prasowy Państwa Islamskiego Abu Muhammad al-Adnani.

To bardzo dobra wiadomość, bo Adnani był nie tylko rzecznikiem. To także drugi – po kalifie Al-Baghdadim – najbardziej rozpoznawalny medialnie członek organizacji, ale też koordynator rekrutacji i ataków terroru w Europie. Po tej operacji znacznie spadło morale bojowników Państwa Islamskiego.

Czy widzi Pan szanse na pozasiłowe rozwiązanie konfliktów w Syrii?

Nie.

To w jaki sposób można przeciąć ten węzeł gordyjski?

Dyplomacja w tym wypadku musi być poparta siłą. Poza tym należy pamiętać, że wszystkie konflikty

w Syrii trzeba rozwiązywać osobno. Dzisiaj powinniśmy mówić raczej o ograniczeniu w tym miejscu strat humanitarnych i zmniejszaniu intensywności konfliktu. Gdy weźmiemy pod uwagę wszystkie aspekty wojny w Syrii, to okazuje się, że Państwo Islamskie, na którym koncentrujemy uwagę, jest winne relatywnie małych zniszczeń. Ludność cywilna jest regularnie bombardowana przez reżim i siły rosyjskie, a także artylerię sił rewolucyjnych. Jeśli mówimy więc o pomocy – to zacznijmy od zaprzestania bombardowania cywilów.

Od niedawna w konflikt na Bliskim Wschodzie zaangażowała się także Polska. Z misją rozpoznawczą i szkoleniową wystaliśmy swoich żołnierzy. Czy Pana zdaniem, to dobra decyzja?

Tak, z kilku powodów. Przede wszystkim przemawia za tym prowadzenie aktywnej polityki na forum Unii Europejskiej i dążenie do zapewnienia jej bezpieczeństwa. W obliczu kryzysu migracyjnego Polska konsekwentnie powtarza tezę, że przyjmowanie rzeszy uchodźców z Bliskiego Wschodu jest niewłaściwe. Raczej powinno się zmierzać do rozwiązania tego problemu u jego źródeł, czyli na Bliskim Wschodzie. Wysłanie wojska poprawia również naszą wiarygodność jako partnera w Unii Europejskiej i NATO. Istotny jest też argument stricte wojskowy – udział żołnierzy w tej operacji przyniesie korzyści pod względem szkoleniowym i informacyjnym.

Sceptycy twierdzą jednak, że wysłanie czterech samolotów i pododdziału komandosów to zdecydowanie za mało.

Moim zdaniem, misja w takim kształcie jest sensowna. Problemem jest raczej wewnętrzne przygotowanie opinii publicznej, informowanie jej o roli i odpowiedzialności Polski w świecie. Jeśli nie chcemy przyjmować do kraju uchodźców, to powinniśmy działać na Bliskim Wschodzie na miarę naszych możliwości. Nasza misja wojskowa sprawia, że Polska nie ucieka od globalnej odpowiedzialności. Problemem jednak pozostaje wsparcie humanitarne, jakiego udzielamy Syryjczykom. W mojej ocenie, jest ono niewystarczające. ■

Dr ŁUKASZ FYDEREK jest politologiem i orientalistą, adiunktem w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu

Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorem książki „Pretorianie i technokraci w reżimie politycznym Syrii”.

Zajmuje się badaniem dyktatur i transformacji ustrojowych w Azji Zachodniej i Afryce Północnej.





**EWAKUACJA
RANNYCH DZIECI**
z gruzów zniszczonych
budynków północnej
części Aleppo,
11 września 2016 r.

MARCIN RZEPKA

ALEPPO: HISTORIE UPADKU

**Niegdyś tętniące życiem,
urzekające i fascynujące miasto,
łączące Wschód z Zachodem,
przyciągające turystów, kupców,
finansistów, stało się areną wojny.**

Philip Mansel w wydanej niedawno książce „Aleppo: The Rise and Fall of Syria’s Great Merchant City” przedstawia miasto w perspektywie historycznej, dla kontrastu zderzając je z rzeczywistością Syrii po 2011 roku. Wzmocnienie podziałów i animozji między mieszkańcami to bodaj najbardziej charakterystyczna cecha teraźniejszości. Aleppo w 2012 roku zostało rozdarte między walczące ze sobą frakcje: wojska wierne prezydentowi Baszszarowi al-Asadowi i oddziały opozycji, podzielonej i wyrażającej często niewspółmierne żądania co do przyszłości miasta oraz państwa po ewentualnym upadku rządzących wciąż Syrią alawitów. Dotyczy to może najbardziej zwolenników radykalnych ruchów islamistycznych, powiązanych z Al-Kaidą czy Państwem Islamskim. Walczące ze sobą oddziały oraz ugrupowania zajęły →

AFP PHOTO/AMIR ALHALBI/EAST-NEWS

poszczególne części miasta, kreśląc tym samym jego nową topografię polityczną. Wschodnią część opanowały siły opozycji, nad zachodnią kontrolę przejęły wojska rządowe. Miasto z jednej strony ma bojowników Państwa Islamskiego, z drugiej zaś walczących z nimi Kurdów.

Intensyfikacja walk między wojskami rządowymi a opozycją, obserwowana od lipca 2016 roku, może doprowadzić do finału syryjskiej wojny i zdecydować o przyszłości kraju. Wygrana jednej ze stron będzie oznaczać nieuchronność określenia miejsca ścierających się dotąd frakcji w nowym systemie politycznym, a w konsekwencji konieczność negocjacji, ustępstw i kompromisów, na które może nie wystarczyć rozmówcom ani czasu, ani chęci.

Obserwatorzy syryjskiego konfliktu niemal zgodnie przyznają, że zwycięstwo w Aleppo będzie miało wpływ na sytuację w całej Syrii. Przejęcie kontroli nad północną częścią kraju jest dla sił rządowych kluczowe. Zajęcie miasta stanowi punkt wyjścia do objęcia kontrolą całej prowincji, która przed wybuchem konfliktu liczyła 6 mln mieszkańców i dynamicznie się rozwijała gospodarczo. Choć to już przeszłość, to ciągle liczy się strategiczna lokalizacja miasta – bliskość Turcji oraz zbiegające się w tym miejscu szlaki zaopatrzeniowe mają niebagatelne znaczenie. Nie można też pominąć symbolicznego wymiaru miasta.

Wydaje się jednak, że kontrola nad Aleppo ma nieporównywalnie większe znaczenie dla syryjskiej opozycji niż dla władzy. To ona bardziej potrzebuje zwycięstwa, by umocnić swoją pozycję, utrzymać bazy miejskie, a w dalszej perspektywie przenieść działania wojenne do środkowej części Syrii, a także by wzmocnić morale bojowników. Jeszcze na początku sierpnia wśród walczących z Asadem panowało przekonanie, że odniosą oni całkowite zwycięstwo. Konflikty wewnętrzne i niewielka skuteczność opozycji sprawiają jednak, że dotychczasowi sojusznicy tracą na to nadzieję. A tę słabość wykorzystuje rząd.

Operacja syryjskich wojsk rządowych, przeprowadzona 7 lipca przeciwko rebeliantom w Al-Mallah, dała opozycyjnym frakcjom impuls do wspólnej walki, łącząc ponad 20 różnych ugrupowań, od umiarkowanych po radykalnie islamistyczne. Wśród nich znalazły się Faylaq al-Szam, które w sierpniu wspólnie z wojskami

WOJNA ZAKŁÓCA RÓWNOWAGĘ, WPROWADZA PODZIAŁY, ZAWIESZA DETERMINOWANY HISTORYCZNIE ROZWÓJ, POSTĘP I PORZĄDEK

tureckimi zdobywało Dżarabulus, oraz Dżabhat Fatah asz-Szam (używające wcześniej nazwy Dżabhat an-Nusra, powiązane z Al-Kaidą). Wspólnie z utworzonym wcześniej blokiem ugrupowań opozycyjnych w Aleppo – Fatah Halab (w skład którego wchodzi Wolna Armia Syrii) – walczyły one przeciwko Asadowi. Trudno jednak oczekiwać, że organizacje zjednoczone w walce będą w stanie realizować wspólne cele w czasie pokoju. Różni je sposób interpretowania przeszłości kraju i islamu oraz wyobrażenie o przyszłości całej Syrii. Brak wizji, która łączyłaby wszystkich mieszkańców, niezależnie od przynależności etnicznej czy konfesyjnej, jest bodaj największą bolączką walczących. Ma to ogromny wpływ na stosunek do cywilów.

MIESZKAŃCY MIASTA

Trwający w Syrii konflikt już dawno naruszył poczucie wspólnoty mieszkańców kraju, przyczyniając się do wzrostu partykularnych tożsamości i wykluczających się wzajemnie racji. To właśnie cywile, a dotyczy to w znacznej mierze Aleppo, są największą ofiarą toczących się walk. Ali Alfoneh z Fundacji na Rzecz Obrony Demokracji (Foundation for Defense of Democracies) przekonuje, że oblężone miasto stało się symbo-



✚ **Peter Maurer, przewodniczący Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, apelował do polityków o podjęcie działań mających ochronić cywilów. Przekonywał, że nikt pozostający w Aleppo nie może czuć się bezpiecznie w czasie nieustannych nalotów.**

optymistyczna wydaje się wizja, że odsunięcie od władzy alawitów, rządzących w większości sunnickim społeczeństwem, poprawi sytuację.

WYMIAR MIĘDZYNARODOWY

Kiedy armia rządowa rozpoczęła działania w Aleppo, miała wsparcie Rosji oraz Iranu. Hasan Rouhani postrzega syryjskiego prezydenta jako sojusznika, a dobre relacje między obu reżimami sięgają jeszcze czasów rewolucji irańskiej. Wówczas Syria, jako jedyny kraj arabski w regionie, uznała nowy system władzy w Islamskiej Republice Iranu. Teheran chce stworzyć silną szyicką koalicję, w której ma odgrywać wiodącą rolę. Dlatego i Aleppo, i cała Syria zajmują ważne miejsce w podejmowanych przez Irańczyków działaniach propagandowych, promocyjnych i informacyjnych, w których przeciwnicy Asada są przedstawiani jako terroryści. Wzrastająca pewność, z jaką Iran kształtuje relacje w regionie, ma bezpośrednie przełożenie na wyrażane na forum międzynarodowym oskarżenia wobec Arabii Saudyjskiej, domagającej się usunięcia prezydenta Asada. W takim kontekście Aleppo staje się przedmiotem większej międzynarodowej rozgrywki.

Zdaniem Hanin Ghaddar z Waszyngtońskiego Instytutu Polityki Bliskowschodniej (The Washington Institute for Near East Policy – WINEP), wzrastająca rola Iranu w regionie może powodować eskalację podziałów religijnych i przemocy. Teheran przyznaje jednak, że zależy mu na integralności terytorialnej Syrii. W podobnym tonie wyrażają się tureccy politycy. Ibrahim Kalin, rzecznik prezydenta Turcji, zapewniał w wywiadzie dla „Daily Sabah” z 10 września, że Ankara nie chce dopuścić do eskalacji konfliktów religijnych i etnicznych. To jedno z uzasadnień rozpoczętej 24 sierpnia operacji „Tarcza Eufratu”. Czy jednak uda się pogodzić racje Turcji, Rosji, Iranu, USA i Arabii Saudyjskiej?

Po takiej analizie, pojawiają się przygnębiające refleksje nad miejscem z wielką przeszłością i niejasną przyszłością. Dzisiejszy obraz Aleppo jest bowiem daleki od wizji rozwijającego się i dobrze prosperującego miasta. To raczej obraz wojny, a nawet cała galeria, jak to określa irański badacz Hamid Dabashi, w której widać „kakofonię bezmyślnego okrucieństwa”. ■

MARCIN RZEPKA jest orientalistą, pracownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

lem cierpienia tych ludzi, uwięzionych między walczącymi wojskami Asada i jego szyickimi sojusznikami a siłami opozycji. Dodatkowo, informacje o użyciu broni chemicznej wobec cywilów potwierdziły niewyobrażalny tragizm mieszkańców tego miasta.

W połowie sierpnia Peter Maurer, przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, apelował do polityków o podjęcie działań mających ochronić cywilów. Przekonywał, że nikt pozostający w mieście nie może czuć się bezpiecznie w czasie nieustannych nalotów. Sytuację w Aleppo określił jako najbardziej wyniszczający konflikt miejski we współczesnej historii. Maurer wzywał obie strony do zaprzestania walk oraz ochrony ludności, nie tylko zagrożonej bezpośrednimi działaniami wojennymi, lecz także mierzącej się z brakiem elektryczności, wody oraz dostępu do podstawowej opieki medycznej.

Pomoc w warunkach syryjskich staje się jednak przedmiotem walki. Na początku września ponad 70 organizacji pomocowych w Syrii zawiesiło współpracę z agendami Organizacji Narodów Zjednoczonych, domagając się bardziej przejrzystych działań i kontroli jednostek zajmujących się dystrybucją dóbr oraz odpolitycznienia inicjatyw humanitarnych. Krytyka dotyczyła przede wszystkim akcji podejmowanych przez Asada, mających najczęściej charakter propagandowy. Trudno zatem oprzeć się wrażeniu, że koniec walk w Aleppo rozpocznie znacznie trudniejszą batalię – o serca i umysły tamtejszej społeczności. Zbyt



MINISTERIO DA DEFESA NACIONAL

TADEUSZ WRÓBEL

Czarne chmury nad specjalsami

Na szkoleniu poligonowym zmarło dwóch kandydatów na komandosów armii portugalskiej. Po tej tragedii niektórzy politycy zaczęli postulować likwidację jednostki specjalnej.

Tragiczne doniesienia o śmierci dwóch uczestników kursu komandosów portugalskich wojsk lądowych wywołały dyskusję polityków o tym, czy kraj ten potrzebuje jednostek specjalnych. Sprawa jest o tyle kłopotliwa dla ministerstwa obrony i sił zbrojnych, że podobne wypadki miały już miejsce w portugalskim wojsku przed niemal 30 laty.

DRAMAT NA POLIGONIE

W upalne popołudnie 4 września 2016 roku na portugalskim poligonie w Alcochete trwało szkolenie ochotników do jednostki komandosów. Podczas strzelania jeden z nich, 20-letni Hugo Abreau z Madery, źle się poczuł. Obecny na miejscu lekarz zdiagnozował u niego udar cieplny i odesłał do obozu kompanii, ale stan Abreau się pogorszył i postanowiono go przewieźć do szpitala. Wkrótce żołnierz

zmarł. Podobne objawy miał tego dnia też 20-letni Dylan Araujo, którego zgon nastąpił sześć dni później. Ostatecznie okazało się, że ze szkolenia trafiło do szpitala aż 11 z 67 kursantów. U niektórych poszkodowanych pojawiły się objawy rhabdomyolizy, czyli rozpadu tkanki mięśniowej poprzecznie prążkowanej.

Śmierć dwóch żołnierzy i problemy zdrowotne kilku innych spowodowały, że kurs komandosów przerwano. Szkolenie może być wznowione dopiero po badaniach medycznych uczestników i sprawdzeniu formuły treningu. Szef Sztabu Generalnego Armii gen. Frederico José Rovisco Duarte zarządził dochodzenie w sprawie przyczyn tragedii w Alcochete. Wojskowy wymiar sprawiedliwości zajęą się prowadzącymi kurs instruktorami i zabezpieczającym go personelem medycznym. Portugalski minister obrony José Alberto de Azeredo Ferreira Lopes nie chciał

TRZYMIE- SIĘCZNY KURS KOMAN- DOSÓW UCHODZI ZA NAJBARDZIEJ MORDERCZE SZKOLENIE W PORTUGAL- SKIM WOJSKU

spekulować na temat przyczyn śmierci wojskowych i zaapelował, by spokojnie poczekać na wyniki śledztwa. Niemniej jednak pojawiły się sugestie, że żołnierze mogli cierpieć na jakieś niewykryte podczas badań lekarskich schorzenia. W mediach pojawiła się też informacja, że do tragedii mogły się przyczynić wysoka temperatura i odwodnienie organizmu. Rzecznik prasowy armii ppłk Vicente Pereira podał, że w niedzielne popołudnie na strzelnicy było 40,7°C, ale szkolący się żołnierze mieli pełen dostęp do wody.

MORDERCZA SELEKCJA

Dwunastotygodniowy kurs komandosów uchodzi za najbardziej mordercze szkolenie, jakie przechodzą wojskowi w portugalskich siłach zbrojnych. Dla wielu chętnych sam początek bywa tak wyczerpujący fizycznie i psychicznie, że odpadają w pierwszym tygodniu. Tu faktycznie bowiem ludzie doprowadzani są do granic swych możliwości psychofizycznych – w końcu celem selekcji jest wybranie najlepszych. „To ciężki trening, który zapobiega stratom w walce”, stwierdził były szef sztabu armii, gen. José Luís Pinto Ramalho, zacytowany w artykule opublikowanym w elektronicznym dzienniku „Observador”. Gen. mjr rez. Carlos Branco, były dyrektor szkolenia komandosów, podkreślił natomiast: „ten kurs jest dla ludzi, a nie nadludzi”.

Niewymieniony z nazwiska instruktor z kursu komandosów zwraca uwagę na jakość dzisiejszych kandydatów do jednostki: „Młodzi ludzie często myślą, gdy przychodzą do oddziału specjalnego, że jesteśmy superbohaterami”. Zdarza się zatem, że niektórzy przyjmują suplementy mające poprawić sprawność (jeżeli zostaną złapani, natychmiast są wyrzucani z kursu). Przy czym wielu kandydatów do sił specjalnych ma słabe przygotowanie fizyczne, bo zaczyna ćwiczyć dopiero w wieku dorosłym.

Byli dowódcy wojskowi w reakcji na sugestie, że należy zmienić program szkolenia kandydatów na komandosów, odpowiadają, że podobnie wyczerpujące kursy istnieją w elitarnych jednostkach zagranicznych, takich jak amerykańska SEAL czy brytyjska SAS. Tam również czasami zdarzają się wypadki. Obecnie w USA trwa postępowanie związane z samobójstwem żołnierza piechoty morskiej. Ustalono, że prawdopodobnie powodem targnięcia się na życie było brutalne podejście instruktorów do kursantów. Najostrej na propozycję zmiany procesu szkolenia portugalskich komandosów zareagował gen. Ramalho, który

przed laty sam ukończył ten kurs. Otóż stwierdził, że „nikt nie myśli o zmianie szkolenia w piłce nożnej przez to, że gracz zmarł podczas gry”. Wojskowi podkreślają, że tragedia nie są codziennością. Ostatnia zdarzyła się po kilkunastu latach od wznowienia kursu komandosów.

Portugalskie media przypominały, że niedawny śmiertelny wypadek nie był pierwszy. 14 kwietnia 1988 roku dwaj żołnierze, José Luís Grilo i Fernando Teixeira Bastos, zmarli w podobnych okolicznościach. Ówczesny rzecznik armii ppłk Sequeira Marques jako przyczynę ich śmierci podał odwodnienie i udar cieplny. Z objawami odwodnienia trafiło

wówczas do szpitala jeszcze czterech innych wojskowych. Kolejny incydent miał miejsce 11 września 1990 roku na marszobiegu w Alcochete, gdy zasłabł żołnierz José Mário da Silva i zmarł podczas transportu śmigłowcem do szpitala. Sztab Generalny Armii jako powód zgonu podał „zaburzenia sercowe związane z objawami zawału serca”. Media zaczęły wówczas sugerować, że przyczyną śmierci mogło być brutalne traktowanie żołnierza. Wokół pułku komandosów zaczęła tworzyć się zła atmosfera, która doprowadziła do jego likwidacji 17 grudnia 1993 roku.

DECYZJA POLITYCZNA

Pułk odtworzono 22 grudnia 2002 roku, co można powiązać z wybuchem wojny z terroryzmem po atakach 11 września 2001 roku w USA. Po tegorocznej śmierci dwóch komandosów pojawiły się jednak głosy kwestionujące potrzebę istnienia jednostki. Według Catariny Martins z Bloku Lewicy, pułk nie odpowiada szczególnym potrzebom demokratycznego portugalskiego społeczeństwa i nie powinien być reaktywowany w 2002 roku. Zwróciła też uwagę na rodowód komandosów, sięgający czasów dyktatorskich rządów António de Oliveiry Salazara. W 1962 roku w Angoli, wówczas portugalskiej kolonii, powstały bowiem grupy specjalne do zwalczania afrykańskich partyzantów, które później działały też w innych koloniach – w Gwinei i Mozambiku.

Inne ugrupowania i kluczowi politycy, jak prezydent Marcelo Rebelo de Sousa i minister Lopes, są w tej kwestii ostrożni. Choć przyznali, że w kręgach politycznych jest rozważana likwidacja pułku komandosów, zastrzegli, że żadne decyzje jeszcze nie zapadły. Można ich oczekiwać dopiero późną jesienią, po zakończeniu śledztwa w sprawie tragedii na poligonie w Alcochete. ■

GRZEGORZ JANISZEWSKI

Wizja życia w schronie

**Rosjanie budują sieć bunkrów przeciwatomowych.
Czy to oznacza, że grozi nam wojna nuklearna?**

Dziesiątki przeciwatomowych bunkrów, mających pełnić funkcję centrów dowodzenia, powstają na terenie całej Federacji Rosyjskiej. Mark Schneider, były analityk Pentagonu, zajmujący się tematyką nuklearną, stwierdził, że jest to część rosyjskich przygotowań do konfliktu wielkoskalowego, w którym zostanie użyta broń nuklearna. Taką informację w sierpniu 2016 roku ujawniono na portalu Washington Free Beacon.

DEMONSTRACJA SIŁY

W czasach zimnej wojny państwa NATO i Układu Warszawskiego masowo budowały schrony, mające pomieścić centra dowodzenia, cywilów i zapasy w razie ataku nuklearnego. Regularnie też prowadzono ćwiczenia i informowano społeczeństwo, jak się wówczas zachować. Po upadku ZSRR w państwach Europy Zachodniej i Środkowej przeciwatomowe schrony popadły jednak w zapomnienie i ruinę. Niektóre stały się atrakcjami turystycznymi... Tyle że nie wszystkie. W USA funkcjonuje

m.in. podziemny kompleks dowodzenia w Cheyenne Mountain w Kolorado czy centrum operacyjne w Mount Weather w Wirginii. Również Rosjanie po zakończeniu zimnej wojny nie zaniechali całkowicie konserwacji i budowy przeciwatomowych schronów. Pod Moskwą cały czas istnieje powstały w tamtych latach system podziemnych bunkrów i tuneli, mających chronić rosyjskie władze w razie zagrożenia. Już w 1996 roku w „New York Timesie” donoszono, powołując się na CIA, o budowie tajnego kompleksu dowodzenia ulokowanego głęboko pod górą Jamantau na południowym Uralu. Jego rozbudowa trwa do dziś i nawet w trudnych dla Rosji latach dziewięćdziesiątych XX wieku nie wstrzymano tam prac.

Informacje o schronach nie oznaczają więc wcale, że wkrótce zostanie rozpętana wojna nuklearna. Należy je traktować raczej jako uzupełnienie dotychczasowego rosyjskiego przekazu, który można określić jako „threat power”. Po reformie rosyjskich sił zbrojnych i demonstracji twardej siły w konwencjonalnym konflikcie z Gruzją w 2008 roku i działaniach hybrydowych na Ukrainie,



przyszła również pora na projekcję możliwości w dziedzinie strategicznej broni nuklearnej.

W ostatnich latach Rosjanie zapowiedzieli zastąpienie starszych międzykontynentalnych pocisków RS-18B i RS-12M Topol przez nowsze RS-24 Jars i RS-12M1/2 Topol-M, ponowne wprowadzenie do służby zestawów wyrzutni pocisków strategicznych na podwoziach kolejowych i zastąpienie potężnej R 36M Wojewoda rakietą RM 28 Sarmat. Do 2021 roku z rosyjskich arsenałów mają zniknąć wszystkie międzykontynentalne rakiety pochodzące jeszcze z czasów ZSRR, aby zrobić miejsce dla najnowszych modeli rosyjskiej myśli technicznej.

Jest zatem logiczne, że modernizacji systemów rakiet strategicznych przenoszących głowice jądrowe powinna towarzyszyć również budowa nowoczesnych centrów dowodzenia, które umożliwią kierowanie działaniami podczas konfliktu nuklearnego. Rosjanie od dawna opierają swoje wpływy m.in. na posiadaniu broni nuklearnej. Niejednokrotnie też w mniej lub bardziej zawołowanej formie zapowiadali możliwość jej użycia. Bez zdolności de-

fensywnych w tej dziedzinie, groźby te jednak brzmiały mniej wiarygodnie.

Nieprzypadkowy jest też moment ujawnienia tych informacji. Według Rosjan ogłoszenie na szczycie w Warszawie przez Jensa Stoltenberga, sekretarza generalnego NATO, wstępnej gotowości systemu obrony przeciwrakietowej, w którego skład wchodzi instalacja Aegis Ashore, a który osiągnie pełną gotowość po oddaniu instalacji w Redzikowie, wymagało adekwatnej odpowiedzi. Nie bez znaczenia są również rosyjskie działania wokół Ukrainy. Od początku sierpnia można było obserwować eskalację działań zbrojnych w Donbasie. Rosja ujawniła również rzekome działania dywersyjne, które miały być prowadzone na Krymie przez ukraiński wywiad.

We wrześniu podczas spotkania grupy G 20 w Pekinie odbyła się kolejna runda rozmów przywódców Rosji, Francji i Niemiec w sprawie Ukrainy. Prawdopodobnie chodzi o nacisk na zniesienie sankcji nałożonych przez Zachód. Wbrew buńczuczным zapowiedziom władz rosyjskich, powodują one spore spustoszenie w gospodarce



i finansach Federacji. Ich dotychczasowe konsekwencje przypuszczalnie są również powodem ostatnich przetasowań kadrowych, dokonanych przez Władimira Putina. Stanowisko stracił m.in. szef prezydenckiej administracji, wieloletni zaufany współpracownik Putina, Siergiej Iwanow. Nastąpiły także zmiany władz w kilku okręgach federalnych oraz w Federalnej Służbie Celnej. Nowymi szefami w większości zostali ludzie wywodzący się z Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Narasta też konflikt między Putinem a częścią oligarchów, czego przykładem jest spór wokół prywatyzacji kluczowych rosyjskich spółek energetycznych, m.in. Baszniefu, z których dochody miały zasypać rosnącą dziurę budżetową. Bez zniesienia sankcji sytuacja gospodarcza Rosji w ciągu kilkunastu miesięcy może się dramatycznie pogorszyć, zagrażając podstawom funkcjonowania państwa i trwałości obecnej władzy. Dlatego wystosowano specyficzny apel o ich zniesienie.

OSTATNI NABÓJ

Rosja odrzuciła wzorce komunikacji wypracowane przez państwa demokratyczne. Jednocześnie nie potrafi stworzyć takich, które mogłyby być akceptowane przez Zachód. Dlatego odwołuje się do starych metod z czasów Związku Radzieckiego. A ich nieodłącznym elementem jest straszenie globalnym konfliktem atomowym. Można już zaobserwować skutki takiego postępowania. W Niemczech, gdzie silne są ruchy pacyfistyczne i antynuklearne, szerokim echem odbił się opublikowany projekt zalecenia niemieckich władz, aby gromadzić zapasy pozwalające na samodzielne przeżycie dziesięciu dni w razie sytuacji kryzysowej. Chociaż zalecenie to wynikało z opracowywanego od kilku lat programu obrony cywilnej, zostało potraktowane jako ostrzeżenie przed zbliżającą się wojną.

Frank-Walter Steinmeier, lider Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), znany z wypowiedzi o „pobrzękiwaniu szabelką” na ćwiczeniach „Anakonda ’16”, zapelował o „spróbowanie niemożliwego”, czyli proponowanie Rosji współpracy w dziedzinie kontroli europejskich zbrojeń. To również powrót do zimnowojennej retoryki niemieckich socjaldemokratów. Jednak w sytuacji, kiedy większość państw członkowskich NATO wydaje na obronność poniżej 2% PKB, a USA koncentrują swoje działania na Dalekim Wschodzie, brzmi to jak naiwne pacyfistyczne postulaty z lat osiemdziesiątych XX wieku.

I zdaje się, że właśnie o to chodzi władzom Federacji Rosyjskiej. Moskwa, w obliczu jednoci państw członków NATO zademonstrowanej podczas szczytu w Warszawie, pokonuje kolejny stopień straszenia, przechodząc od gróźb zniszczenia konkretnej europejskiej stolicy za

pomocą broni jądrowej do wizji wywołania nuklearnego Armagedonu. Korzysta przy tym z pomocy zachodnioeuropejskich „poputczyków”. Zmęczone niekończącym się kryzysem finansowym, emigracyjnym i Brexitem społeczeństwa państw zachodnich są podatne na takie działania. Widać to m.in. po wzroście notowań tzw. antysystemowych partii w państwach Unii Europejskiej, które wzywają do ograniczenia roli NATO, a w swoich programach zwykle mają postulat ułożenia stosunków z Moskwą, w domyśle ułożenia za cenę ustępstw, w tym również terytorialnych, w zakreślonej przez nią rosyjskiej strefie wpływów.

W rzeczywistości pokazuje to jednak raczej, że Rosja wyciąga już ostatni nabój ze swojego arsenału. Stosowana przez lata rosyjska „soft power” z chwilą zajęcia Krymu i wywołania rebelii na wschodniej Ukrainie w dużym stopniu straciła moc oddziaływania. Siła zademonstrowana w Gruzji i na Ukrainie wywołuje z kolei reakcję członków NATO. Pomimo zaangażowania sojuszu poniżej oczekiwań państw Europy Środkowo-Wschodniej, odnowienie zobowiązań i nowe otwarcie jest faktem. Tymczasem Rosja na zapowiedź rozmieszczenia czterech sojusznicznych batalionów w tym rejonie reaguje groźbą wojny światowej. Przełomem z jej strony byłoby np. rozpoczęcie prac nad tarczą antyrakietową na wzór amerykańskiej czy też izraelskiego systemu Iron Dome, która pokrywałaby terytorium całej Federacji Rosyjskiej lub jej większość. Ze względu na możliwości technologiczne i finansowe Moskwy jest to jednak niemożliwe. Takie postępowanie ma znaczenie również w wymiarze wewnętrznym. Utrwała forsowane przez władze rosyjskie wrażenie zagrożenia ze strony Zachodu i postrzeganie Rosji jako oblężonej twierdzy. W atmosferze grożącego międzynarodowego konfliktu łatwiej jest tłumaczyć społeczeństwu konieczność znoszenia coraz większych niedogodności spowodowanych zachodnimi sankcjami. Ważny jest również efekt konsolidacji wokół obecnej władzy.

Jednym z koszmarów czasu zimnej wojny była wizja długotrwałego przebywania w schronie przeciwiatomowym. Jest to więc również straszak przywołany w celu sterroryzowania społeczeństwa. Podobnie jak za czasów Związku Radzieckiego, obywatelom Rosji łatwiej będzie znosić coraz większe ograniczenia, przerzucając odpowiedzialność na państwa Zachodu, które rzekomo chcą wpędzić Rosjan do bunkrów przeciwiatomowych. ■

Mjr dr GRZEGORZ JANISZEWSKI pełni służbę w dowództwie 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego w Powidzu. Specjalizuje się w tematyce sił zbrojnych państw byłego ZSRR i polityce zagranicznej Federacji Rosyjskiej.

**IV MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA I WYSTAWA**

**CYBER SECURITY:
BEZPIECZEŃSTWO PONAD GRANICAMI**



**17 listopada 2016
Warszawa**

www.cyber.ztw.pl

TADŁUSZ WRÓBEL

GORĄCE LATO

**Niedawno doszło do najkrwawszych
od 2010 roku starć w indyjskiej części
Kaszmiru. Zginęło ponad 100 osób.**

Atak kaszmirskich separatystów przeprowadzony rankiem 18 września na indyjską bazę wojskową w Uri, 70 km na zachód od Srinagaru, zaostrzył trudne relacje między Indiami a Pakistanem. Indyjscy wojskowi stwierdzili, że zabici czterech napastnicy mieli pakistańską broń, karabinki AK-47 z podwieszanymi granatnikami. W zamachu na tyłowe stanowisko dowodzenia 12 Brygady Piechoty zginęło lub zmarło w wyniku odniesionych ran 18 wojskowych z Pułku Dogra.

Kaszmir od dziesięcioleci jest źródłem nieporozumień między Indiami a Pakistanem. Muzułmanie, stanowiący większość mieszkańców indyjskiej części tego regionu chcą połączenia z Pakistanem lub niepodległości Kaszmiru. Co jakiś czas wybuchają w regionie ostre protesty uliczne, w czasie których dochodzi do starć z indyjskimi siłami bezpieczeństwa. Tak też było latem tego roku. W czasie wspólnej operacji przeciwpartyzanckiej jednostek Narodowych Strzelców 8 lipca 2016 roku zabito Burhana Muzaffara Waniego, dowódcę grupy Hizbul Mudżah



DO WYBUCHU W KASZMIRZE POTRZEBNA BYŁA TYLKO ISKRA, A STAŁA SIĘ NIĄ ŚMIERĆ BURHANA MUZAFFARA WANIEGO

hedin. Służby bezpieczeństwa namierzyły go w rejonie Kokernag, gdy wraz z dwoma towarzyszami wyszedł z ukrycia, by wziąć udział w święcie religijnym Id al-Fitr. Policja podała, że zbombardowano budynek, w którym rebelianci skryli się po wymianie ognia. Według innych świadków, zastrzelono ich, kiedy próbowali uciekać.

Eksperci obserwujący sytuację w Kaszmirze już na przełomie lat 2015 i 2016 informowali o rosnącym napięciu w regionie oraz radykalizacji miejscowych mieszkańców. Wśród powodów wskazywali bardzo złą sytuację

ekonomiczną i związane z tym wysokie bezrobocie, ale zwracali również uwagę na łamanie praw człowieka przez siły bezpieczeństwa i militaryzację przestrzeni publicznej. Jednocześnie brakowało jakiegokolwiek dialogu politycznego. Do wybuchu była potrzebna tylko iskra, a stała się nią śmierć Waniego.

Dlaczego wywołała taką wściekłość wśród młodych Kaszmiczyków? Burhan Muzaffar Wani miał około 20 lat i należał do nowej generacji bojowników – był aktywny w mediach społecznościowych, gdzie zamieszczał →

Z PERSPEKTY- WY HISTORII WIELOLETNI SPÓR O KASZMIR JEST NIE DO ROZWIĄZANIA

antyindyjskie wpisy, zdjęcia i filmy. Równie aktywni byli inni członkowie grupy, osoby wykształcone, wywodzące się z klasy średniej. Dla młodych mieszkańców Kaszmiru stali się idolami. Na pogrzeb Waniego przybyło około 200 tys. osób. Były szef stanowego rządu Omar Abdullah powiedział, że przywódca będzie bardziej groźny po śmierci niż za życia, bo stał się ikoną dla niezadowolonej części mieszkańców regionu. Tak zresztą mówił o nim w mediach jeden z uczestników protestów: „Burhan Wani jest naszym bojownikiem wolności. Jest postacią realną, bohaterem”.

KAMIENIE KONTRA ŚRUT

Jak tylko rozniosła się wieść o śmierci Waniego, 9 lipca we wszystkich dziesięciu dystryktach Doliny Kaszmiru rozpoczęły się antyindyjskie protesty uliczne. Uczestniczyli w nich głównie młodzi mężczyźni, którzy atakowali przedstawicieli sił bezpieczeństwa i obiekty publiczne, przede wszystkim posterunki policji. Kaszmirczykom odcięto wówczas dostęp do internetu, wstrzymano także ruch kołowy i kolejowy. Pierwszego dnia zginęło 11 protestujących. Starcia trwały dalej, więc po sześciu dniach indyjskie władze w całym Kaszmirze wprowadziły godzinę policyjną i zawiesiły telefonię komórkową. A w ten region skierowano posiłki dla sił bezpieczeństwa – 5 tys. funkcjonariuszy z Central Reserve Police Force. Niemniej jednak niepokoje trwały dalej, liderzy separatystów apelowali o organizowanie kolejnych marszów protestacyjnych i strajków. Pod koniec lipca zaczęto łagodzić niektóre z wprowadzonych restrykcji – 26 lipca przywrócono internet, a następnego dnia łączność komórkową, tyle że w sierpniu chwilowo, w zależności od sytuacji, znowu je zawieszano. Do tłumienia protestów policja i jednostki paramilitarne używały gazów łzawiących, pocisków kauczkowych i wiatrówek na śrut. Chociaż nie sięgnięto po broń z ostrą amunicją, liczba ofiar antyindyjskich wystąpień była bardzo duża. Organizacje obrony praw człowieka zażądały zaprzestania korzystania z broni śrutowej, ale przedstawiciele władz Indii zgadzali się tylko na ograniczenie jej użycia. Do 20 września zginęło ponad 80 protestujących, a ponad 7 tys. osób odniosło rany. Poważne straty podczas starć zanotowały też indyjskie siły bezpieczeństwa – 20 zabitych i ponad 4 tys. rannych.

Premier Pakistanu Nawaz Sharif był zszokowany tym, że indyjskie siły bezpieczeństwa zabiły nie tylko Waniego, którego uznał za męczennika, lecz także innych kaszmir-

skich cywilów. Ostre słowa padły również z drugiej strony. Indyjski szef rządu Narendra Modi zarzucił Pakistanowi gloryfikację terroryzmu, a Rajnath Singh, minister spraw wewnętrznych, stwierdził, że „cokolwiek dzieje się w Kaszmirze, jest sponsorowane przez Pakistan. Ma nazwę »Pakistan«, ale jego działanie jest nieczyste”. Wykorzystał tu grę słów, w języku urdu słowo „Pakistan” ozna-

cza bowiem „kraj czystości”. W indyjskich mediach pojawiła się też informacja, że zachodni sąsiad wspierał finansowo organizatorów tegorocznych wystąpień, a za udział w nich protestujący brali pieniądze. Armia indyjska podała natomiast, że udaremniła próby przekroczenia linii demarkacyjnej przez grupy rebeliantów.

STARY SPÓR

Tym razem między politykami indyjskimi i pakistańskimi doszło na razie tylko do ostrej wymiany zdań w sprawie Kaszmiru. W przeszłości oba kraje toczyły wojny o ten region. W 1947 roku, gdy kolonialne Indie, uzyskując niepodległość, podzieliły się na dwa odrębne państwa – Republikę Indii i Pakistan, oba chciały mieć Kaszmir w swych granicach. Jego ostatni radża Hari Singh uznał, że lepsza jest oferta rządu nowych Indii. Pierwsza wojna wybuchła już 22 października 1947 roku i trwała do 1 stycznia 1949 roku. Zakończyła się połowicznym sukcesem Pakistanu, który przejął kontrolę nad jedną trzecią regionu, więc za zwycięzcę uznano Indie. W 1962 roku straciły one jednak znaczącą część zdobytego terenu na rzecz Chińskiej Republiki Ludowej. Pakistan, licząc na osłabienie Indii po wojnie z Chińczykami, w 1965 roku podjął próbę opanowania kontrolowanej przez nie części Kaszmiru. Najpierw władze w Islamabadzie chciały wznicić tam rewoltę, a gdy ta metoda okazała się nieskuteczna, 1 października 1965 roku zaatakowały Indie. Konflikt zakończył się już po 23 dniach, a podczas rozmów pokojowych ustalono, że strony wrócą na pozycje sprzed wojny. Do kolejnego zatargu doszło w 1971 roku, ale wówczas front w Kaszmirze miał drugorzędne znaczenie. Starcia miały charakter lokalny i nie spowodowały zmian w przebiegu linii demarkacyjnej. Ostatnie ciężkie walki pakistańsko-indyjskie w tym regionie miały miejsce w maju i czerwcu 1999 roku. Jak widać, jest to wieloletni spór w zasadzie nie do rozwiązania i z perspektywy historii tego regionu kolejna fala protestów w Kaszmirze pozostaje tylko kwestią czasu. ■

WOJCIECH
LORENZ

Ostrzeżenie generała



Wielka Brytania nie byłaby w stanie obronić się przed atakiem ze strony Rosji. Taką alarmującą informację przekazał gen. Richard Barrons, były szef dowództwa połączonych sił Wielkiej Brytanii, w liście do ministra obrony. Zdaniem generała, który zaledwie kilka miesięcy temu odszedł na emeryturę, brytyjskie siły zbrojne zostały przystosowane do walki z terroryzmem, ale zatraciły zdolność do obrony własnego kraju. Nie są też przygotowane do prowadzenia operacji wsparcia sojuszników z NATO, ponieważ nie dysponują wystarczającą siłą ognia, systemami walki elektronicznej czy zdolnością do obrony przed atakiem z powietrza.

Z powodu problemów budżetowych Wielka Brytania rzeczywiście dokonała w ostatnich latach głębokich cięć w swoich siłach zbrojnych. Zgodnie ze strategią z 2010 roku liczebność wojska została zmniejszona ze 180 tys. do około 140 tys. Najbardziej ucierpiały siły lądowe, które zmniejszono ze 100 tys. do 80 tys. żołnierzy. Wycofano również ze służby m.in. lotniskowce i morskie samoloty patrolowe.

Nowa strategia przyjęta w 2015 roku ma jednak odwrócić tę tendencję. Według planu, budżet obronny do końca dekady zostanie utrzymany na poziomie 2% PKB. W 2016 roku wyniesie około 35 mld funtów (45 mld dolarów), a w 2020 roku wydatki powinny sięgnąć prawie 40 mld funtów (52 mld dolarów). Pozwoli to na utrzymywanie m.in. czterech atomowych okrętów podwodnych uzbrojonych w rakiety balistyczne (zapewniających zdolność odstraszania nuklearnego), siedmiu uderzeniowych okrętów podwodnych i co najmniej 13 dużych jednostek nawodnych (niszczycieli i fregat). W 2020 roku brytyjska marynarka wprowadzi do służby pierwszy z dwóch nowych lotniskowców. Planowany jest zakup 138 samolotów piątej generacji F-35 Lightning II. Liczebność wojsk lądowych zdolnych do przerzutu zwiększy się natomiast z 30 tys. do 50 tys.

Nie można jednak zapominać, że Wielka Brytania nawet po cięciach jest jednym z najsilniejszych militarnie europejskich członków NATO. Dysponuje drugim największym budżetem w NATO i piątym na świecie. Jest też jednym z dwóch (obok Francji) państw w Europie, które ma zdolność do globalnej projekcji siły. Dlaczego więc generał bije na alarm? NATO w obecnym środowisku bezpieczeństwa musi się liczyć z możliwością sprowokowania konfliktu przez Rosję. Strategicznym celem obecnych władz w Moskwie może być np. podważenie sojuszu i zmuszenie Zachodu do rozmów o nowym układzie sił w Europie. Aby to osiągnąć, Rosja mogłaby wykorzystać regionalną przewagę nad państwami granicznymi NATO. Dlatego celem sojuszu musi być zniesienie jej do podjęcia tego typu działań. Odstraszanie może być jednak skuteczne pod warunkiem, że będzie on miał potencjał do odzyskania utraconego terytorium, a to oznacza posiadanie dużych sił i odpowiedniego uzbrojenia. Choć pewne procesy w NATO zostały uruchomione, pula sił utrzymywanych w stanie wysokiej gotowości jest zbyt mała, a uzbrojenie niewystarczające. Jak się również wydaje, państwa członkowskie nie są mentalnie przygotowane do eskalacji, która może oznaczać zagrożenie dla ich własnego terytorium. Generał po prostu wskazuje, że wiarygodność Wielkiej Brytanii jest ograniczona. Aby ją zwiększyć, konieczne jest nie tylko wstrzymanie cięć i wzmacnianie potencjału militarnego, lecz także rozwój zdolności do obrony własnego terytorium.



WOJCIECH LORENZ jest analitykiem ds. bezpieczeństwa i przemysłu obronnego w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

HISTORIA

/ II WOJNA ŚWIATOWA



„Batory” przed
wojną był kutrem
pościgowym Straży
Granicznej.



JAKUB NAWROCKI

WIELKA UCIECZKA BATOREGO

**Niewielki kuter patrolowy przedarł się przez morską
blokadę tuż przed zajęciem Helu przez hitlerowców
i szczęśliwie dopłynął do Szwecji.**



T

rwająca od 1 września 1939 roku wojna obronna zaczęła się na Pomorzu i toczyła nieprzerwanie przez miesiąc. Walki o Westerplatte, Kępę Oksywską, Wejherowo i Półwysep Helski świadczyły o determinacji i chęci utrzymania dostępu do morza. W ostatnich dniach września w rękach Polaków znajdował się jedynie Rejon Umocniony Hel, gdzie polscy żołnierze stawiali opór najeźdźcy.

OSTATNIA SZANSA

Polskie dowództwo obrony półwyspu przez radio dowiedziało się o kapitulacji Warszawy i Twierdzy Modlin – ostatnich dużych ośrodków walki w kraju. 1 października kadm. Józef Unrug na odprawie wyższych oficerów Rejonu Umocnionego Hel postanowił skapitulować, nie widząc dalszego sensu obrony Wybrzeża. Wiadomość ta szybko dotarła do żołnierzy. Niektórzy z nich popadli w apatię, część po miesiącu nieustannych walk przyjęła wiadomość z ulgą. Wielu nie pogodziło się jednak z decyzją o kapitulacji. Byli to młodzi oficerowie i marynarze, którzy chcieli kontynuować walkę z najeźdźcą. Delegacja zgłosiła się do kadm. Unruga z prośbą o zezwolenie na organizację i przeprowadzenie ucieczki z obleganego półwyspu. Uzyskali zgodę. Dowódcą eskapady został kpt. Jerzy Milisiewicz.

Wybór padł na ORP „Batory”. Był to polskiej konstrukcji kuter pościgowy zwodowany w 1932 roku. W okresie międzywojennym pełnił służbę w Straży Granicznej jako okręt służby celnej. Dzięki dwóm silnikom benzolowym i jednemu dieslowskiemu okręt o długości 21 m i uzbrojony w dwa ciężkie karabiny maszynowe typu Maxim wz. 08 – po

jednym na rufie i dziobie – mógł rozwinać prędkość do 25 w., co wówczas było bardzo dobrym rezultatem. Wykorzystywano go zatem do zwalczania przemytu morskiego.

W sierpniu 1939 roku kuter zmobilizowano do służby w marynarce wojennej i w czasie kampanii wrześniowej przewoził rannych oraz pełnił funkcje pomocnicze dla innych okrętów nawodnych i podwodnych biorących udział w obronie polskiego wybrzeża. 1 października 1939 roku okręt stał na redzie w porcie helskim. Śmiałkowie podjęli gorączkowe przygotowania do wyjścia w morze. Marynarze zaczęli zlewać paliwo z uszkodzonych lub nieużywanych okrętów i statków do baków „Batorego”.

Kpt. Milisiewicz wraz z innymi oficerami przygotowywali w tym czasie trasę ucieczki. Starsi stopniem oficerowie, którzy przyglądali się poczynaniom załogi, namawiali śmiałków do zrezygnowania z wyprawy. Twierdzili, że nie mają szans przedarcia się przez kordon Kriegsmarine, a zdradliwe wody Bałtyku mogą okazać się zabójcze dla załogi tak małej jednostki. 1 października po godzinie 19 okręt z 16 śmiałkami wyszedł jednak w morze z helskiego portu rybackiego.

PRZERWANIE BLOKADY

Kpt. Milisiewicz, zamiast obrać kurs na północ w stronę Szwecji, skierował „Batorego” w kierunku równoległym do Mierzei Wiślanej. Dowódca i pozostali marynarze zdawali sobie sprawę, że najsilniejszy kordon niemieckich okrętów znajduje się od strony północnej i zachodniej portu helskiego, a wody w kierunku Prus Wschodnich są znacznie słabiej kontrolowane. Polski kuter dopiero po około dwóch godzinach zmienił kurs i obrał kierunek w stronę szwedzkiej wyspy Gotland. Od wyjścia z portu „Batory” płynął z wyłączonymi światłami rozpoznawczymi.



Obraz Adama Werki „Ucieczka ORP „Batory” z Helu do Szwecji”

ORP „BATORY” BYŁ JEDYNYM POLSKIM OKRĘTEM, KTÓREGO ZAŁODZE UDAŁO SIĘ ZBIEC W OSTATNICH DNIACH KAMPANII WRZEŚNIOWEJ. DOKONAŁO TEGO 16 ŚMIAŁKÓW POD DOWÓDZTWEM KPT. JERZEGO MILISIEWICZA

Gdzieś w połowie drogi do szwedzkiej wyspy Polacy zauważyli dwa niemieckie okręty patrolowe. Dzięki doskonałym zdolnościom nawigacyjnym i opanowaniu udało się im jednak niepostrzeżenie uniknąć reflektorów i kontaktu z niemieckimi jednostkami. Tyle że nie był to koniec przygód. Nad ranem na Bałtyku zerwał się silny wiatr, który zaczął rzucać „Batorym”. Obawiano się, że okręt zszedł z kursu, a potężne fale mogą zatopić małą jednostkę, przystosowaną do pływania na wodach przybrzeżnych. Na dodatek silniki zaczęły tracić moc z powodu przeciążenia i braku paliwa. Tylko dzięki tytanicznej pracy mechaników pokładowych udało się uruchomić silnik Diesla i utrzymać sterowność kutra. Okręt niepostrzeżenie przedarł się przez trzy kordony blokady niemieckiej.

Rankiem 2 października zauważono niemiecki samolot zwiadowczy. Informacja o polskim kutrze szybko dotarła do jednostek Kriegsmarine. Zaczęła się walka

z czasem. „Batory” nie płynął na najwyższych obrotach, by nie przeciążyć silnika, a niemieckie okręty zaczęły zmierzać w jego kierunku. W końcu załoga kanonierki „Grille” dogoniła polski kuter. Wtedy los uśmiechnął się do Polaków. Marynarze szwedzkiego niszczyciela torpedowego „Ragnar” zauważyli niewielką polską jednostkę i goniący go dużo większy okręt. Domyślili się, że mają przed sobą uciekinierów, którzy za wszelką cenę nie chcą trafić do niemieckiej niewoli. Gdy zatem „Batory” przekroczył granicę wód terytorialnych Szwecji, „Ragnar” go osłaniał, aby Polacy bezpiecznie dopłynęli do brzegu.

Uciekinierzy dotarli do Klintehamn 2 października 1939 roku o godzinie 15.30. Okazało się, że dopłynęli na ostatnich litrach paliwa. Następnego dnia „Ragnar” odholował kuter do Visby. Trzech funkcjonariuszy Straży Granicznej i dwóch pracowników wojska zwolniono, a sześciu oficerów i pięciu marynarzy



PO WOJNIE ORP „BATORY” WRÓCIŁ DO POLSKI I PEŁNIŁ SŁUŻBĘ W WOJSKACH OCHRONY POGRANICZA



ORP „Batory” pod eskortą szwedzkiego niszczyciela HMS „Ragnar” dotarł do portu Klintehamn.

internowano. „Batory” był jedynym polskim okrętem, którego załódze udało się zbiec w ostatnich dniach kampanii wrześniowej. Co prawda tego samego dnia z portu helskiego wypłynęły w stronę Szwecji jeszcze dwie jednostki – „Hel 111” i „Hel 117”, ale obrały one kurs wprost na północ i niedaleko od polskiego wybrzeża zostały zatrzymane przez okręty floty niemieckiej.

LOSY NIEZŁOMNYCH

Polscy oficerowie i marynarze z ORP „Batory” w Szwecji starali się na wszelkie sposoby u miejscowych władz o zmianę statusu. W tajnym raporcie z polskiego poselstwa w Sztokholmie do rządu polskiego w Londynie w 1943 roku informowano, że: „Sześciu oficerów – kpt. Ceceniewski, kpt. mar. Korsak, kpt. Milisiewicz, por. mar. Męczyński, por. mar. Górski i ppor. mar. Tarczyński oraz trzech marynarzy wszczęli starania u Szwedów o uważanie ich za uciekinierów nie zaś internowanych, opierając się na rzekomym fakcie, że uciekli z Helu na łodzi prywatnej,

nieuzbrojonej i zostali zabrani na otwartym morzu przez motorówkę »Batory«. Mają nadzieję, że umożliwi im to wydostanie się z Szwecji”. Pod koniec 1943 roku załogę zwolniono i Polacy na początku 1944 roku trafili do Wielkiej Brytanii, gdzie podjęli służbę w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Pomysłodawca i organizator ucieczki – Jerzy Milisiewicz – po wojnie nie wrócił do Polski. Osiadł z rodziną w Kanadzie, gdzie zmarł w 1978 roku.

„Batory” po wojnie wrócił do kraju i pełnił służbę w Wojskach Ochrony Pogranicza. W 1957 roku został przekazany Lidze Przyjaciół Żołnierza, następnie Lidze Obrony Kraju i pływał po Zalewie Żegrzyńskim do końca lat sześćdziesiątych minionego stulecia. Nieużywany od 1969 roku stał w basenie portu rzeczno-jeziornego na Żeraniu w Warszawie, czekając na złomowanie. Dzięki oficerom marynarki wojennej w 1973 roku został jednak odholowany na Hel, gdzie w porcie wojennym stanął jako okręt-pomnik. W 2009 roku po remoncie trafił z kolei do Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, gdzie się znajduje do dziś. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Kara za gorliwość



Chorąży Janusz P. zawodową służbę wojskową zakończył ponad dziesięć lat temu, ale teraz należy do Narodowych Sił Rezerwowych. Opowiada, że kiedy szkoli NSR-owców, ma dylemat, jakie zasady im wpajać, bo dziś wojsko ma surowe procedury, tymczasem od lat kojarzyło się z odrobiną brawury, a nawet łamaniem niektórych nakazów. Janusz P. ma na swoim koncie taki przypadek.

Lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Podczas szkolenia poligonowego strzelają działa samobieżne Goździk. Kiedy artylerzyści przygotowują się do kolejnego strzelania, zastępca dowódcy pułku zauważa kłęby czarnego dymu nad jednym z dział. Nie ma wątpliwości – goździk się pali. Żołnierze są w tym czasie na odprawie szkoleniowej, a na dodatek nie mają sprzętu gaśniczego. Trzeba im koniecznie pomóc.

Chorąży błyskawicznie organizuje potrzebny sprzęt i wraz z dwoma technikami, również żołnierzami zawodowymi, pędzi samochodem do płonącego dział. Szybko gaszą ogień. Załódze nic się nie stało, bo była na odprawie, a tylko kierowca został trochę poparzony – prawdopodobnie zasnął w środku i nie zdążył szybko opuścić wozu. Ogień był tak duży, że rozszczelnił beczki na paliwo umieszczone z tyłu goździka. Na szczęście były puste. Na dodatek w przedziale bojowym leżał na podłodze pocisk artyleryjski. Gdyby nie interwencja żołnierzy, mogło dojść do potężnej eksplozji.

Szybko wyjaśniono przyczynę pożaru. W zależności od komendy, jaki ładunek ma się znaleźć w lufie, żołnierze część woreczków z prochem, których w ładunku standardowym było więcej, rzucali na podłogę. W ferworze zajęć nikt ich stamtąd na bieżąco nie usuwał, zazwyczaj porządkowano dopiero po strzelaniach. Któryś z żołnierzy, kiedy wychodził na odprawę, prawdopodobnie rzucił na podłogę niedopałek papierosa.

Wóz odesłano do remontu, a chorąży wraz z kolegami uczestniczącymi w akcji gaśniczej zostali wezwani do raportu przed dowódcą jednostki. Nikt nic nie mówił, ale skrycie wszyscy mieli nadzieję przynajmniej na uścisk dłoni wodza. Tymczasem zostali zbesztani – za brak uprawnień do takich działań, nadgorliwość i niepotrzebne ryzykowanie życia. Wszyscy zostali ukarani dyscyplinarnie. Chorąży do dziś nie może się z tym pogodzić. ■



Ppłk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.

PIOTR BOCZOŃ

DYWIZJON KUBUSIÓW

Podczas II wojny światowej powstał polski dywizjon wsparcia artylerii, mający pomagać w walkach żołnierzom gen. Andersa.

W czasie walk na froncie włoskim artyleria aliantów, ze względu na ukształtowanie terenu, często musiała korzystać z pomocy dywizjonów współpracy z artylerią. Samoloty latały na niewielkiej wysokości, tuż nad linią frontu. Pilot utrzymywał stałą łączność z dowódcą baterii, dla której wykonywał zadanie. Po wykryciu stanowisk przeciwnika przekazywał współrzędne celu artylerzystom, którzy otwierali ogień. Obowiązkiem pilota było korygowanie prowadzonego ostrzału i informowanie, w jakiej odległości od celu padły salwy. Jednocześnie musiał on tak sterować samolotem, aby cel był cały czas w zasięgu jego wzroku – była to trudna i niebezpieczna sztuka.

WSPARCIE ARTYLERII

Żołnierze 2 Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa walczący pod Monte Cassino często potrzebowali pomocy dywizjonów współpracy z artylerią. Używane przez nie małe awionetki Piper Cub przypominały Polakom nasze przedwojenne samoloty sportowe RWD-6 lub RWD-9 i nazwali je po swojemu „kubusiami”. Tyle że dywizjon brytyjski działał na rzecz artylerzystów brytyjskiej 8 Armii, a amerykański wykonywał zadania dla amerykańskiej 5 Armii. Oba dywizjony były stale obciążone zadaniami i często nie mogły wydzielić nawet klucza, aby wesprzeć Polaków. W związku z tym na któryś ze szczebli dowodzenia polskiego korpusu narodziła się idea stworzenia od podstaw takiego dywizjonu. Jednostka w założeniu miała działać na korzyść polskich baterii wchodzących w skład 2 Korpusu dowodzonego przez gen. Andersa (w korpusie było w sumie sześć pułków artylerii). Do brytyjskiego dywizjonu skierowano zatem mjr. Edmunda Pawlikowskiego, żeby poznał specyfikę działania tej jednostki. Squadron leader William Wright,



663rd Polish Air Observation Post Squadron składał się z trzech eskadr: A, B, i C. Każda z nich miała do dyspozycji pięć samolotów Auster Mk.V.



Obiekty 62 Szkoły Lotniczej Południowoafrykańskich Sił Powietrznych w Bloemfontein w okolicach Pretorii.

PIŁOCI DYWIZJONU WYKONALI W SUMIE 530 LOTÓW BOJOWYCH

dowódca brytyjskiego dywizjonu, zezwolił nawet majorowi na kilka lotów – oczywiście w charakterze obserwatora. Pawlikowski dowiedział się wówczas m.in., że pilotami maszyn są wyłącznie ochotnicy rekrutujący się z młodszych oficerów artylerii. Na podstawie raportu z tego rekonesansu gen. Anders wystąpił do brytyjskiego dowództwa z prośbą o wydanie zgody na utworzenie polskiego dywizjonu współpracy z artylerią.

Brytyjczycy przychyliłi się do prośby polskiego generała – na przełomie maja i czerwca 1944 roku rozpoczęto formowanie dywizjonu. Z powodu dużej liczby chętnych podjęto decyzję, że z każdego pułku artylerii zostanie wybranych tylko dwóch oficerów. Szczęściarze zostali skierowani do Kairu na komisję lotniczo-lekarską, popularnie zwaną „cebulą”, która ostatecznie dopuściła do szkolenia lotniczego 22 polskich oficerów. Wybrańcy po badaniach nie wrócili już do swoich pułków, lecz zostali przeniesieni do batalionu zapasowego, który nie brał udziału w walkach. W 62 Szkole Lotniczej Południowoafrykańskich Sił Powietrznych w Bloemfontein w okolicach Pretorii, gdzie mieli się szkolić kandydaci na pilotów, nie było polskich in-



Pierwszym dowódcą polskiego dywizjonu wsparcia dowodzenia został squadron leader William Wright, ale miał on pełnić swoje obowiązki tylko do momentu zakończenia organizacji dywizjonu, tzn. do grudnia 1944 roku, żeby później przekazać obowiązki mjr. Edmundowi Pawlikowskiemu (na zdjęciu).

strukturów, więc w oczekiwaniu na rozkaz wylotu oficerowie wykorzystywali wolny czas na podszlifowanie języka angielskiego. Intensywnie uczyli się też lotniczego żargonu, aby jak najszybciej móc rozpocząć naukę pilotażu.

Wreszcie 5 lipca 1944 roku polscy oficerowie dostali rozkaz wylotu do Pretorii. Cztery dni później kandydaci na pilotów rozpoczęli już w szkole w Bloemfontein kurs teoretyczny. Uczyli się m.in. budowy silników lotniczych oraz płatowców, teorii lotu, sposobów prowadzenia i korygowania ognia artylerii, obliczania i przekazywania współrzędnych o wykrytych celach. Równocześnie rozpoczęto szkolenie na symulatorach lotu. 23 lipca Polacy zdali egzamin z teorii i rozpoczęli pierwsze lekcje pilotażu na samolotach szkolnych De Havilland Tiger Moth.

Przydzielono ich do 1 Dywizjonu (oprócz nich w szkole były jeszcze trzy inne dywizjony szkolące pilotów), którym dowodził squadron leader William Stewart. Wszystkich Polaków podzielono na sześć grup, po trzech i czterech uczniów, a do każdej z nich wyznaczono instruktora. Program szkoleniowy przewidywał, że każdy uczeń musi wykonać co najmniej 30 lotów z instruktorem. Po takiej liczbie

godzin spędzonych w powietrzu pilot powinien być gotowy do pierwszego samodzielnego lotu. Ta wielka chwila dla polskich oficerów nadeszła 15 sierpnia – wszyscy Polacy z doskonałym wynikiem zaliczyli trudny egzamin.

We wrześniu polscy piloci zakończyli szkolenie na samolotach Tiger Moth i przesiedli się na samoloty British Taylorcraft Auster Mk. II. Początkowo Polacy dostali tylko dwa austery Mk. II, ale wkrótce przydzielono im kolejne cztery maszyny w wersji Mk. III. Szkolenie powoli dobiegało końca i 4 października wykonano ostatnie loty. Nadszedł rozkaz powrotu do Włoch.

CHRZEST BOJOWY

8 października sformowano polski dywizjon wsparcia artylerii (663rd Polish Air Observation Post Squadron), który składał się z trzech eskadr: A, B, i C. Każda z nich miała do dyspozycji pięć samolotów typu Auster Mk.V. Pierwszym dowódcą nowo powstałej jednostki został squadron leader William Wright, ale miał on pełnić swoje obowiązki tylko do momentu zakończenia organizacji dywizjonu, tzn. do grudnia 1944 roku, żeby później przekazać obowiązki mjr. Edmundowi Pawlikowskiemu.

Dywizjon miał głównie wspierać działania 2 Korpusu, ale 23 grudnia 1944 roku został podporządkowany dowódcy 15 Grupy Armii z jednoczesnym przebazowaniem bliżej linii frontu. 8 stycznia 1945 roku polscy piloci wykonali swoje pierwsze loty bojowe na rzecz brytyjskiego V Korpusu wchodzącego w skład 8 Armii. Wreszcie od 13 lutego 1945 roku dywizjon podporządkowano gen. bryg. Romanowi Odzierżyńskiemu, dowódcy artylerii 2 Korpusu.

W kwietniu tego roku poszczególne eskadry współpracowały z polską artylerią w bitwie o Bolonię (Eskadra A została przydzielona do 3 Dywizji Strzelców Karpackich, Eskadra B – do 5 Kresowej Dywizji Piechoty, a Eskadra C – współdziałała nadal z Brytyjczykami). Wówczas dywizjon poniósł pierwsze straty – podczas lotu został ranny por. pil. Franciszek Perucki, a 14 kwietnia poległ por. pil. Sławomir Grodzicki. Były to jedyne straty dywizjonu podczas działań wojennych. 25 kwietnia 1945 roku dywizjon wzniósł się w powietrze po raz ostatni w czasie II wojny światowej. Polscy piloci wykonali w sumie 530 lotów bojowych. Po zakończeniu działań wojennych dywizjon był wykorzystywany jeszcze kilka miesięcy do lotów łącznikowych i kurierskich. Na początku października 1946 roku nadszedł rozkaz, aby samoloty odtransportować na lotnisko Treviso i zdać je Brytyjczykom. 19 października 1946 roku 663 Polski Dywizjon Obserwacyjny – znany bardziej wśród polskich żołnierzy jako dywizjon kubusiów – został oficjalnie rozformowany. ■

95
LAT

ANNA DĄBROWSKA

Indeks w mundurze

**Każdy z absolwentów
zna cenę stopnia oficerskiego,
bo droga do niego
prowadziła przez trudy
i niepowodzenia.**

Właściwe wykształcenie młodego oficera to podstawa przyszłości naszej armii”, pisał w 1927 roku mjr Kazimierz Lawicki w „Polsce Zbrojnej”. Jak dodawał, to dzięki dobrym oficerom jest możliwe stworzenie wojska silnego nie tylko militarnie, lecz także mocą charakterów jego żołnierzy. „To bowiem oficerowie, późniejsi wychowawcy młodych szeregowych, kształtują ich ducha i umysły”.

NA KONIU I W POWIETRZU

Z pewnością praca nad charakterami przyszłych absolwentów była jednym z zadań Oficerskiej Szkoły Jazdy w Grudziądzu. „Uczelnia, którą kieruje z sukcesem generał Stefan Kasprzycki de Castenedolo, nie tylko kształci u żołnierzy umiejętności dowódcze i rozwija swoich słuchaczy fizycznie i duchowo. Jej celem jest także wpojenie wychowankom wartości, takich jak braterstwo, odwaga i poświęcenie”, podawał dziennikarz wojskowej gazety w 1925 roku.

Jak opisywał reporter, szkoła dysponuje wspaniałymi warunkami do kształcenia, ma świetne konie i place ćwiczeń, w tym ujeżdżalnie, tory przeszkód i tory do władania białą bronią.

Podczas wizyty w Grudziądzu dziennikarz relacjonował uroczystość promowania absolwentów kończących dwuletnią naukę w szkole. „Podchorążowie, ustawieni w dwa rzędy na placu, pięknie się prezentują w mundurach z proporczykami amarantowo-granatowymi i nało-



Gen. dyw. Leon Berbecki
wręcza nominacje
na podporuczników
w Oficerskiej Szkole
Podchorążych Inżynierii
w Warszawie. 1931 rok.

żonymi na nie liśćmi dębu”. Tego samego dnia szkole został wręczony sztandar ufundowany przez żony oficerów wszystkich pułków kawalerii.

Z kolei w 1938 roku „Polska Zbrojna” pisała o utworzonej dwa lata wcześniej Wyższej Szkole Lotniczej. „Nacisk tutaj kładziony jest na teoretyczne i praktyczne kształcenie kadr dla jednostek i sztabów lotnictwa. Podczas studiów słuchacze zapoznają się z taktyką lotnictwa i balonów, higieną lotniczą, techniką lotniczą, a także zasadami walki w przestworzach oraz współdziałania lotnictwa z siłami lądowymi. Nie brakuje także taktyki, służby sztabów oraz historii i geografii wojennej”.

TRUDNA DROGA DO GWIAZDEK

Czterdzieści lat później w „Żołnierzu Wolności” pisało o obchodzącej 20-lecie istnienia Wojskowej Akademii Medycznej. „Absolwenci tej uczelni stanowią 80 procent pracujących czynnie w wojsku lekarzy. Łódzka akademia, przygotowująca kadry lekarskie i farmaceutów, cieszy się niesłabnącą popularnością wśród maturzystów”. Nie było jednak łatwo dostać się na te studia. Od kandydatów wymagano dobrego przygotowania z fizyki, chemii, biologii, łaciny, odpowiednich predyspozycji fizycznych i psychicznych, a także społecznikowskiej postawy.

„Absolwenci uczelni uzyskują dwa patenty: dyplom lekarza i oficera, dlatego prócz normalnego programu realizowanego na cywilnych uczelniach medycznych muszą opanować problemy medycyny wojskowej oraz wiedzę ogólnowojskową”.

Tych podchorążych, którzy wytrwali na studiach i skończyli je z sukcesem, czekała uroczysta promocja. „Dzisiaj niejeden przyszły oficer przypomina sobie, jak jeszcze nie tak dawno przekraczał bramę szkoły i niepokoił się, czy zostanie przyjęty, a teraz opuści jej mury na zawsze”, pisał kpt. Janusz Bojarski. Nie wszystko przebiegało jednak prosto i łatwo. „Ileż razy droga do sukcesu prowadziła przez niepowodzenia, ileż razy trzeba było łamać trudności i przezwyciężać zniechęcenie”.

Dzięki temu jednak, jak podkreślał kapitan, każdy absolwent zna cenę stopnia oficerskiego. W pełni zdaje sobie też sprawę, że dopiero w trakcie pracy w oddziale przejdzie prawdziwy egzamin ze swoich kwalifikacji wojskowych. „Sukces młodych oficerów będzie zależeć od nich samych i od tego, jak wysoko cenić będą godność i honor munduru oficerskiego”.

Droga do oficerskich gwiazdek zaczynała się od rekrutacji. „Kandydatem do szkół oficerskich może być

tylko posiadacz świadectwa ukończenia średniej szkoły ogólnokształcącej lub równorzędnej technicznej”, podkreślano w dzienniku w 1960 roku. Jak pisał mjr Zdzisław Molski, szczególnie chętnie zgłaszała się młodzież ze wsi i prowincjonalnych miasteczek. Do szkół mogli też zdawać żołnierze pełniący zasadniczą służbę wojskową, jednak procent takich kandydatów był niewielki. „W wojsku coraz więcej jest młodych ludzi ze średnim wykształceniem, ale brakuje zachęty do studiowania ze strony dowódców”, uważał major.

SZKOŁY DLA WOJSKA

O naborze do szkół w „Polsce Zbrojnej” pisano także w 2012 roku. „Niemal pół tysiąca miejsc przygotowały wojskowe uczelnie dla maturzystów. Najwięcej – w warszawskiej Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie będzie mogło studiować 240 osób. Z kolei w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych czeka 158 miejsc. Dla przyszłych lotników w Szkole Orłąt w Dęblinie

przygotowano 62 indeksy, a szansę, by rozpocząć studia w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, ma 20 maturzystów”. Jak podawano, zainteresowanie studiami na wojskowych uczelniach jest spore, w tym roku zgłosiło się na nie prawie dziewięciu kandydatów na jedno miejsce.

Szczęśliwcy, którzy dostali się do szkoły, zaczynali trudną naukę. „Przez dwa tygodnie morską edukację na pokładzie okrętu szkolnego ORP »Wodnik« odbierali elewi Szkoły Podoficerskiej Marynarki Wojennej z Ustki. Rejs pozwolił im zdobyć cenną praktykę na morzu, także z zakresu eksploatacji i naprawy silników spalinowych oraz urządzeń hydroakustycznych”.

Zastanawiano się też nad zmianami w szkolnictwie mundurowym. „W pełni zawodowa armia, jaką ma się stać polskie wojsko w 2012 roku, będzie potrzebowała rocznie 500–700 nowych oficerów. Oznacza to, że potrzebujemy uczelni, w których kształciłoby się 3–3,5 tys. osób”, pisał w 2007 roku Artur Bartkiewicz.

„Stąd racjonalne wydają się argumenty za utworzeniem jednego Uniwersytetu Obrony Narodowej w miejsce dzisiejszych uczelni, choć w samych szkołach pomysł ten budzi poważne wątpliwości”. Jak dodawał dziennikarz, obecnie pięć uczelni wojskowych kształci pięć razy więcej studentów cywilnych niż przyszłych wojskowych oficerów. „Przesłanie reformy szkolnictwa wojskowego jest więc jednoznaczne – resort obrony chce odzyskać wojskowe uczelnie dla wojska”. ■

SUKCES MŁODYCH OFICERÓW BĘDZIE ZALEŻEĆ OD TEGO, JAK WYSOKO BĘDĄ CENIĆ GODNOŚĆ I HONOR MUNDURU OFICERSKIEGO

MARIUSZ KOWALSKI

ŚMIERĆ MNIE POCAŁUJE, ALE NIE TY

**Tego dnia, kiedy miał przysięgać
wierność ukochanej, walczył
z Niemcami.**

ARCHIWUM KIELECKIEGO OCHOTNICZEGO SZWADRONU
KAWALERII IM. 13 PUŁKU ULANÓW WILEŃSKICH



Późna noc 23 września 1939 roku. Trwa czwarty tydzień tragicznej, ale chwalebnej kampanii Wojska Polskiego w obronie niepodległości Polski. W chacie na skraju Suchowoli, w wyniku ciężkich ran klatki piersiowej, umiera por. Andrzej Prawdzic-Szamota – dowódca plutonu przeciwpancernego 13 Pułku Ułanów Wileńskich. Historia, jakich we wrześniu 1939 roku zdarzyło się wiele, dla członków Kieleckiego Ochotniczego Szwadronu Kawalerii im. 13 Pułku Ułanów Wileńskich – za sprawą pewnej mieszkanki Kielc – stała się inspiracją do rozwikłania tajemnicy miejsca wiecznego spoczynku młodego oficera.

ULAN I DZIEWCZYNA

Stacjonujący w Nowej Wilejce 13 Pułk Ułanów Wileńskich w okresie II Rzeczypospolitej cieszył się mianem szaleni walecznego i zasłużonego dla polskości Kresów. Bojową chwałę wywalczył w latach wojny polsko-bolszewickiej na szlakach od Wilna przez Grodno, Brześć, Mińsk, Połock, aż do Warszawy i terenu późniejszej Litwy Środkowej. Jednostka wchodziła w skład

3 Samodzielnej Brygady Kawalerii, dowodzonej w latach 1927–1937 przez gen. bryg. Mariana Przewłockiego.

Świeżo promowany ppor. Andrzej Szamota herbu Prawdzic w październiku 1935 roku rozpoczął służbę w 1 Szwadronie 13 Pułku Ułanów. Po trzech latach wypełnionych nienagannym wykonywaniem obowiązków młodszego oficera został skierowany na kurs w związku z planami wprowadzenia do pułków kawalerii nowej broni – armatek przeciwpancernych. W tym samym roku na wileńskim balu poznał Izabelę Borowską, wychowaną w Junczewicach na Wileńszczyźnie córkę Michała Borowskiego, kontradmirała marynarki wojennej. Piękna absolwentka Wydziału Sztuki Uniwersytetu Stefana Bato-rego w Wilnie i podopieczna prof. Ferdynanda Ruszczyca, autora wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej na sztandarze bojowym 13 Pułku Ułanów, uczęszczała ponadto na lekcje jazdy konnej prowadzone przez oficerów pułku w Nowej Wilejce, co scementowało ich wielką miłość. Zdolny młody oficer w marcu 1939 roku awansował do stopnia porucznika, obejmując dowództwo pułkowego plutonu przeciwpancernego.



Prof. Ferdynand Ruszczyc jest autorem wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej na sztandarze bojowym 13 Pułku Ułanów Wileńskich.



Zgodnie z ówczesną pragmatyką oficerską por. Andrzej Szamota w maju 1939 roku złożył wniosek o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego, który w sierpniu został zaaprobowany przez Ministerstwo Spraw Wojskowych oraz dowódców Wileńskiej Brygady Kawalerii i 13 Pułku Ułanów Wileńskich. Data ślubu została wybrana – ustalono, że będzie to niedziela 3 września 1939 roku. Niestety 29 i 30 sierpnia zmobilizowany pułk wchodzący w skład armii „Prusy” wyruszył ku przeznaczeniu ze stacji kolejowej Bezdany, aby więcej nie powrócić do swojego pokojowego garnizonu.

W pierwszych dniach września Wileńska Brygada Kawalerii, dowodzona przez płk. dypl. Konstantego Druckiego-Lubeckiego, manewrowała między Brzezianami a Sulejowem, aby w niedzielę 3 września zająć pozycje obronne w lasach nadleśnictwa Lubień. Tutaj właśnie doszło do pierwszych walk brygady. Por. Szamota w dniu, w którym miał przysięgać wierność Izabeli, musiał walczyć z żołnierzami 1 Dywizji Pancernej. Wiadomo, że jego sprawnie dowodzony pluton zniszczył w bojach kilka wozów niemieckich. W nocy z 5 na 6 września, działając na przedpolu Jaksonka, wspólnie z 4 Szwadronem pułku walczył z rozpoznaniem pancernym przeciwnika, uszkadzając dwa samochody pancerne, których załogi trafiły do niewoli.

7 września w okolicach Opoczna pluton por. Szamoty wraz z 1 Szwadronem Tatarskim stoczyły walkę z pancerno-motorowym rozpoznaniem 1 Dywizji Lekkiej, dzięki czemu nieprzyjaciel został zmuszony do powstrzymania marszu, a pozostałe oddziały pułku zyskały czas na odwrót. W nocy z 9 na 10 września, po walkach w obronie przedmościa maciejowickiego, pułk, kosztem wielkich strat, przeprowadził się wpraw przez Wisłę na wysokości Wilgi. Porucznik przyczynił się do uratowania dwóch armatek przeciwpancernych, które z innymi ułanami przeprowadził na improwizowanych środkach.

Tej nocy pułk rozdzielił się na dwie części, z których jedna dotarła aż do Medyki, gdzie wobec konieczności przerwania walki został zakopany jego sztandar bojowy. Druga część jednostki zakończyła swój szlak bojowy pod Góreckiem Kościelnym, uczestnicząc wcześniej, wraz z pułkami Mazowieckiej Brygady Kawalerii, w bitwie pod Suchowolą. Tam też dopełniły się dni por. Andrzeja Szamoty.

23 września, w późnych godzinach wieczornych, kilkudziesięciu żołnierzy



13 Pułku Ułanów osłaniało wycofywanie się szwadronów 7 Pułku Ułanów, które utknęły w czasie natarcia na wzgórze w okolicy wiatraka obsadzonego przez stanowisko niemieckiego ckm-u. Por. Andrzej Szamota dowodził resztkami swojego plutonu. W czasie walk został ciężko ranny w pierś i pod ogniem karabinu maszynowego wyniesiony z pola bitwy przez ordynansa oraz por. Włodzimierza Makalińskiego. W niewielkiej chacie na skaju Suchowoli, gdzie został przyniesiony

Przestrzelona papierośnica por. Andrzeja Prawdzic-Szamoty



Pamiętkowy proporczyk 13 Pułku Ułanów Wileńskich należący do por. Andrzeja Prawdzic-Szamoty.

na drzwiach wyrwanych z framugi wybuchem pocisku artyleryjskiego, w ostatnich chwilach świadomości umierający oficer prosił kolegę o przekazanie ukochanej Izabeli swoich dokumentów, papierośnicy z proporczykiem pułkowym oraz fotografii.

MAŁE WILNO

18 września 1939 roku do Wilna weszły wojska radzieckie, a w pierwszych dniach października na Wileńszczyznę zaczęli wracać żołnierze 13 Pułku Ułanów. W domu przy ulicy Ofiarnej, w którym mieszkała rodzina Borowskich, niecierpliwie wyglądano powrotu por. Szamoty. W czasie okupacji pani Izabela wyczekiwała każdej wiadomości o narzeczonemu, ale pierwsza pewna, o jego bohaterskiej śmierci na polu walki, dotarła dopiero w czerwcu 1945 roku, wraz z przestrzeloną papierośnicą i fotografią, na której były widoczne ślady krwi.

Zanim jednak do tego doszło, pani Izabela pochowała ojca zmarłego 23 grudnia 1939 roku w Wilnie, w którym przetrwała koszmar okupacji. W lipcu 1944 roku, tuż przed rozpoczęciem operacji „Ostra Brama”, wraz z matką wyjechały z ukochanego miasta, jak się wkrótce okazało – na zawsze. Przez ogarniętą powstaniem Warszawę dotarły do Kielc, które stały się dla nich na resztę życia „małym Wilnem”.

KIELECCY KAWALERZYŚCI

W 2005 roku członkowie Kieleckiego Ochotniczego Szwadronu Kawalerii im. 13 Pułku Ułanów Wileńskich, którego korzenie sięgają działającej od 1982 roku drużyny kawalerii harcerskiej, rozpoczęli prace na rzecz odtworzenia historycznego sztandaru ułanów „rose impériale”. Trafili wówczas do mieszkającej w Kielcach Izabeli Borowskiej. Stało się to za sprawą ks. Jerzego Karbownika, kustosa Sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennym, gdzie znajdował się obraz, którego autorką była właśnie ona – znany architekt sztuki sakralnej.

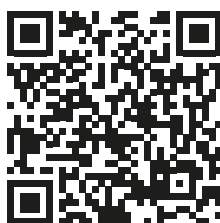
Pierwsze, bezskuteczne poszukiwania miejsca wiecznego spoczynku por. Szamoty już w czerwcu 1946 roku rozpoczęła jego siostra Janina Dekanska. Zebrane relacje wskazywały na nieopisane wtedy jeszcze groby wojenne na cmentarzu w Suchowoli oraz osobę Pawła Bosiaka, który miał uczestniczyć w pochówkach żołnierzy poległych pod tą miejscowością. Najważniejsze źródła informacji okazały się nieosiągalne – por. Włodzimierz Makaliński zginął śmiercią męczeńską w niemieckim obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, a miejsca zamieszkania ordynansa nie znano.

W 2007 roku, kiedy ułani kieleckiego szwadronu odwiedzili cmentarz w Suchowoli, na żołnierskich mogiłach od wielu lat wisały już żeliwne tablice znanych i nieznanym poległym – niestety bez nazwiska por. Andrzeja Szamoty. Była zaś tablica por. Antoniego Szamoty, poległego 23 września 1939 roku, którego jednak nazwisko nie figuruje w wykazach oficerów kawalerii II RP.

Czy pod tą inskrypcją został pochowany por. Andrzej Szamota, którego dokumenty zgodnie z ostatnią wolą zabrał por. Makaliński, a nazwisko z biegiem czasu zostało zniekształcone? A może oficer leży tu jako „nieznany porucznik kawalerii”? Tego już się nie dowiemy.

Na początku października 2007 roku, zaledwie dwa tygodnie po mszy świętej w rocznicę śmierci oficera pod Suchowolą, zmarła Izabela Borowska – matka chrzestna i autorka wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej na sztandarze Kieleckiego Ochotniczego Szwadronu Kawalerii. Została pochowana przy dźwiękach hejnału 13 Pułku Ułanów Wileńskich, razem z wielką urną przekazaną jej podczas wrześniowego nabożeństwa, w której kieleccy ułani umieścili ziemię z mogiły wojennej suchowolskiego cmentarza. A przestrzelona papierośnica – pamiątka po dzielnym poruczniku, od lat stanowi cenne wotum w kieleckim kościele Świętej Trójcy.

200stron fotografii lotniczych zespołów akrobacyjnych z całego świata

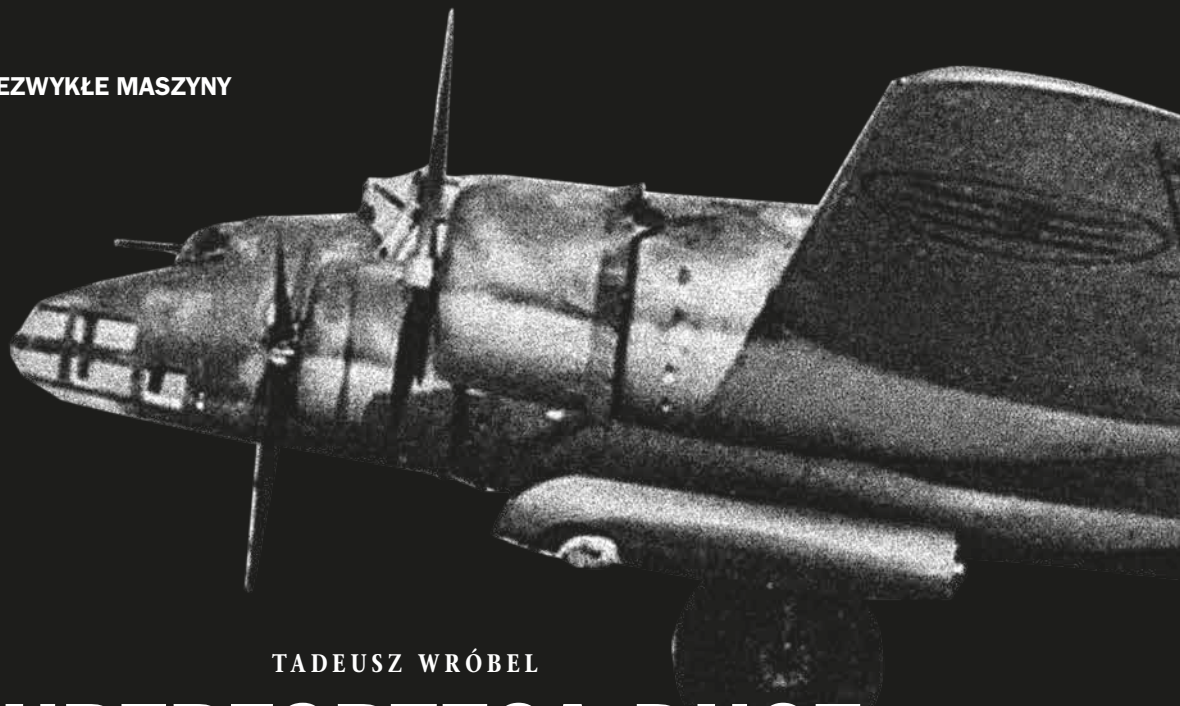


Obejrzyj
fragment
albumu

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400



TADEUSZ WRÓBEL

SUPERFORTECA DUCE

Włoskie lotnictwo wojskowe dysponowało podczas II wojny światowej niewielką liczbą czterosilnikowych bombowców dalekiego zasięgu.

Podobnie jak Amerykanie i Brytyjczycy, w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku Włosi wdrożyli program ciężkiego czterosilnikowego bombowca dalekiego zasięgu (Bombardiere a Grande Raggio – BGR). Maszyna miała uzupełnić flotę bombową królewskich sił powietrznych (Regia Aeronautica), w której bardzo popularne były samoloty trzysilnikowe, np. Savoia-Marchetti SM.79 czy – większy – SM.82. Ministerstwo lotnictwa otrzymało propozycje różnych konstrukcji czterosilnikowego bombowca. Program BGR rozstrzygnięto, wskazując na Canta Z.1014. 23 czerwca 1939 roku podsekretarz w ministerstwie lotnictwa gen. Giuseppe Valle podpisał rozkaz o budowie prototypów Z.512 i Z.1014 oraz Ca.204. Jednak planowane do nich silniki nie były gotowe, a firma Piaggio zaoferowała ministerstwu swój samolot w cenie o połowę niższej, czym pokonała konkurencję. Pierwszy, 27-minutowy lot prototypu P.108B odbył się 24 listopada 1939 roku. Potem rozpoczęły się testy nowego bombowca. Drugi prototyp P.108B oblatano 5 września 1940 roku.

GIGANT PIAGGIO

Projektant P.108B Giovanni Paolo Casiraghi stworzył dolnopłat o całkowicie metalowej konstrukcji z chowanym podwoziem. Bombowiec wyposażono w cztery sil-

niki gwiazdowe 18-cylindrowe Piaggio P.XII RC 35, każdy o mocy 1500 KM podczas startu, oraz w trzyłopatowe śmigła. Tuzin samouszczelniających się zbiorników zawierał około 12 tys. l paliwa.

Pomimo dużej mocy silników osiągi P.108B nie były imponujące. Pułap praktyczny wynosił tylko około 6000 m, a teoretyczny był o 2 tys. m wyższy, prędkość zaś maszyna rozwijała zaledwie do 420 km/h na wysokości 4300 m. Z dwiema tonami bomb P.108B miał zasięg 3335 km, a przy maksymalnym ich załadunku, czyli 3500 kg, zmniejszał się on do 2500 km. Samolot mógł przenosić bomby o wagomiarze 50, 100, 250 i 500 kg. Umieszczone one były w komorze w centralnej części kadłuba.

Jak na włoskie bombowce w tych czasach, P.108B otrzymał bardzo silne uzbrojenie defensywne, osiem karabinów maszynowych Breda-SAFAT. W części nosowej maszyny, za stanowiskiem bombardiera, a przed kabiną pilotów, ulokowano stanowisko strzeleckie z karabinem maszynowym kalibru 12,7 mm z zapasem 450 naboji. W drugiej serii budowanych bombowców, szukając sposobów na zmniejszenie masy samolotu, zrezygnowano z nosowego stanowiska strzeleckiego. Po tej zmianie prędkość maszyny wzrosła o 10 km/h.

Drugi karabin maszynowy kalibru 12,7 mm z zapasem 400–450 naboji, znajdował się w wypuszczanej wieżycz-



PROJEKTANT P.108B
GIOVANNI PAOLO CASIRAGHI
 stworzył dolnopłat o całkowicie
 metalowej konstrukcji
 z chowanym podwoziem.

ce pod kadłubem. W dwóch bocznych wieżyczkach z napędem hydraulicznym ulokowano pojedyncze karabiny maszynowe kalibru 7,7 mm. Najciekawszym rozwiązaniem było wprowadzenie sterowanych radiowo z napędem hydraulicznym wieżyczek Breda „Z”, ulokowanych na gondolach zewnętrznych silników. Każda z nich miała dwa karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm z zapasem po 300 naboju. Sterowali nimi strzelcy obserwujący obszar nad samolotem poprzez szklane kopuły na grzbiecie kadłuba. Podczas działań operacyjnych okazało się, że to rozwiązanie ma kilka mankamentów. Przede wszystkim był zbyt mały zapas amunicji. Ponadto, strzelając do tyłu, strzelec musiał uważać, by nie uszkodzić usterzenia pionowego. Ze względu na brak synchronizatora pozwalającego strzelać przez obracające się śmigła, strzelanie do przodu było możliwe tylko przy dużym kącie podniesienia broni. Nie było też żadnej możliwości usunięcia awarii wieżyczki w czasie lotu.

JEDNA ESKADRA

Produkcja czterosilnikowych bombowców odbywała się powoli, m.in. ze względu na wysoką cenę. Mimo że tańszy od konkurenta, Piaggio P.108B kosztował trzy razy więcej niż SM.79. Dlatego oprócz egzemplarza prototypowego zbudowano zaledwie 24 maszyny tego typu. Wszystkie trafiły do jednej jednostki – utworzonej 1 czerwca 1941 roku 274 Eskadry Bombowej Dalekiego Zasięgu (274^a Squadriglia Bombardamento a Grande Raggio), która stacjonowała na lotnisku Piza-San Giusto. Pierwszy bombowiec dostarczono do niej 19 lipca 1941 roku. Podczas lotów szkoleniowych doszło do różnych incydentów. W jednym z nich, 7 sierpnia 1941 roku, stracił życie kpt. Bruno Mussolini, pierwszy dowódca eskadry, syn włoskiego dyktatora Benita Mussoliniego.

274 Eskadra weszła do walki 9 czerwca. Pierwszą jej misją był nieskuteczny atak na okręt wojenny (przez niektóre publikacje podają, że w pobliżu Balearów, inne zaś, że w rejonie Malty). Dużą misją bojową z kolei był nocny nalot 28 czerwca 1942 roku na Gibraltar. Początkowo miało wziąć w nim udział pięć bombowców, które wystartowały z lotniska Decimomannu na Sardynii. Misja zaczęła się pechowo, bo z powodu problemów technicznych jeden z samolotów musiał zawrócić. Pozostałe cztery zbombardowały brytyjską bazę, ale miały kłopoty w drodze powrotnej. Dwa z nich zostały wtedy uszkodzone i nigdy nie powróciły do Włoch. 274 Eskadra przeprowadziła do 21 października 1942 roku jeszcze cztery ataki na Gibraltar, w których wzięło udział od jednego do czterech bombowców. Podczas tych misji jeden samolot zaginął, po dwa utracono w czasie lądowań w Algierii (kontrolowana wówczas przez współpracujący z Niemcami i Włochami rząd w Vichy) i Hiszpanii, jeden we Włoszech.

Gdy Amerykanie i Brytyjczycy wylądowali we Francuskiej Afryce Północnej, od 11 listopada 1942 roku bombowce P.108B wykorzystywano w atakach przeciwko alianckiej flocie w portach algierskich. W tym czasie 274 Eskadra miała zaledwie osiem maszyn. Trzy z nich zostały zestrzelone. W końcu stycznia 1943 roku do użycia nadawały się tylko dwa samoloty i jednostkę wycofano.

Po otrzymaniu nowych samolotów P.108B eskadra wzięła udział w lipcu 1943 roku w atakach przeciwko wojskom alianckim na Sycylii. W czasie tych misji dwa włoskie bombowce zostały zestrzelone. Ogółem w misjach bojowych stracono sześć P.108B, pięć w różnych incydentach, m.in. w trakcie przymusowych lądowań, dwa inne podczas lotów szkoleniowych. W chwili zawieszenia broni z aliantami Regia Aeronautica miała dziewięć P.108B. Osiem uszkodzono, by Niemcy nie mogli





Pułap:
6000–8500 m



Załoga:
7–8 osób

Masa pustego samolotu:

17 325 kg

Maksymalna masa startowa: 29 885 kg

Prędkość maksymalna:

420–430 km/h

Prędkość przelotowa: 376 km/h

Maksymalny zasięg: 3520 km

Uzbrojenie:

7–8 km Breda-SAFAT (5–6x12,7 mm i 2x7,7 mm), do 3500 kg bomb (np. 7x500 kg lub 34x100 kg)

Rozpiętość skrzydeł:

32 m

Powierzchnia skrzydeł:

135,34 m²

Wysokość: 7,7 m

Napęd:

4x Piaggio P.XII RC

Moc silnika:

1500 KM

Długość kadłuba: 22,92 m

BOMBOWIEC PIAGGIO P.108B

ich użyć, a jedną maszyną załoga zdołała uciec na kontrolowane przez aliantów południe Włoch.

NOWE ZASTOSOWANIA

Piaggio P.108B nie sprawdzał się jako bombowiec i włoskie lotnictwo zaczęło szukać dla niego innych zastosowań. W końcu 1942 roku postanowiono zbudować samolot P.108A (Artigliere), przeznaczony do zwalczania wrogiej żeglugi, który miał stanowić uzupełnienie maszyn torpedowo-bombowych. Włosi początkowo zamierzali zamontować w przeprojektowanej części nosowej kadłuba działko kalibru 90 mm. Jednak ostatecznie wybrali kaliber 102 mm. Zapas pocisków wynosił 50–60 sztuk. W pierwszej połowie 1943 roku przeprowadzono testy P.108A. Dodatkowym uzbrojeniem miały być trzy konwencjonalne torpedy lub dwie naprowadzane radiem. Do samoobrony zachowano wieżyczki na skrzydłach i w kadłubie.

Po testach P.108A zaprezentowano oficjelom 22 maja 1943 roku w Fulmara. Początkowo zamierzano zbudować pięć nowych samolotów i zmodernizować co najmniej pięć spośród maszyn P.108B. Jednak w końcu następnego miesiąca zamówienie ograniczono do pięciu egzemplarzy, a później do zaledwie dwóch. Większość terytorium Włoch została po 8 września 1943 roku, po

podpisaniu rozejmu z aliantami, zajęta. W ich ręce wpadł P.108A, który jednak został uszkodzony podczas alianckiego nalotu. Po dokonaniu napraw w kwietniu 1944 roku samolot przerzucono na lotnisko Rechlin w północnych Niemczech, gdzie był główny ośrodek badawczy Luftwaffe. Dalsze losy włoskiego samolotu są nieznane.

Innym pomysłem było zbudowanie na podstawie samolotu bombowego wersji pasażerskiej do lotów transatlantycznych. Prototyp P.108C, w którego kabinie mieściło się 32 pasażerów, wzbił się w powietrze 16 czerwca 1942 roku. Firma Piaggio dostała zamówienie na pięć maszyn. Wcześniej, 26 marca 1941 roku, zgłoszono zapotrzebowanie na wojskową wersję transportową P.108T. Maszyna, która 7 września 1942 roku wykonała pierwszy lot, zabierała do 60 żołnierzy lub 12–13 t ładunku. Była uzbrojona w cztery karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm, rozmieszczone pojedynczo w wieżyczkach grzbietowej i pod kadłubem oraz na bocznych stanowiskach.

Przed 8 września 1943 roku powstało prawdopodobnie 11 albo 12 maszyn obu wersji. Dziewięć z nich, cztery P.108C i pięć P.108T, przejęła Luftwaffe. Niemcy zmienili uzbrojenie samolotów, montując karabiny maszynowe MG 131 kalibru 13 mm, i używali włoskich transportowców w jednostce Transportfliegerstaffel 5. ■



KRZYSZTOF
KUBIAK

Bratni ogień



Chyba nic nie może u walczącego żołnierza wywołać większej wściekłości, frustracji i rozgoryczenia niż ostrzał towarzyszy broni. A takie sytuacje nieraz zdarzały się w historii wojen. Był to z reguły rezultat dynamiki zmiany sytuacji, warunków lokalnych, uniemożliwiających rozeznanie się dowódców w przestrzeni, a także strachu, paniki, braków w wyszkoleniu, czyli wszystkich czynników, które finalnie składają się na clausewitzowską „mgłę wojny” lub „pył bitewny”.

Podczas batalii pod Blenheim, na przykład, kiedy 13 sierpnia 1704 roku książę Marlborough i Eugeniusz Sabaudzki złamali wojskową dominację Francuzów w Europie, Austriacy porazili precyzyjnymi muskietowymi salwami swoich angielskich sojuszników. Z biegiem lat niewiele się zmieniło i złudzeniem okazało się przekonanie, że rozwój technicznych środków łączności ostatecznie rozwieje „mgłę wojny”. W trakcie obu wojen światowych kierowanie ognia na własne pozycje (zjawisko w literaturze anglosaskiej określane mianem bratniego ognia lub ognia bratobójczego) zdarzało się stosunkowo często. Wystarczy wspomnieć choćby zatopienie 2 maja 1942 roku ORP „Jastrząb”, czego dokonały norweski niszczyciel „St. Albans” i brytyjski trałowiec „Seagull”.

Do dramatycznych pomyłek wielokrotnie dochodziło też po II wojnie światowej. Jednak tylko raz, w czasie tureckiego lądowania na Cyprze, rozpoczętego 20 lipca 1974 roku, od własnego ognia duże straty poniosły obie strony. W pierwszym dniu inwazji grecka armia usiłowała wesprzeć swoich pobratymców z cypryjskiej gwardii narodowej batalionem sił specjalnego przeznaczenia, stacjonującym na Krecie. W bazie Suda ześrodkowano większość greckiego lotnictwa transportowego – 20 maszyn Nord 2501 Noratlas oraz dziesięć DC-47 Dakota. 21 lipca 1974 roku o godz. 22.40 pierwsze greckie maszyny poderwały się w powietrze i po ponad trzech godzinach rozpoczęły podejście do pasa lotniska w Nikozji. Nagle dostały się pod gęsty ogień artylerii przeciwlotniczej cypryjskich gwardzystów, którym nie przekazano informacji o tych działaniach. Trzy pierwsze samoloty zostały poważnie uszkodzone, ale wylądowały. Czwarty natomiast stanął w płomieniach i rozbił się około 3 km od pasa startowego. Zginęło wówczas 33 komandosów i lotników, przeżył tylko jeden.

21 lipca w godzinach popołudniowych katastrofalną pomyłkę popełnili też Turcy. Lotnicze grupy uderzeniowe, złożone z 28 samolotów F-100 Super Sabre i 16 maszyn F-104 Starfighter, zaatakowały własne niszczyciele. Wszystkie trzy okręty zostały trafione bombami o wagomiarze 454 kg. Najbardziej ucierpiał „Kocatepe” – jedna z nich, po pokonaniu przewodu kominowego, eksplodowała w maszynowni. Na okręcie wybuchł gwałtowny pożar, uniemożliwiający podjęcie akcji ratowniczej, i ostatecznie bezwładnie dryfujący niszczyciel zatonął wraz z większością załogi. Na wszystkich zbombardowanych okrętach zginęło 232 marynarzy.



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK
pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej
na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.



HORYZONTY

/ SPORT

REDUTY ORDONA

Z Ignacym Ordonem

**o kilkudziesięciu latach spędzonych w Legii Warszawa
rozmawia Andrzej Fąfara.**



MICHAŁ NIWICZ



Jak człowiek ze Śląska, gdzie wojskowa Legia nigdy nie cieszyła się sympatią, trafił do Warszawy na Łazienkowską?

W 1958 roku skończyłem kierunek piłkarski na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie i zaraz potem zacząłem pracować jako nauczyciel WF-u. Jednocześnie miałem etat trenerski w klubie Skra. Przyszłość zdecydowanie wiązałem z Warszawą. Do przejścia do Legii namawiał mnie Longin Janeczek, ceniony szkoleniowiec, który wtedy pracował z juniorami i szykował się do przejścia pierwszego zespołu na Łazienkowskiej. „Jako żołnierz zawodowy dostaniesz dwa razy więcej niż w Skrze. A dodatkowo będziesz miał wszystkie przywileje wojskowe”, kusił. W końcu się zgodziłem. Dali mi stopień podporucznika i etat. Płacili 2500 zł miesięcznie. W Skrze miałem tysiąc.

Tak po prostu został Pan podporucznikiem?

Wtedy na studiach obowiązywało szkolenie wojskowe. Zaraz po ukończeniu uczelni pojechałem do Skierniewic na obóz, po którym dostałem stopień sierżanta podchorążego. Legia mogła mnie więc spokojnie awansować na podporucznika.

Czy z pracy w szkole Pan zrezygnował?

Ależ skąd. Pracowałem na dwóch etatach. Rano szkoła, a po południu Legia. Nie było łatwo, bo zastępca szefa klubu złośliwie przydzielał mi raz w tygodniu służbę 24-godziną.

Nie lubił Pana?

Chyba mi zazdrościł. Ja zarabiałem w sumie 4 tys., a on tylko trzy. Ale na szczęście mogłem sobie wybrać dzień pełnienia służby... I wybieirałem niedzielę.

Nieźła harówka.

Byłem młody, miałem 30 lat. Człowiekowi wydawało się, że może góry przenosić.

Ale druga drużyna Legii to chyba nie były Alpy. Raczej Beskid Żywiecki.

Proszę pana, Legia była wtedy potężnym, wielosekcyjnym klubem. Miała nie tylko silną drużynę piłkarską, ale też znakomitych lekkoatletów, bokserów, szermierzy, siatkarzy. Byłem zadowolony z tego, co dostałem na początek. Liczyłem oczywiście, że kiedyś przejmę pierwszy zespół piłkarski.

Kogo miał Pan w tej drugiej drużynie?

Wtedy, na początku swojej pracy, bramkarza Władka Grotyńskiego, stoperów Andrzej Zygmunta i Felka Niedziółkę, a także napastnika Władysława Stachurskiego, który dopiero po jakimś czasie przekwalifikował się na obrońcę. Awansowałem z tym zespołem do trzeciej ligi. W nagrodę pojechaliśmy na turniej do Rijeki. Zapamiętałem ten wyjazd, bo boisko było tak usytuowane, że piłka po mocniejszym kopnięciu wpadała do Adriatyku.

A kto prowadził wtedy pierwszą drużynę Legii?

Jugosłowianin urodzony w Rumunii Virgil Popescu, który przyszedł do klubu w 1964 roku. Zdobył tylko Puchar Polski. Tylko, bo ambicje w Legii zawsze były olbrzymie i miejsce poniżej pierwszego w lidze uważano za porażkę. Wtedy właśnie zaproponowano mi pracę z pierwszym zespołem. Odmówiłem. Miałem przecież dopiero 30 lat, uważałem, że brakuje mi doświadczenia. Powiedziałem przełożonym, żeby dali mi jeszcze rok. ...I trenerem został Longin Janeczek. Ten sam, dzięki któremu znalazłem się w Legii.

Janeczka zastąpił Jaroslav Vejvoda. To już pamiętam.

Charyzmatyczny pułkownik czechosłowackiej armii. Znakomity trener.



Pracowałem na dwóch etatach. Rano szkoła, a po południu druga drużyna Legii. Nie było łatwo, bo zastępca szefa klubu złośliwie przydzielał mi raz w tygodniu służbę 24-godzinną

Na czym polegała jego wielkość?

Na autorytecie. Był stanowczy nawet wobec gwiazd. Kiedyś odesłał do rezerw Kazimierza Deynę, bo ten coś przeszkrobał podczas zgrupowania w Szklarskiej Porębie. Chyba wyszedł do miasta i spóźnił się kilka godzin. Kazio trafił więc na jakiś czas do mojej drugiej drużyny i strzelił nawet dwa gole w meczu z Okęciem. Stracił na tym, bo Legia nie płaciła premii za grę w rezerwach. Wracając do Vejdvody... Zawodnicy słuchali go nabożnie i wykonywali bez szemrania wszystkie jego polecenia. Ja przy nim awansowałem na głównego szpiega. Zgłosiłem się do niego i zaproponowałem, że będę podglądał rywali. Kluczowe były dla mnie dwie informacje: kto jest najlepszym strzelcem drużyny i kto najsłabszym obrońcą? Robiłem też statystyki. To było mniej więcej to samo, co dziś pokazują w ramach podczas transmisji telewizyjnych. Liczba strzałów celnych i niecelnych, fauli, rzutów różnych...

To się nazywało bank informacji.

Ja to zacząłem robić w latach sześćdziesiątych. Nazwa pojawiła się znacznie później i była kojarzona z Jackiem Gmochem.

Czy to prawda, że każdy piłkarz w Polsce chciał grać w Legii?

Nie wiem, czy każdy chciał grać w Legii, ale wiem, że Legia mogła mieć każdego.

Gerarda Cieślika nie dostała. Włodzimierza Lubańskiego też nie.

Cieślika w latach pięćdziesiątych uratował dla Ruchu Chorzów przodownik pracy Wiktor Markiewka – 577% normy. Przyjechał do Warszawy i pogadał z premierem Józefem Cyrankiewiczem. Nie wiem, kto interweniował w sprawie Lubańskiego. Ale to były wyjątki. Większość czołowych polskich graczy przewinęła się jednak przez ➔

Legię. Ernest Pohl, Edward Szymkowiak, Henryk Kempny i wielu innych.

I za to właśnie ludzie w całym kraju nienawidzili Legii. Uczucie to zresztą przetrwało do dziś, choć Legia już od dawna nie ma nic wspólnego z wojskiem. Jak wyglądał wtedy ten wojskowy pobór?

W tamtych czasach PZPN organizował raz w roku zgrupowanie najlepszych polskich juniorów. Jechałem tam i obserwowałem, kto się wyróżnia. Potem prosiłem każdego utalentowanego chłopaka o dane: adres, datę urodzenia, imię ojca. No i odpowiednia notatka szła z Legii do MON-u, a stamtąd oficjalne pismo do komisji poborowej.

Do Kazimierza Deyny pismo, o ile pamiętam, nie doszło?

Doszło. Komisja poborowa wysłała Deynie zawiadomienie, ale on go nie odebrał. Ktoś z Legii pojechał więc do domu Deynów do Starogardu Gdańskiego, żeby sprawdzić, co się z chłopakiem dzieje, i usłyszał, że Kazio zniknął. Minęło trochę czasu i odnalazł się w składzie ŁKS-u w jakimś meczu ligowym. Szefostwo Legii się wściekło. Do Łodzi zostali wysłani chłopcy z WSW [Wojskowej Służby Wewnętrznej] i przywieźli Deynę do Warszawy.

Na co liczyli działacze z Łodzi?

Na to, że jakoś to sobie załatwią. Trenerem ŁKS-u był Longin Janeczek, który jako oficer miał dobre koneksje w MON-ie. Tylko że tu chodziło o najzdolniejszego piłkarza w Polsce, a nie o jakiegoś tam juniora. Podobna sprawa była z Henrykiem Kasperczakiem, którego cwaniaki ze Stali Mielec ukryli w jakiejś małej jednostce. O Robercie Gadosze przypomniał sobie sam Vejdoda. „Igor – tak się do mnie zwracał – kto tam przyszedł do wojażki?”, zapytał. Ja mu na to: „Deyna już jest na Szwoleżerów, Kasperczak też”. „A Gadocha?”... No i zaczęły się poszukiwania Roberta, który już dawno powinien być w Warszawie. Odnalazł się w końcu w koszarach KBW [Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego] w Kielcach. Pewnego dnia wezwali mnie do jednostki na Szwoleżerów. Z Łazienkowskiej to dwa kroki. Poszedłem tam i zobaczyłem chłopaka w mundurze, z plecakiem. „Obywatelu poruczniku, melduje się szer. Gadocha”, usłyszałem. W tym momencie wiedziałem, że mamy ich wszystkich: Deynę, Kasperczaka i Gadochę.

Co się z nimi później działo?

Gadocha był już po przysiędze. Deyna i Kasperczak przeszli przyspieszone szkolenie rekruckie. Dwa tygo-

Legia była wtedy potężnym, wielosekcyjnym klubem. Miała nie tylko silną drużynę piłkarską, ale też znakomitych lekkoatletów, bokserów, szermierzy, siatkarzy

dnie... i przysięga. Musiałem przychodzić po nich na Szwoleżerów i przyprowadzać na treningi. Sami nie mogli tak po prostu wyjść z jednostki.

Kasperczak furory w Legii nie zrobił.

Grał u mnie w drugiej drużynie. W pierwszej nie wystąpił ani razu. Po odbyciu służby wojskowej, jeśli tak można nazwać jego pobyt w Warszawie, wrócił do Mielca. Ale Deyna i Gadocha natychmiast trafili do pierwszego zespołu. Po dwóch latach, żeby zatrzymać Deynę, przeniesiono go do marynarki, bo służba tam trwała trzy lata. Kazio na papierze stacjonował na jakimś okręcie na Wybrzeżu, ale tak naprawdę przebywał w Warszawie.

Na Szwoleżerów?

Po okresie rekruckim sportowców przenoszono ze Szwoleżerów do ośrodka CWKS Legia. Był to drewniany budynek w pobliżu basenu. Stamtąd zaś albo wracali do rodzinnych miast, albo zostawali w Legii. W tym drugim wypadku proponowano im mieszkania.

Tylko piłkarzom?

Wszystkim sportowcom. Legia dysponowała ogromną bazą lokalową. Mnie np. zaproponowano kilka mieszkań do wyboru. Zdecydowałem się na dwa pokoje ze ślepą kuchnią na Panieńskiej. Na trzecim piętrze. Nade mną mieszkał słynny bokser Jan Szczepański. Wracając do Deyny... Kazio zgodził się zostać zawodowym żołnierzem i dostał lokal przy Świętokrzyskiej.

Czyli miał etat w wojsku i grał w piłkę?

Tak właśnie było. Jeśli ktoś nie chciał być żołnierzem zawodowym, to dostawał etat instruktora. Fikcyjny rzecz jasna. Czasami fikcyjny etat otrzymywała też żona sportowca.

Piłkarze na pewno mieli dodatkowe premie...

Oczywiście. Otrzymywali premie za zwycięstwa i za remisy. W latach sześćdziesiątych było to 600 i 300 zł. To nie były jakieś oszałamiające kwoty. Wspominałem wcześniej, że zastępca szefa klubu zarabiał 3 tys. miesięcznie. Piłkarzom odbywającym służbę wojskową wpłacano te pieniądze na specjalne książeczki oszczędnościowe. Dopiero kiedy szli do cywila, dostawali je do ręki. Pozostałym wypłacał premie kierownik drużyny. Pieniądze były wcześniej odliczone, każdy dostawał kopertę.

A talony na samochód?

To przyszło później, kiedy nasz przemysł motoryzacyjny trochę się podciągnął. Gdy w 1981 roku zdobyłem z drużyną Puchar Polski, zawodnicy i jeszcze kilka osób dostali talony na poloneza.

Doczekał się Pan w końcu pracy z pierwszym zespołem.

Przejąłem drużynę w trakcie rundy jesiennej w 1980 roku po Lucjanie Brychczym, który w pierwszych dziewięciu kolejkach przegrał trzy mecze. Wtedy właśnie zwrócili się do mnie, a ja tym razem już nie odmówiłem. Wiosną zakończyliśmy rozgrywki na piątym miejscu. No i dorzuciliśmy do tego wspomniany Puchar Polski. W finale pokonaliśmy Pogoń Szczecin w Kaliszu. Zwycięskiego gola zdobył Adam Topolski w ostatniej minucie dogrywki.

Czyli Topolski załatwił wam te talony na poloneza?

Nam? Ja talonu nie dostałem.

Przecież był Pan trenerem tego zespołu. Nie upominał się Pan?

Jakoś nie. Dopiero teraz, po latach, mogę ponarzekać na los. Wiem, że byłem na liście. W 1984 roku jeden z księgowych pokazał mi w tajemnicy spis szczęśliwców. I dodał, że tym moim polonezem jeździ ktoś inny.

Kto?

Czy to ważne? Zdziwiłby się pan, gdybym podał nazwisko.

Ważniejsze, że tej samej wiosny stracił Pan stanowisko trenera pierwszego zespołu.

Z Grecji w glorii chwały wrócił Kazimierz Górski. I to on został wtedy szkoleniowcem Legii. Ale nawet pod jego kierunkiem Legia nie zdołała wywalczyć mistrzostwa. W sezonie 1981–1982 zajęła czwarte miejsce. Górski w grudniu 1982 roku przestał być trenerem.

Jaki był Górski?

Znaliśmy się od lat, bo Kazio był przecież ściśle związany z Legią. Najpierw jako piłkarz, a potem szkoleniowiec. Jego główną zaletą było to, że potrafił słuchać. No i to, że umiał potem wykorzystać wszystko, co usłyszał.

Wrócił Pan do pracy z drugim zespołem Legii?

Już nie. Zapytali mnie, co chciałbym robić. Odpowiedziałem, że najchętniej pracowałbym z drużynami trampkarzy i juniorów. O dziwo, zostawili mi dotychczasową pensję. Zarabiałem więc nieźle i zajmowałem się młodzieżą. Idealna sytuacja. W 1987 roku przeszedłem na wojskową emeryturę i jako podpułkownik rezerwy nadal trenowałem trampkarzy i juniorów. Do 1993 roku.

Opowiada Pan cały czas o Legii, a ja czekam, kiedy wspomni Pan o Zbigniewie Bońku. Mówi się, że to Pan go odkrył.

Przyznaje się do tego co najmniej dziesięć osób. Moja historia dotycząca Bońka jest związana z krótkimi przenosinami do Bydgoszczy, gdzie prowadziłem drugoligowego Zawiszę. Dostałem rozkaz, bo Zawisza był przecież klubem wojskowym. Zacząłem tę pracę od obserwacji drużyn rezerw i juniorów. Robiłem to po cichu, nikt o tym nie wiedział. Od razu wpadł mi w oko rudowłosy chłopak, charyzmatyczny, zdecydowanie wyróżniający się piłkarskimi umiejętnościami. Bez wahania wziąłem go do pierwszego zespołu Zawiszy.

Boniek nie zapomniał?

Zawsze przysyłał mi wejściówki na mecze reprezentacji. Witamy się serdecznie, gdy zdarzy się nam spotkać.

A Legia pamięta?

Jestem w galerii sław Legii. Dostałem bilety na wszystkie mecze. To miłe ze strony klubu, który w tym roku obchodzi stulecie. ■

WIZYTÓWKA



IGNACY DOMINIK
ORDON

Dla znajomych Igor. Urodzony w 1934 roku w Piekarach Śląskich. Trener piłkarski związany z Legią Warszawa (1964–1993). Absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Podpułkownik Wojska Polskiego.



TADEUSZ WRÓBEL

Przerwany lot

Mieszkańcy Giebni po kilkudziesięciu latach od katastrofy bombowca Il-28 upamiętnili tragicznie zmarłych lotników z Powidza.

Wto dramatyczne grudniowe popołudnie Wiesław Wikarski z Janikowa wracał ze szkoły. Nagle zobaczył samolot wojskowy, za którym ciągnął się warkocz gęstego dymu. Nadlatującą maszynę zauważył też Zbigniew Wojciechowski, miejscowy kronikarz z Pakości i przewodnik po Szlaku Piastowskim: „Szykowałem się do pracy w Bielowach, gdy z północnego zachodu nadleciał samolot”. Bombowiec obniżał lot, aż w końcu uderzył w ziemię na terenie roszarni, zakładu włókienniczego przetwarzającego słomy lnianą i konopną na włókna. Wtedy wybuchł pożar. Wiesław Wikarski zapamiętał, że co chwila słychać było eksplozje. Jak się później dowiedział – wybuchającej amunicji do działek kalibru 23 mm. Ogień gasili strażacy ze straży zakładowej i ochotniczej straży po-

zarnej. Niebawem rejon katastrofy otoczyli żołnierze z jednostki w Inowrocławiu. Szczątki samolotu zabrano do hangaru w Powidzu.

To wydarzenie odnotował też w swojej kronice franciszkanin z parafii Świętego Bonawentury w Pakości, ojciec Jakub Kubica. „11 grudnia 1969 roku Pakość i jej mieszkańcy byli świadkami tragedii samolotowej. W godzinach popołudniowych na Giebni, za fabryką lnu i płyt paździerzowych spadł wojskowy samolot. Rozbił się i spalił, i zapalił stóg z lnu. W katastrofie zginęło trzech wojskowych. Odnaleziono trzy głowy i trochę innych części ciała. Przyjechała ekipa wojskowa z Inowrocławia i zabrała resztki, i wszystko pozostało tajemnicą wojskową. Jedynie Radio Wolna Europa podało Polakom wiadomość o tym zajściu”.



Niedawno
odsłonięto obelisk
upamiętniający
trzyosobową załogę
bombowca,
która zginęła
w katastrofie.



GIEBNI
11 grudnia
1969 r., miejsce
katastrofy
samolotu
bombowego
IŁ-28

W Giebnii
11 grudnia 1969
roku rozbił się samolot
bombowy IŁ-28, należący do
7 Brygady Lotnictwa Rozpoznawczo-
Bombowego z Powidza. W tym czasie utworzona
w 1967 roku brygada była największą jednostką w Polsce
latającą na tych bombowcach.

ZWYKŁY DZIEŃ?

Pechowym IŁ-em lecieli 27-letni por. pil. Jan Grymuza, 30-letni por. nawig. Bonifacy Hędzalewski i 21-letni strzelec radiotelegrafista kpr. Ryszard Jędras. 11 grudnia 1969 roku żołnierze wykonywali lot ćwiczebny. „Dowódca brygady płk pil. Jerzy Wójcik początkowo zarządził, że ze względu na niską podstawę chmur nawigatorzy zostaną w eskadrach, a na lotnisko pojadą tylko piloci i strzelcy pokładowi, by robić loty na dwusterach, ale zmienił decyzję, gdy chmury podniosły się do 200 m”, twierdzi ppłk nawig. w st. spocz. Andrzej Wójcik, służący wówczas w Powidzu. On również miał uczestniczyć w tych lotach, ale ze względu na przeziębienie lekarz odesłał go do domu. Zanim Andrzej Wójcik opuścił jednostkę, pożyczył swoją teczkę nawigatora por. Hędzalewskiemu. „Kiedy wróciłem do domu, zadzwonił kolega z wiadomością, że rozbił się samolot, którym poleciał Hędzalewski”, wspomina oficer.

Szkolenie lotników w tamtych czasach było bardzo intensywne. Zdarzało się, że załogi w wykonywały trzy lub cztery loty dziennie, najczęściej trwające po godzinie i 40 minut, ale zdarzały się dłuższe. „Dla nas loty były normalną, codzienną pracą”, podkreśla ppłk Wójcik. Jednocześnie zaprzecza informacji podawanej przez niektóre media, że IŁ-28, który rozbił się w Giebnii, wcześniej przeprowadził ćwiczebne bombardowanie. „Tego dnia wykonywaliśmy loty na pułap”, wyjaśnia emerytowany nawigator. Oznacza to, że załoga bombowca miała lecieć po wyznaczonej trasie i osiągnąć wysokość 12,5 tys. m, a jedynym uzbrojeniem na pokładzie była amunicja do działek.

Ćwiczebne bombardowania piloci powidzkiej brygady wykonywali na 9 Poligonie Lotniczym Ślubowo, położonym pomiędzy Mławą a Chorzalami. Z użyciem celownika radiowego załogi samolotów IŁ-28 zrzucały bomby z wysokości 5 tys. m, w dzień i w nocy, w różnych warunkach pogodowych, a z celownikiem radiolokacyjnym – z wysokości 6 tys. m.

DZIWNE ROZBIEŻNOŚCI

W tamtych latach niemal wszystko, co wiązało się z obronnością, było objęte tajemnicą. Dotyczyło to również katastrof lotniczych. Jednym z niewielu źródeł informacji o takich wydarzeniach było lotnicze czasopismo „Wiraże”, gdyż na jego łamach publikowano nekrologi. ➔

W TAMTYCH LATACH NIEMAL WSZYSTKO, CO WIAZAŁO SIĘ Z OBRONNOŚCIĄ, BYŁO OBJĘTE TAJEMNICĄ. DOTYCZYŁO TO RÓWNIEŻ KATASTROF LOTNICZYCH. JEDYNIENIE RADIO WOLNA EUROPA PODAŁO POLAKOM WIADOMOŚĆ O TYM ZAJŚCIU

„Nie podano nam powodu katastrofy. W jednostce krążyły domysły, że oderwała się owiewka kabiny pilota połączonej z kabiną nawigatora i z powodu ciśnienia obaj mogli stracić przytomność”, mówi ppłk Wójcik. Niewiele dowiedziały się również rodziny żołnierzy. Żona por. Grymuzy wraz córką oraz córka por. Hędzelewskiego pierwszy raz na miejscu katastrofy byli dopiero w 2015 roku. W 1969 roku wojsko nie poinformowało bowiem najbliższych, gdzie doszło do tragedii. Powiedziano im tylko, że w okolicach Pakości.

Przez lata najczęściej wskazywaną przyczyną katastrof lotniczych był błąd człowieka, bo obarczenie odpowiedzialnością osoby nieżyjącej szybko zamykało prokuratorskie śledztwo, które mogłoby wykryć kłopotliwe dla przełożonych fakty. Tyle że zasiadający za sterami bombowca Il-28 por. Grymuza był wysokiej klasy pilotem. Ten lot miał być jego ostatnim w Powidzu, bo już dostał przydział do nowej jednostki – Specjalnego Pułku Lotniczego w Warszawie.

Tym razem przyjęto, że w bombowcu Il-28 w grudniu 1969 roku doszło do dehermetyzacji kabiny, a załoga nie była w stanie zapanować nad uszkodzoną maszyną. Nie wiadomo jednak, czy faktycznie było tak, jak podano w dokumencie. Byli piloci zwracają uwagę, że po dehermetyzacji kabiny na dużej wysokości lotnicy straciliby przytomność z powodu gwałtownej zmiany ciśnienia i maszyna nie byłaby sterowana. Zagadką jest też, dlaczego znalazła się w rejonie miejscowości Pakość i Janikowo. Samoloty, które startowały tego dnia z Powidza, leciały nad Golubiem Dobrzyńskim, a w rejonie Przasnysza skręcały w lewo, w kierunku Nidzicy, potem na Nieszawę i wracały na macierzyste lotnisko. Il-28 powinien zatem nadlecieć nad Pakość od wschodu. Tymczasem bombowiec pojawił się od północnego zachodu. Miejscowi są przekonani, że załoga do ostatniej chwili szukała miejsca na posadzenie samolotu, tak by nie spowodować ofiar na ziemi. Tajemnicę ostatnich chwil lotu zabrała jednak ze sobą do grobu.

ŻYWA PAMIĘĆ

Wiesław Wikarski o wydarzeniu z dzieciństwa nie zapomniał i po latach postanowił upamiętnić ofiary katastrofy sprzed niemal półwiecza. Wspierali go w tym m.in.

Jacek Rymarkiewicz i ludzie działający w Towarzystwie Przyjaciół Janikowa.

Początkowo pomysłodawcy zamierzali postawić obelisk w pobliżu miejsca katastrofy. Dziś jednak na terenie dawnej roszarni znajduje się centrum logistyczne sieci supermarketów POLOmarket i szefostwo firmy nie zgodziło się na upamiętnienie tam lotników. Zaczęto zatem rozważać ustawienie obelisku po drugiej stronie drogi, ale okazało się, że jest to obszar zalewowy, należący do zarządu dróg wodnych, na którym nie wolno nic budować. Ostatecznie nieco dalej znalazł się skrawek gruntu będący własnością gminy. „Dzięki przychylności Wiesława Kończala, burmistrza Pakości, wiosną 2015 roku razem z synem postawiliśmy obelisk”, mówi Wiesław Wikarski. Umieszczono na nim płytę z nazwiskami lotników, którą bezpłatnie wykonał Robert Kurczewski.

Dane załogi bombowca ustalił Jacek Rymarkiewicz. „Zrobiłem to na podstawie aktów zgonu wystawionych przez ówczesną lokalną administrację”, wyjaśnia. Następnie skontaktował się z rzecznikiem prasowym 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego w Powidzu, kpt. nawig. Włodzimierzem Baranem, żeby odnaleźć krewnych ofiar katastrofy. Dzięki współpracy z nim w ciągu dwóch miesięcy nawiązano kontakt z najbliższą rodziną pilota i nawigatora. Niestety nie udało się dotrzeć do bliskich kpr. Jędrasa. „Wiemy, że pochodził z Czelaździ. Szukaliśmy tam jego krewnych różnymi sposobami, ale na próżno”, stwierdził Jacek Rymarkiewicz.

Kolejnym krokiem było przygotowanie oficjalnej uroczystości odsłonięcia obelisku, z udziałem wojska. W jej organizację zaangażował się płk w st. spocz. Zbigniew Woźnicki, prezes kujawskiego oddziału Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego Rzeczypospolitej Polskiej, który w tej sprawie nawiązał kontakt z Ministerstwem Obrony Narodowej.

W przeszłości doszło do wielu katastrof samolotów wojskowych, które przed rokiem 1989 były osnute tajemnicą. Płk Wójcik pamięta, że tylko w 7 Brygadzie w latach 1967–1973 rozbiły się cztery maszyny – w rejonie Giebni, Wrześni, Pieniężnicy i Zatoki Gdańskiej. Ofiary katastrof sprzed lat pozostają najczęściej anonimowe. Może wzorem Giebni także w innych miejscach uda się przywrócić pamięć o tych żołnierzach. ■



POLSKA
ZBROJNA

140
STRON
WNIKLIWEJ
OBSER-
WACJI
ŚWIATA
ARMII

MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Wiadomość sprzed lat

Na terenie koszar w Złocięncu odnaleziono kapsułę czasu z 1934 roku.

Przed wojną w miejscu dzisiejszych koszar 2 Brygady Zmechanizowanej Legionów znajdował się nazistowski ośrodek szkoleniowy NSDAP Ordensburg. W jego otwarciu w 1936 roku uczestniczył Adolf Hitler. Dwa lata wcześniej, 22 kwietnia 1934 roku, gdy rozpoczynano budowę ośrodka, Niemcy złożyli w fundamentach nieistniejącej już wieży ciśnień kamień węgielny – kapsułę czasu. Teraz za zgodą ministerstwa obrony i wojewódzkiego konserwatora zabytków władze Złocięńca postanowiły ją wydobyć. Inicjatorem akcji był burmistrz miasta Krzysztof Zacharzewski. Po kilkudniowej pracy koparek i usunięciu przez saperów leżących w ziemi min przeciwpancernych, udało się dotrzeć do studni zasilającej ówczesną wieżę ciśnień w wodę.

Odnaleziono w niej metalową puszkę. Według źródeł historycznych, zamknięto w niej taśmę z filmem przedstawiającym obchody 600-lecia Złocięńca z września 1933 roku, urzędowe pieczęcie i dokumenty, gazety, monety i banknoty. Potwierdziło się to po otwarciu pojemnika w warunkach laboratoryjnych. AD ■



Walka strategów

Polscy wojskowi zostali mistrzami NATO w szachach.

Reprezentanci polskiej armii: sierż. pchor. Damian Graczyk (Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych), st. sierż. rez. Sławomir Kraiński (Centrum Szkolenia Logistyki), kpr. pchor. Marcin Pietruszewski (Wojskowa Akademia Techniczna), były pracownik wojska Rafał Przedmojski, ppor. Dariusz Sycz (Centrum Szkolenia Wojsk Chemicznych i Inżynieryjnych) oraz por. Mateusz Sypień (21 Brygada Strzelców Podhalańskich) po raz pierwszy w historii wygrali w klasyfikacji drużynowej mistrzostw

NATO w szachach. Polacy pokonali wieloletniego lidera – reprezentację Niemiec. Trzecie miejsce zajęli Duńczycy.

W rywalizacji indywidualnej Polacy wywalczyli dwa medale: srebrny – pchor. Graczyk w turnieju szachów błyskawicznych i brązowy – Przedmojski w szachach klasycznych. 27. Mistrzostwa NATO w Szachach rozegrano w brytyjskiej akademii obrony w Shrivenham. Kolejne zmagania mundurowych szachistów odbędą się w marcu w Budapeszcie. PZ, SZ ■

Batalie na ścianie

Mural przedstawiający sto największych bitew oręza polskiego powstanie na murze okalającym Narodowe Centrum Kryptologii w Legionowie. Autorem malunków będzie fundacja Rosko ART z malarzem Rafałem Roskowińskim na czele. Patriotyczne obrazy powstaną na łączącej ponad 750 m ścianie wzdłuż

torów kolejowych. Czarno-biało-czerwony mural zajmie powierzchnię ponad 2,5 tys. m². Batalie zostaną przedstawione chronologicznie: od bitwy pod Cedynią z 972 roku, aż po starcia toczone przez polskich żołnierzy w Afganistanie. Malowidło sfinansują wspólnie władze Legionowa i Ministerstwo Obrony Narodowej, któremu podlega NCK. Uroczyste odsłonięcie obrazu zaplanowano na 11 listopada. AD ■



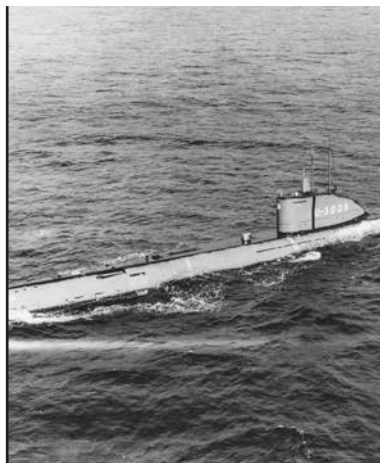
Lot w kadrze

Rozpoczęły się zdjęcia do filmu
o myśliwskim Dywizjonie 303.



O polskich lotnikach biorących udział w bitwie o Anglię opowie najnowszy film Wiesława Saniewskiego. Produkcja polsko-brytyjska powstaje na podstawie książki Arkadego Fiedlera. „Pokażemy bohaterstwo i pasję zwyciężania polskich pilotów”, mówił dziennikarzem reżyser. Główne role pilotów zagrają: ppłk. Jana Zumbacha – Maciej Zakościelny, a gen. Witolda Urbanowicza – Piotr Adamczyk.

Zdjęcia potrwać do lipca 2017 roku i będą kręcone w okolicach Warszawy i Krakowa oraz w Wielkiej Brytanii. Na potrzeby filmu do Polski ma zostać sprowadzony brytyjski myśliwiec Hurricane. Walki powietrzne będą natomiast wygenerowane na ekranie komputera. Polska premiera filmu jest planowana na jesień przyszłego roku, obraz będzie też dystrybuowany w Wielkiej Brytanii i USA. AD ■



U-Booty na wystawę

Muzeum w Gdańsku
wzbogaci się o część
hitlerowskiej łodzi
podwodnej.

W roku 2017 na terenie Twierdzy Wisłoujście, należącej do Muzeum Historycznego Miasta Gdańska, będzie można zwiedzać cztery sekcje z niemieckich U-Bootów. Dotąd te segmenty okrętów podwodnych służyły jako konstrukcja schronu dla robotników Stoczni Gdańskiej na wyspie Ostrów. Teraz, kiedy obiekt nie jest już potrzebny, konstrukcja została odkopana i wstępnie oczyszczona. Okazało się, że schron zbudowano z czterech połączonych ze sobą sekcji pochodzących z co najmniej dwóch różnych U-Bootów. Wydobyte z ziemi segmenty czekają teraz na konserwację. W czasie II wojny światowej Gdańsk był jednym z miast, w których Niemcy budowali takie okręty i do końca wojny wyprodukowano 42 egzemplarze. Najprawdopodobniej z pozostałych na terenie stoczni elementów w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych XX wieku zbudowano schron. AD ■

Pomysł na ekspozycję

Koncepcja scenariusza
wystawy Muzeum Żołnierzy
Wykłych

Miedzy innymi z wykorzystaniem technologii multimedialnych zostaną pokazane geneza i dzieje polskiego podziemia antykomunistycznego, w tym przebieg walk o niepodległość w latach 1944–1963. W konkursie na opraco-

wanie koncepcji scenariusza oraz projektu plastycznego wystawy w powstającym Muzeum Żołnierzy Wykłych zwyciężyła firma ART FM z Krakowa, która opracowała m.in. projekt ekspozycji Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. **Muzeum w Ostrołęce** powstaje na terenie byłego aresztu śledczego UB, w którym w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku byli więzieni żołnierze opozycji niepodległościowej. Placówka zajmie cztery budynki o powierzchni ponad 2260 m² i ma zostać otwarta 1 marca 2018 roku. AD ■

Terroryzm – zasady zachowania

Stacja telewizyjna Imperium TV we współpracy z Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas w Warszawie przygotowała film z instrukcjami zachowania w razie zagrożenia terrorystycznego. Narratorem i ekspertem jest

dr Krzysztof Liedel, specjalista w dziedzinie terroryzmu międzynarodowego i jego zwalczania. „Polska Zbrojna” objęła produkcję patronatem medialnym. Materiał można obejrzeć na naszym portalu, skanując poniższy kod QR. PZ ■



MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Na dachu Europy

Trzech podchorążych Wyższej Szkoły
Oficerskiej Sił Powietrznych zdobyło
najwyższy szczyt w Europie. Wyprawę
na **Mont Blanc** zorganizowali, by uczcić
Święto Wojska Polskiego i pomóc
niepełnosprawnemu koledze.

MARCIN HELAK

Najwyższy szczyt Starego Kontynentu, zwany także dachem Europy, jest marzeniem wielu alpinistów. Na wznoszącą się na wysokość 4810 m górę co roku próbuje się wspiąć nawet 25 tys. ludzi. Nie wszyscy jednak docierają do celu. Statystyki alpejskiego pogotowia ratunkowego pokazują, że co roku ratownicy z rejonu Mont Blanc ściągają z góry około tysiąca alpinistów. Najczęściej pogotowie wysokogórskie pomaga osobom, które są skrajnie wyczerpane albo doznały poważnej kontuzji.

By uniknąć przyjazdu nieprzygotowanych turystów, władze Chamonix (jedna z baz wypadowych na Mont Blanc) już kilka lat temu rozpoczęły kampanię informującą o tym, że wejście na najwyższy szczyt Europy to coś więcej niż dłuższy spacer. O tym, że góra może być śmiertelnie niebezpieczna, entuzjaści wspinaczki przekonali się w drugiej połowie sierpnia. Media obiegła informacja o lawinie w masywie Mont Blanc – 18 sierpnia zostało rannych dziewięciu alpinistów, a 12 innych zginęło. Takie wiadomości nie zniechęcają jednak miłośników gór. „My także zachorowaliśmy na Mont Blanc. Chcieliśmy ją zdobyć, ale wiedzieliśmy, że do takiej wyprawy trzeba się solidnie przygotować”, mówią podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie, którzy przeszli solidny trening, zanim ruszyli w Alpy.

WALKA O MARZENIA

W wyprawie na Białą Górę wzięli udział studenci Szkoły Orłąt: kpr. pchor. Marcin Helak, kpr. pchor. Michał Tomczak i st. kpr. pchor. Karol Lewandowski. „Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że w najbliższym czasie zdobędę Mont Blanc, nigdy bym w to nie uwierzył”, mówi st. kpr. pchor. Karol Lewandowski, student IV roku Szkoły Orłąt, przyszły pilot samolotów transportowych. „A jednak, udało się nam! Po kilkumiesięcznych przygotowaniach weszliśmy na dach Europy”.

„Wszystko zaczęło się pod koniec 2015 roku. Wtedy przy Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych powstał Akademicki Klub Górski »Husar«. Zapisali się do niego 13 wojskowych studentów”, mówi założyciel klubu i organizator wyprawy w Alpy kpr. pchor. Marcin Helak, student III roku. Podchorąży zdobył już cztery szczyty należące do Korony Ziemi: Mont Blanc, Elbrus na Kaukazie, Aconcagua w Ameryce Południowej oraz Kilimandżaro w Afryce. W ubiegłym roku próbował wspiąć się na Denali w Ameryce Północnej, ale z powodu złych warunków pogodowych wyprawa nie zakończyła się sukcesem. „Potrzebowaliśmy wyzwania. Czulem, że Tatry to zbyt mało, więc pomyślałem o Alpach”, wspomina Marcin Helak.

Dzięki wsparciu władz uczelni studenci nawiązali współpracę z Wojskowym Ośrodkiem Szkoleniowo-

-Kondycyjnym (WOSzK) w Zakopanem i na pierwszy trening w Tatry ruszyli zimą na przełomie roku. „Na szkolenie przyjechało do nas kilkunastu studentów. Naukę zaczęliśmy od podstaw, bo poza nielicznymi wyjątkami niezbyt wiele wiedzieli o alpinizmie i technikach linowych”, opisuje plut. Paweł Jankowski, instruktor z WOSzK i członek Tatrzańskiej Straży Ratunkowej. Na kilkudniowym treningu podchorążowie uczyli się pracy na linach, mieli zajęcia z ratownictwa lawinowego, poznawali zasady przetrwania zimą w górach, wspinali się po lodowych ścianach. „To były podstawy, które pozwoliły na podjęcie działań w wyższych partiach gór. Zajęcia teoretyczne popieraliśmy ćwiczeniami praktycznymi. Dodatkowo mówiliśmy o historii alpinizmu, wskazywaliśmy najważniejsze osiągnięcia polskich ludzi gór”, wymienia plut. Jankowski. „Opowiadałem podchorążym także o swoich doświadczeniach z pracy w TOPR-ze. Pokazywałem dokumentację zdjęciową i analizę różnego rodzaju wypraw ratunkowych – lawinowych, poszukiwawczych czy ścianowych”.

Członkowie klubu Husar ćwiczyli także asekurację w terenie zimowym, poruszanie się w rakach i posługiwanie czekanem. Poznawali zasady budowania stanowisk w śniegu, podstawy autoratownictwa oraz sposoby przemieszczania się w terenie lodowcowym. „To były niezwykle wartościowe zajęcia. Teoria przeplatała się z praktyką. Uczyliśmy się używać czekanów, raków, sond lawinowych i łopatek śnieżnych, a także tego, jak dobierać odzież do warunków atmosferycznych, jak planować wysiłek i regenerację, a nawet, jak dobrze przygotować wory wyprawowe czy posiłki. To była dla mnie nowość”, mówi pchor. Lewandowski.

„Czy wiedziałem, że szykują się do wyprawy na Mont Blanc? Tak, wiedziałem, że są takie plany, ale podchodziłem do nich sceptycznie. Uznałem, że jest to młodzieńczy zryw, chęć przeżycia przygody i że prawdopodobnie swoje zamierzenia odłożą w czasie”, przyznaje instruktor.

Podchorążowie wytrwali jednak w swoim postanowieniu. I zanim ruszyli w Alpy, ukończyli tygodniowy kurs wspinaczki skałkowej na drogach wielowyciągowych w Chorwacji oraz letnie szkolenie w Zakopanem. „Szlifowaliśmy aspekty techniczne związane z działaniami ścianowymi. Poszliśmy także na dwie doby w Tatry. To było wymagające szkolenie, bo chciałem chłopakom dać do zrozumienia, że w górach równie ważna jest kondycja psychiczna, jak fizyczna”, podkreśla plut. Jankowski.

W DRODZE NA SZCZYT

Ostatecznie z 13 podchorążych działających w klubie Husar na wyjazd w Alpy zdecydowało się tylko trzech. Pozostali studenci mieli inne zobowiązania lub uznali, że ich umiejętności nie wystarczą na zdobycie czterotysięcz- ➔



Największe zagrożenia podczas wejścia na Mont Blanc to spadające kamienie i bloki skalne.

nika. „Gdy się dowiedziałem, że jednak idą w Alpy, cały czas czułem niepokój. Z jednej strony, wiedziałem, że się przygotowywali do wyjazdu i mają dobrą kondycję, z drugiej bałem się młodzieńczej fantazji. Najbardziej martwiłem się o to, że nie rozpoznają w porę zagrożenia i nie podejmą odpowiedzialnej decyzji o wycofaniu z ataku szczytowego”, mówi plut. Jankowski. Instruktor przyznaje, że to właśnie decyzja o „wycofie” jest najtrudniejszą, jaką alpinista musi podjąć. „W górach nie można działać za wszelką cenę. Nieraz miałem okazję się przekonać, że rezygnacja z walki jest więcej warta niż decyzja o jej kontynuowaniu. W alpinizmie liczy się nie tylko wynik, lecz także sposób i styl, w jakim się go osiąga”, dodaje.

Wojskowi studenci nie mieli jednak obaw. Wiedzieli, że są dobrze przygotowani i byli mocno zdeterminowani, by osiągnąć cel. „Czułem się świetnie. Przez rok pracowałem nad kondycją, startowałem w półmaratonach, triathlonach, uczyłem się na skałach i czytałem fachową prasę. Wiedziałem, że będzie to podróż mojego życia. Odrzucałem wszystkie zmartwienia”, mówi st. kpr. pchor. Lewandowski. „Paweł doskonale wiedział, że jestem odpowiedzialny i potrafię się wycofać z drogi na szczyt. Zrobiłem to, gdy pierwszy raz wyruszyłem na Aconcagua, niemal pod samym szczytem na Denali oraz na Muztagata”, wylicza organizator wyprawy.

Eskapada „Polskie Orleń” rozpoczęła się 10 sierpnia. Podchorążowie ubrani w mundury, wojskowe buty i z plecakami ważącymi po 25 kg ruszyli najpierw do Austrii. Dotarli do Kals, a stamtąd wspięli się na Grossglockner (3798 m n.p.m.). „Zdobycie najwyższego szczytu w Austrii potraktowaliśmy jako aklimatyzację. W ten sposób przygotowaliśmy swoje organizmy do wyprawy w wyższe partie gór”, opowiada kpr. pchor. Helak.

Najpierw weszli na wysokość około 2800 m, a po krótkim odpoczynku zaatakowali szczyt. Karol Lewandowski wspomina, że choć podejście do schroniska nie sprawiło im większych trudności, to druga część wyprawy nie należała do najłatwiejszych. „Idąc po lodowcu i stąpając pomiędzy szczelinami, człowiek czuje niepokój. Przede wszystkim jednak dbaliśmy o swoje bezpieczeństwo. Poruszając się na bardzo eksponowanej grani, tak jak nas uczono w WOSzK-u, szliśmy wolno, gęsiego i cały czas z asekuracją linową. Nie było chwili zwątpienia, bo z tyłu głowy każdy miał myśl, że za dwa dni będziemy już na dachu Europy”, opisuje student. Wrażenia z wyprawy? „Niezapomniane. Idąc granią, z lewej i prawej strony ma się przepaść, a pod stopami jest zaledwie półmetrowa ścieżka pokryta śniegiem. Każdy krok wymagał nie lada skupienia”, dodaje.

Kpr. pchor. Michał Tomczak przyznaje, że zdobycie Grossglocknera było dla niego trudniejsze niż późniejsze podejście na Mont Blanc. To, jak mówi, była jego pierwsza wyprawa w Alpy, musiał więc się przyzwyczaić do działania na tak dużej wysokości. „Austria była dla mnie czymś więcej niż aklimatyzacją. To był ostatni sprawdzian przed »Blankiem«”, mówi przysły pilot samolotów transportowych.

Celem ich podróży była Francja. Podchorążowie dotarli do miejscowości Les Houches, położonej 2 km od Chamonix, skąd mieli się wspinać na Mont Blanc. I podobnie jak w Austrii, szczyt zdobywali w mundurach. „Pierwszego dnia wykonaliśmy bardzo długie podejście. Startując z wysokości 2300 m n.p.m., w ciągu sześciu godzin wspięliśmy się do schroniska Goûter, położonego 1500 m wyżej. Idąc w mundurach i z polską flagą zwracaliśmy na siebie uwagę. Alpinieści, których mijaliśmy po

Na szczyt dotarli
o godzinie 8.40.
Byli niezwykle
szczęśliwi i dumni.



DLA KONRADA

Konrad Mielczarek jest studentem II roku Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. Szkoła Orłąt była spełnieniem jego marzeń. Legły one jednak w gruzach, gdy 5 kwietnia 2016 roku w wypadku motocyklowym doznał czterokończynowego porażenia. Chłopak ma szansę na powrót do zdrowia, ale czeka go długa i mozolna walka o sprawność. Leczenie i rehabilitacja Konrada są kosztowne i potrzebne jest wsparcie finansowe. Konrad Mielczarek jest podopiecznym fundacji Słoneczko, w której ma założone subkonto. Można na nie wpłacać fundusze z dopiskiem 507/M. **Numer konta to: 89 8944 0003 0000 2088 2000 0070.**

Można pomóc Konradowi także biorąc udział w koncercie muzyki klubowej, który organizuje podchorąży Marcin Helak. 7 października 2016 roku w Wyspie Wisła w Steżycy odbędzie się impreza charytatywna „Fly away – dodaj skrzydeł Konradowi”. Dochód z koncertu zostanie przeznaczony na rehabilitację podchorążego.

drodze, pytali, gdzie służymy. Z dumą odpowiadaliśmy, że jesteśmy podchorążymi polskiej uczelni wojskowej”, opowiada Marcin Helak. W Goûter spędzili kilka godzin. Wstali o drugiej w nocy, zjedli śniadanie, spakowali bagaże i o czwartej rano ruszyli na szczyt. „Zaraz po wyjściu ze schroniska weszliśmy na lodowiec. Trzeba było bardzo uważać, by nie wpaść na przykład w szczeliny lodowe. Aby zminimalizować ryzyko upadku, przez cały czas poruszaliśmy się z asekuracją, czyli spięci linami”, opowiada pomysłodawca wyprawy.

Na szczyt dotarli o godzinie 8.40. Byli niezwykle szczęśliwi i dumni. „Plan wykonaliśmy w stu procentach. To był katorżniczy wysiłek, bo w ciągu czterech dni zdobyliśmy dwie wysokie góry. Jesteśmy zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi”, mówił tuż po powrocie z Francji Marcin Helak. „Spełniły się nasze marzenia. Za wsparcie i pomoc w przygotowaniu wyprawy dziękujemy wszystkim przełożonym, z rektorem komendantem WSOSP na czele, oraz kadrze szkoły”, dodaje.

Gdy byli jeszcze we Francji, wysłali wiadomość swojemu mentorowi – instruktorowi z WOSzK-u, plut. Janowskiemu. Ten jednak nie przekazał gratulacji. „Chciałem poczekać, aż wrócę do Polski. Musiałem po-

śluchać, co powiedzą o wyprawie, obejrzeć zdjęcia. Tylko tak mogłem się upewnić, czy górę zdobywali z godnością – czyli tak, jak ich uczyłem”, mówi instruktor i dodaje: „No, ale jestem z nich dumny. Asekurowali się, tak jak powinni, byli ostrożni i szanowali swoje zdrowie”, podkreśla.

WYPRAWA Z PRZESŁANIEM

Podchorążowie wyprawę na Mont Blanc zorganizowali w połowie sierpnia, by w ten sposób uczcić Święto Wojska Polskiego. „Od kilku lat nosimy mundury. Szkoła oficerska pozytywnie zmieniła nasze życie. Wspinaczka na najwyższy szczyt w Europie jest połączeniem miłości do gór i do armii”, mówi Marcin Helak.

To jednak nie wszystko. Zdobyć szczytu studenci zadedykowali swojemu koledze Konradowi Mielczarkowi. Podchorąży uległ poważnemu wypadkowi drogowemu. „Konrad jest sparaliżowany i wymaga długiej rehabilitacji. Spotkaliśmy się z nim zaraz po przyjeździe do Polski. Przekazaliśmy mu biało-czerwoną flagę, z którą zdobyliśmy Mont Blanc. Mamy nadzieję, że nasz wyczyn doda mu sił do walki o swoje zdrowie”, dodaje pomysłodawca wyprawy Marcin Helak. ■

ANNA DĄBROWSKA

Mogły pośród traw

I wojna światowa krwawo zapisała się
w dziejach Bieszczadów.

Jesienią 1914 roku rosyjscy żołnierze parli na zachód i południe, pokonując wojska austro-węgierskie w ofensywie, którą nazwano „rosyjskim walcem parowym”. Do końca listopada armia carska zajęła prawie całą Galicję. Walki w tym rejonie zgromadziły na froncie ogromne siły: po stronie rosyjskiej walczyło 70 dywizji piechoty i 23 dywizje kawalerii, a po stronie cesarstwa 34 dywizje piechoty i 13 dywizji kawalerii – w sumie ponad 2 mln żołnierzy.

WALKI O PRZEŁĘCZE

Jednym z celów rosyjskiego dowództwa było przełamanie głównego grzbietu Karpat, które były naturalną przeszkodą chroniącą Cesarstwo Austro-Węgierskie. Zdobycie górskich przejść otworzyłoby drogę w kierunku Równiny Węgierskiej i umożliwiło armii carskiej wdarcie się w głąb monarchii habsburskiej. W górach trwały ciężkie walki o poszczególne wsie, szczyty, a przede wszystkim przełęcze – m.in. Dukielską, Użocką i Łupkowską. Ta ostatnia była szczególnie cenna, bo przez nią na wysokości 640 m n.p.m. biegła linia kolejowa umożliwiająca transport wojska na drugą stronę Karpat.

Krwawe walki toczono ze zmiennym szczęściem i bieszczadzkie tereny kilka razy przechodziły z rąk do rąk. Każda z walczących stron podejmowała kilkakrotnie ofensywy, które nie przynosiły rozstrzygnięcia. Zimą Austriacy zaczęli wznosić stałe linie umocnień i w styczniu 1915 roku front na terenie Bieszczadów ustabilizował się mniej więcej na linii: Komańcza, Chryszcza, Łopiennik, Przełęcz Użocka. Żołnierze bili się zaciekle, niejednokrotnie dochodziło do walk na bagnety. Szeregi walczących były dziesiątkowane nie tylko przez kule wroga, lecz także trudne warunki pogodowe. Zima na przełomie lat 1914 i 1915 była mroźna i śnieżna, żołnierze brnęli w zaspach, zamarzali w okopach, a wiosną grzęźli w błocie. Zmarznięci, głodni i często chorzy, rekwirowali w wioskach żywność i zabierali chłopom zapasy drewna.

Z początkiem marca wojska austro-węgierskie podjęły kolejną ofensywę, która jednak utknęła pod Baligro-

dem. W krwawej bitwie straciło tam życie od kilku do kilkunastu tysięcy żołnierzy obu stron. Po tym starciu siły rosyjskie przystąpiły do kontrnatarcia i zdobyły m.in. Przełęcz Łupkowską, ale armia cesarska utrzymała linię obrony i udaremniła przedarcie się wojsk rosyjskich przez Karpaty.

Jednym z miejsc, gdzie toczyły się krwawe walki, była wieś Komańcza i jej okolice. Wioska leży na pograniczu Beskidu Niskiego i Bieszczad w dolinie rzeki Osławicy. Obie walczące strony ścierały się w tym rejonie od listopada 1914 do maja 1915 roku i kilkakrotnie zmieniano się położenie linii frontu. Do krwawej bitwy doszło m.in. na wschód od wioski, na wzniesieniach Sokoliska i Korostyński Wierch.

Sytuację w Karpatach zmieniła dopiero ofensywa wojsk państw centralnych, nazwana operacją gorlicką. Ponad 200 tys. żołnierzy i 1000 dział 2 maja ruszyło z rejonu Gorlic. Po kilkudniowych zaciętych walkach obrona rosyjska została przełamana, a armia carska zmuszona do odwrotu.

ZAPOMNIANE GROBY

W tym rejonie Karpat I wojna przyniosła ogromne straty. W bieszczadzkich wsiach i wioskach zniszczono tysiące domów, kościołów i cerkwi. Wiele osad zostało całkowicie zrównanych z ziemią i wyludnionych. Długotrwałe i wyniszczające walki w górach przyniosły też po obu stronach wiele ofiar – szacuje się, że na froncie galicyjskim podczas wszystkich bitew karpaccich Rosja straciła około 1,2 mln żołnierzy, a armia austro-węgierska ponad 800 tys. Część z poległych w walkach spoczywa na cmentarzu wojennym w Komańczy. Nekropolia leży niedaleko torów kolejowych na Ubocz, czyli wschodnim ramieniu wzniesienia Wierch. Powstała w latach 1915–1916 po przesunięciu

ANNA DĄBROWSKA





W zaroślach nie widać zarysu mogił, trudno też ustalić, ilu żołnierzy spoczywa na cmentarzu.

PODCZAS BITEW KARPACKICH ROSJA STRACIŁA OKOŁO 1,2 MLN ŻOŁNIERZY, A ARMIA AUSTRO-WĘGIERSKA PONAD 800 TYS.

linii frontu na północ. Prawdopodobnie wybrano to miejsce ze względu na to, że już wcześniej grzebano tam wracających koleją przez Komańczę na leczenie do kraju żołnierzy, którzy zmarli w drodze.

Cmentarz wzniosł Oddział Grobownictwa Wojennego nr 4, stacjonujący w Rymanowie. Na powierzchni prawie 2800 m² umieszczono siedem szeregów zbiorowych mogił. Chowano w nich poległych ekshumowanych z prowizorycznych grobów, które powstawały w okolicy podczas walk. Przy mogiłach ustawiono dębowe słupki z krzyżem i tabliczką informującą o formacjach wojskowych, do których należeli zmarli żołnierze. W centralnym punkcie nekropolii stanął drewniany krzyż, a całość ogrodzono drutem kolczastym używanym do stawiania zasieków.

Chociaż cmentarz leży na szlaku frontu wschodniego I wojny światowej, jest zaniedbany

i zapomniany. Dawniej zajmowali się nim uczniowie miejscowej szkoły, a teraz pozostawiony bez opieki porósł trawą i krzakami. W zaroślach nie widać nawet zarysu mogił, trudno też dzisiaj ustalić, ilu żołnierzy spoczywa w tym miejscu. Co najwyżej można odnaleźć w trawie resztki zbutwiałych słupków dębowych.

W Komańczy znajdziemy jeszcze jeden mały cmentarzyk z okresu I wojny światowej, który znajduje się niedaleko przystanku kolejowego Komańcza Letnisko, obok wiaduktu i drogi do Klasztoru Sióstr Nazaretanek. Z informacji zamieszczonej na przycmentarnej tablicy wynika, że pochowano tutaj żołnierzy armii austro-węgierskiej, którzy zmarli w czasie powrotu koleją na leczenie do rodzinnych krajów. W większości byli to honwedy węgierscy, ale podobno w tym miejscu spoczywają też rosyjscy jeńcy pracujący w miejscowych kamieniołomach przy usuwaniu zniszczeń wojennych, naprawie dróg, torów kolejowych, mostów i wiaduktów. Umierali oni z wycieńczenia, głodu, a także podczas epidemii chorób zakaźnych. Nie wiadomo, ile osób pochowano na tym małym, liczącym około 300 m², cmentarzyku. Dzisiaj pośród krzewów ledwo zauważalne są zarysy szeregów zbiorowych żołnierskich mogił. Na terenie leśnej nekropolii znajdziemy tylko dwa drewniane krzyże. Na jednym z nich widnieje napis: „Grób Twój dla lasu relikwią zostanie, świeci Twój grób Twe leże, gdy dusza wieczność dosięgła otchłani, cześć Tobie – cześć Bohaterze”.

Szczerze wyrazy współczucia
Panu kapitanowi Bartoszowi Wnorowskiemu
 z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
 Dowództwa Brygady Wsparcia Dowodzenia
 Wielonarodowego Korpusu Północny Wschód.

Z głębokim żalem żegnamy
Panią mgr inż. Zofię Leszczyńską.
Rodzinie Zmarłej

wyrazy głębokiego współczucia
 składają współpracownicy
 z 12 Terenowego Oddziału Lotniskowego
 w Warszawie.

Pani Renacie Jeznach

słowa wsparcia oraz wyrazy
 głębokiego żalu i współczucia
 z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
 z 12 Terenowego Oddziału Lotniskowego
 w Warszawie.

Panu st. chor. Przemysławowi Rosińskiemu
 wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
 kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra zawodowa
 i pracownicy wojska
 Wydziału Żandarmerii Wojskowej w Poznaniu.

Wyrazy głębokiego współczucia
 oraz żalu

Rodzinie i Najbliższym

z powodu śmierci

płk. Jerzego Derenia

składają dowódca, kadra oraz pracownicy resortu
 obrony narodowej
 Centrum Operacji Lądowych
 – Dowództwa Komponentu Lądowego
 w Krakowie.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
Pani kpr. Katarzynie Ważny oraz Jej Rodzinie
 z powodu śmierci

Ojca

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
 Sekcji Wychowawczej 1 Brygady Lotnictwa
 Wojsk Lądowych.

Pani kpr. Katarzynie Ważny

oraz

Panu kpt. pil. Sławomirowi Ważny

wyrazy szczerego współczucia
 i głębokiego żalu
 z powodu tragicznej śmierci

Ojca i Teścia

składają dowództwo, żołnierze
 i pracownicy wojska
 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

„Śmierć przychodzi bardzo cicho.
 Niezapowiedziana, nieproszona jest zawsze
 gościem nie na czas”.

Panu kmdr. por. Cezaremu Walczakowi
oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
 kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy wojska
 Inspektoratu Marynarki Wojennej
 Dowództwa Generalnego
 Rodzajów Sił Zbrojnych.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
 o śmierci naszego

Kolegi Jacka,

z którym zdobywaliśmy oficerskie szlify.

Łączymy się w żałobie

z Rodziną Zmarłego,

szczególnie z małżonką.

Koledzy, oficerowie promocji 2005 roku,
 Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
 z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
 261 845 230, 261 840 227

**Pani Aleksandrze Madalińskiej
i jej Najbliższym**

wyraży głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
Szefostwa Planowania Logistycznego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu st. szer. Sławomirowi Lipińskiemu

wyraży szczerego współczucia
i głębokiego żalu z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze
i pracownicy wojska 1 Ośrodka
Radioelektronicznego w Grójcu.

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o tragicznej śmierci

śp. por. Jacka Motyczko,

żołnierza Jednostki Wojskowej GROM.

Wyraży szczerego współczucia

Rodzinie

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Antoniego Ujka,

wieloletniego pracownika

Departamentu Budżetowego MON.

Rodzinie i Bliskim

składamy wyrazy współczucia.

Dyrektor oraz żołnierze i pracownicy

Departamentu Budżetowego MON

Pani por. mar. Magdalenie Motyczko

wyraży szczerego żalu, głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu tragicznej śmierci

Męża

składają żołnierze i pracownicy
Grupy Okrętów Rozpoznawczych.

Panu ppłk. Adamowi Jangrotowi,

komendantowi 35 Wojskowego Oddziału

Gospodarczego

oraz Jego Najbliższym

wyraży głębokiego współczucia

i szczere kondolencje

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy

Wydziału Materiałowego

3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

Wyraży głębokiego współczucia
i szczere kondolencje

Panu kmdr. ppor. Arturowi Korablin

z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, żołnierze

oraz pracownicy wojska

Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Z głębokim żalem pożegnaliśmy
st. chor. sztab. rez. Grzegorza Chrzanowskiego,
przyjaciela i żołnierza 12 Batalionu Dowodzenia
Ułanów Podolskich w Szczecinie.

Rodzinie Zmarłego

wyraży szczerego współczucia składają dowódca,
żołnierze oraz pracownicy wojska 12bdowUP
w Szczecinie.

**Panu kmdr. ppor. Piotrowi Dominikowskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyraży głębokiego współczucia i żalu,
słowa wsparcia w tych trudnych chwilach
oraz szczere kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze oraz pracownicy Szefostwa
Środków Bojowych Inspektoratu Wsparcia SZ.

Podpułkownikowi Adamowi Jangrotowi

wyraży głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komenda, żołnierze i pracownicy wojska
3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Krakowie.

Wyrazy szczerego współczucia
oraz głębokiego żalu
Rodzinie
z powodu śmierci
st. szer. Jarosława Wolskiego
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
31 Batalionu Radiotechnicznego.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
kpt. Zbigniewa Cygana.
Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
Rodzinie
składają połączeni w żałobie i smutku
dowódca, żołnierze i pracownicy
31 Batalionu Radiotechnicznego.

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o tragicznej śmierci
kapitana Krzysztofa Piotrowskiego.
Jego odejście nastąpiło niespodziewanie,
napęniając nas ogromnym żalem
i powodując uczucie pustki.
Wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje
Żonie, Rodzinie i Bliskim
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych
im. Hetmana Polnego Koronnego
Stefana Czarnieckiego.

Z wielkim smutkiem i żalem
przyjąłem wiadomość o nagłej śmierci
kpt. Zbigniewa Cygana,
dowódcy 170 Posterunku Radiolokacyjnego
Dalekiego Zasięgu
31 Batalionu Radiotechnicznego.
W tej bolesnej chwili
**Szanownej Małżonce, Dzieciom,
Rodzinie oraz Najbliższym Zmarłego**
składam wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia.
Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość
o tragicznej śmierci
st. szer. Jarosława Wolskiego,
żołnierza 312 Kompanii Radiotechnicznej
31 Batalionu Radiotechnicznego.
W tej bolesnej chwili
Rodzinie i Najbliższym Zmarłego
składam kondolencje
oraz wyrazy głębokiego współczucia.
Dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej
gen. bryg. Wojciech Lewicki
wraz z żołnierzami i pracownikami



Pamiętamy

sierż. szt. Bogusław Gibas
5 października 2002 r., UNIFIL Liban

kpr. Radosław Szyszkiewicz
9 października 2009 r.,
PKW Afganistan

kpr. Szymon Graczyk
9 października 2009 r., PKW Afganistan

sierż. Adam Szada-Borzyszkowski
14 października 2010 r., PKW Afganistan

szer. Dariusz Sorokopas
15 października 1992 r.,
UNPROFOR Jugosławia

sierż. Mariusz Deptuła
23 października 2011 r., PKW Afganistan

st. chor. szt. Eugeniusz Lewandowski
26 października 1992 r.,
UNTAC Kambodża

st. chor. szt. Andrzej Wydrzyński
26 października 1992 r.,
UNTAC Kambodża

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Ks. J. Twardowski

Panu Pułkownikowi w st. spocz.

Januszowi Tymoszczukowi

oraz Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
po śmierci

Taty

składają szef, żołnierze, pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

Panu mjr. Robertowi Kubali,

Jego Rodzinie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
6 Batalionu Dowodzenia Sił Powietrznych
w Śremie.

Panu płk. Wojciechowi Czerwińskiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci

Mamy

składają podwładni z HSD
oraz współpracownicy z JFTC
i Oddziału Zabezpieczenia JFTC Bydgoszcz.

Panu ppłk. Adamowi Jangrotowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef i zastępca szefa
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

St. chor. sztab. Zbigniewowi Milczarkowi

i Jego Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

Panu Jakubowi Przymęckiemu

wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
Jednostki Wojskowej 2031 w Lipowcu.

Panu ppłk. dr. inż. Krystianowi Frącikowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają dziekan, żołnierze i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Obrony Narodowej w Warszawie.

Kpt. Tomaszowi Dymerskiemu,

dowócy kompanii,

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Olsztyńskiego Batalionu Składowania.

Z głębokim żalem żegnamy

byłego pracownika resortu obrony narodowej

Panią Elwirę Orłowską.

Rodzinie Zmarłej

wyrazy głębokiego współczucia

składają dowódca, kadra i pracownicy RON
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego Sił
Powietrznych.

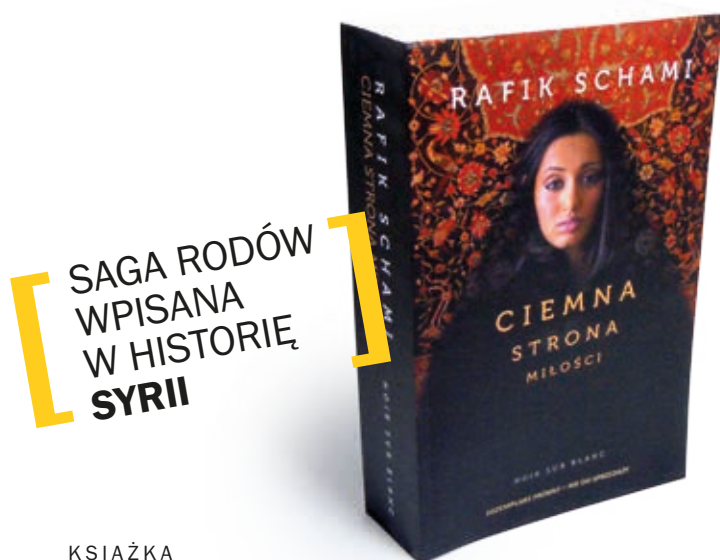
Naszemu Drogiemu Koledze

Panu ppłk. Grzegorzowi Gryzowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają kierownictwo,
kadra zawodowa i pracownicy Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.



KSIĄŻKA

Egzotyczna opowieść

Rafik Schami pokazuje nam krainę, jakiej już nie ma.

Przechodnie bili brawo, kiedy szesnastolatek, stojąc nad umierającą kobietą, krzyczał: „Uratowałem cześć mojej chrześcijańskiej rodziny, ponieważ moja ciotka przez małżeństwo z muzułmaninem zmieszała ją z błotem”. Jasmin, ofiara tej „honorowej” zbrodni, była też ciotką Rany, jednej z głównych bohaterek książki „Ciemna strona miłości”. Dziewczyna jako jedna z niewielu w rodzinie rozumiała wybór zakochanej kobiety. I co więcej, jej również dane było doświadczyć zakazanej miłości, tyle że tym razem nie chodziło o różnice religijne, lecz o wieloletnią nienawiść między jej bliskimi a rodzinną wybranką. Powiedzieć jednak o tej książce, że jest historią syryjskich Romea i Julii, byłoby ogromnym uproszczeniem, tym bardziej nieuzasadnionym, że w „Ciemnej stronie miłości” saga dwóch rodów jest wpisana w niemal stuletnią historię tego pełnego przeciwieństw kraju. **Rafik Schami** pokazuje nam Syrię, jakiej już nie ma – z bogatym dziedzictwem kulturowym

i przepiękną architekturą, a także z codziennymi rytuałami. Choć część opowieści odnosi się do Damaszku, to złożoność tego kraju obserwujemy przede wszystkim przez pryzmat małej wioski, w której żyją obok siebie katolicy, prawosławni i muzułmanie. Poznajemy obrzędy religijne jej mieszkańców, codzienną pracę ludzi oraz wielką politykę, która wkrada się do tej niewielkiej miejscowości.

Tę liczącą niemal tysiąc stron powieść czyta się jednym tchem. Początek przypomina trochę jedną z baśni z tysiąca i jednej nocy, ale wraz z rozwojem wydarzeń odczytujemy fakty z historii Syrii. Znajdziemy w tej książce miłość i nienawiść, lojalność i zdradę, morderstwo i seks. I choć wątek zakazanej miłości Rany i Farida przewija się przez całą powieść, to barwnych historii jest w niej o wiele więcej. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Rafik Schami, „Ciemna strona miłości”,
Noir Sur Blanc, 2016

KSIĄŻKA

ABC walki

Reaktywacja obrony terytorialnej przyczyniła się do tego, że zaczęto wydawać wiele publikacji o sposobach działania tego typu zgrupowań, zarówno samodzielnie, jak i we współdziałaniu z wojskami operacyjnymi. By poznać założeń walki na szczeblu pododdziału, najpierw trzeba się nauczyć zachowania na polu walki. Właśnie zasad postępowania żołnierzy w terenie, sposobów maskowania, a także przetrwania w ugrupowaniu przeciwnika dotyczy opracowanie **Pawła Makowca i Marka Mroszczyka**. Autorzy zadali sobie trud zebrania reguł obowiązujących żołnierzy uzbrojonych w kbs Beryl kalibru 5,56 mm oraz kbk AK kalibru 7,62 mm. Omawiają m.in., jak należy dbać o broń osobistą, by była zawsze sprawna, przybliżają zasady celowania i wyboru stanowiska ogniowego oraz orientowania się w terenie. Wiele uwagi poświęcają sposobom przetrwania i bytowania w przygodnym terenie.

Pewne zastrzeżenia mogą budzić w tym opracowaniu zdjęcia. Uważam, że powinny być kolorowe, dzięki temu byłyby czytelniejsze i bardziej przemawiałyby do wyobraźni czytelnika. Poza tym fotografie wyposażenia indywidualnego żołnierza powinny odnosić się do ubioru używanego przez polskich żołnierzy. Mimo tych mankamentów publikacja z pewnością znajdzie odbiorców, którzy dzięki niej będą mieli ułatwiony start w pododdziałach obrony terytorialnej i organizacjach paramilitarnych. ■

JAN BRZOZOWSKI

Paweł Makowiec, Marek Mroszczyk,
„Podstawy szkolenia taktycznego
lekkiej piechoty”, Difin, 2016

KSIĄŻKA

Ich miejsce w historii

Szesnaście kobiet, szesnaście historii, ale nieskończenie wiele łez, bólu, dramatycznych wyborów i dylematów.

Do kancelarii więziennej wprowadzono przygarbioną kobietę ubraną jedynie w letnią sukienkę. »Przyprowadziliśmy szczególnie niebezpiecznego bandytę!«, zaanonsonowano. Funkcjonariusze wtrącili ją do dużej celi, w której kiedyś składowano węgiel. Chociaż więzienne pomieszczenie było przestronne, Władka pozostawała sama jedna w celi, która śmiało mogła pomieścić kilkunastu aresztantów». Władysława Gwóźdź ps. „Wiktoria” dzieliła życiorys z wieloma innymi kobietami, dla których wojna wcale nie skończyła się w maju 1945 roku. W tym kontekście znamienne okazały się słowa, które usłyszała jedna z bohaterek książki: „Zobaczysz, nadejdą jeszcze takie czasy, że będziemy tęsknić za gestapo...”. Bo w powojennej Polsce Ludowej dla takich jak one miejsca nie było.

Irena, „Zo”, „Wiktoria”, „Marta”, „Ramzesowa”, „Ziuta”, „Ciotka”, Eugenia, Ruta, „Jachna”, Krystyna, „Mała Danką”, Zofia, „Iskierka”, „Ewunia”, „999”. Młode zwykle dziewczyny, często harcerki, konspiratorki, sanitariuszki, łączniczki z narażeniem życia dostarczały oddziałom AK rozkazy, meldunki, prasę, opatrywały rannych, organizowały noclegi i żywność w czasie wojennej podróży. Czy zawsze zdawały sobie sprawę, co ryzykują? Jakie mogą być konsekwencje? Po wojnie chciały zacząć w miarę normalne życie, a zwykle przedwcześnie owdowiałe, musiały troszczyć się o siebie i dzieci. Koniec konspiracji wcale nie oznaczał końca strachu, niepewności, walki o wolność i godność.

Upominał się bowiem o nie zsowietyzowany, nieludzki aparat władzy – UB przeszukiwało mieszkania, padały wobec nich fałszywe oskarżenia, a sfingowane procesy kończyły się nawet karą śmierci. Trudno było znaleźć pracę, bo przecież były wrogami tego upośledzonego i zawłaszczonego przez komunistów państwa, często bez praw obywatelskich. Choć nie wszystkie bezpośrednio zaangażowały się w działalność podziemną, nie wszystkie miały za sobą tak spektakularne akcje, jak cichociemna Elżbieta Zawacka „Zo”, druga kobieta w Polsce w stopniu generała brygady.

KATARZYNA PIETRASZEK

Szymon Nowak, „Dziewczyny wyklęte 2”, Fronda, 2016



KSIĄŻKA

Palcem po mapie

Marek Gędek, znany dziennikarz, medioznawca, historyk i autor wielu atlasów, tym razem w formie kartograficznej zilustrował przebieg II wojny światowej. Aby w pełni pokazać, jak zmieniała się rzeczywistość polityczna na początku ubiegłego stulecia, część zamieszczonych tu map pochodzi

z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku, bo, jak twierdzi autor, „napięcie narastało stopniowo przez wiele lat poprzez wybuchające konflikty lokalne”. I tak, można zobaczyć na mapie, jak wyglądała Europa w 1914 roku, a następnie, jak po I wojnie światowej kształtowały się państwa narodowe. W formie graficznej zostały też odzwierciedlone układy polityczne, jakie zawierano tuż przed 1939 rokiem.

Część zasadnicza atlasu jest podzielona na dwie części: o dominacji niemiecko-sowieckiej i brytyjsko-sowiecko-amerykańskiej. Już tu

widać, że autor skupia się na teatrze wojennym w Europie, choć pokazuje także inne fronty II wojny światowej. Poza tym, jak zaznacza we wstępie, w atlasie stara się zachować równowagę między zagadnieniami politycznymi a kwestiami militarnymi. Zamieszcza też mapy dotyczące spraw społecznych, takich jak wysiedlenia Żydów, Holocaust i deportacje Polaków do ZSRR.

ANETA WIŚNIEWSKA

Marek Gędek, „Atlas historyczny drugiej wojny światowej”, Bellona, 2016





KSIĄŻKA

Panorama Rybnika

Wojskowa Komenda Uzupełnień w Rybniku z okazji 65-lecia istnienia wydała publikację „Wojskowość na terenie subregionu zachodniego województwa śląskiego – Historia. Tradycje. Współczesność”. Album przedstawia tradycje

wojskowe regionu, w którym działa to WKU. Ujęto w nim również historię jednostek wojskowych oraz Straży Granicznej z tego terenu. Druga część książki jest poświęcona historii administracji wojskowej oraz samej Wojskowej Komendy Uzupełnień w Rybniku. Wiele uwagi poświęcono jej zadaniom, w szczególności w dziedzinach zabezpieczenia mobilizacyjnego rozwinięcia jednostek wojskowych, administrowania zasobami rezerw osobowych, rekrutacji do ochotniczych form służby wojsko-

wej, zarządzania kryzysowego oraz promocji obronności i współpracy z administracją i innymi podmiotami w sprawach związanych z obronnością państwa. Do współpracy w opracowaniu albumu zaproszono władze samorządowe powiatów raciborskiego i rybnickiego oraz miast Jastrzębie-Zdrój, Rybnik i Żory. Opieką naukową objęło publikację Muzeum w Rybniku, a partnerem wydawnictwa zostało Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej w Warszawie. AK ■

KSIĄŻKA

Wielki głód

Nawet 2 mln ludzi mogło zginąć z głodu w Korei Północnej w latach 1995–1999.

Komisja ONZ do spraw zbrodni przeciwko ludzkości popełnionych w komunistycznej Korei Północnej stwierdziła, że powódź, jaka dotknęła kraj, oraz brak wsparcia radzieckich braci po upadku ZSRR nie były jedynymi przyczynami klęski głodu. Okazało się, że manipulowanie dostawami żywności to element polityki Kim Dzong Ila. Dyktator głodem karał prowincje, które uważał za niewystarczająco lojalne wobec władzy. Odmówił też przyjęcia pomocy humanitarnej od państw zachodnich. Efektem były sceny, jak z czasów Hołodomoru na Ukrainie – najpierw przygotowywanie posiłków

z kory drzew, korzonków czy ze szczurów, później kanibalizm, aż wreszcie stosy trupów. Taki świat poznajemy oczami chłopca, którego beztroskie dzieciństwo skończyło się w wieku pięciu lat.

W przejmującej książce „Pod jednym niebem” widzimy, jak głód doprowadza pewną koreańską rodzinę do upadku. Chłopca pozostawiono samemu sobie, nie mógł liczyć na pomoc bliskich, sąsiadów czy znajomych, bo wtedy nawet rodzice porzucali swoje dzieci, żeby nie musieć ich karmić. Żebrał, kradł, spał pod gołym niebem, aby tylko przeżyć. W końcu zdesperowany zde-

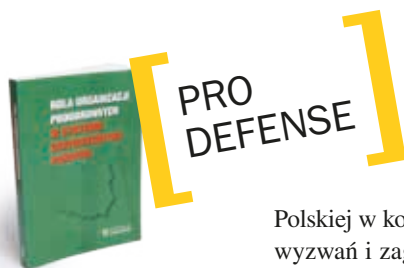
cydował się na ucieczkę do Chin, gdzie zaopiekowała się nim pewna chrześcijanka. Chłopak ostatecznie zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, tam uczy się i pracuje. Do dziś nie ma jednak kontaktu z matką, przebywającą w koreańskim obozie pracy, i siostrą, którą sprzedano nieznajomemu Chińczykowi (ojciec zmarł z głodu). Ta książka powstała po to, żeby świat się dowiedział, co spotkało rodzinę bohatera i tysiące jego rodaków. Jest to o tyle ważne, że od tamtej pory niewiele się zmieniło, i co jakiś czas pojawiają się alarmujące informacje o głodzie w Korei Północnej. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Joseph Kim,
Stephan Talty,
„Pod jednym
niebem”,
Prószyński i S-ka,
2016



KSIĄŻKA



Wokół OT

Na czerwcowych targach Pro Defense w Ostródzie, podczas konferencji o roli organizacji proobronnych w systemie bezpieczeństwa państwa, rozmawiano m.in. o kształcie i kierunku rozwoju wojsk obrony terytorialnej w Polsce. Ci, którzy nie mieli okazji wziąć udziału w dyskusji, mogą poznać tę tematykę dzięki książce „Rola organizacji proobronnych w systemie bezpieczeństwa państwa”. Zebrano w niej bowiem materiały z tego spotkania. Bezpieczeństwo narodowe Rzeczypospolitej

Polskiej w kontekście współczesnych wyzwań i zagrożeń, miejsce organizacji proobronnych w systemie bezpieczeństwa państwa, powszechna obrona terytorialna w warunkach wojny hybrydowej, a także współpraca organizacji proobronnych z Siłami Zbrojnymi RP to tylko wybrane zagadnienia zawarte w materiałach konferencyjnych. Czytelnik znajdzie w nich także informacje na temat dostosowania systemu szkolenia do zapisów zawartych w nowelizacji ustawy o powszechnym obowiązku obrony, działalności organizacji proobronnych w środowisku akademickim oraz roli Akademii Sztuki Wojennej w przygotowaniu kadr na rzecz piątego rodzaju sił zbrojnych.

Wstęp do publikacji napisał Walde-
mar Zubek – dyrektor Biura ds. Pro-
obronnych Ministerstwa Obrony Na-
rodowej, a analizy i opracowania
przygotowali: pełnomocnik MON
ds. utworzenia obrony terytorialnej,
rektor Akademii Obrony Narodowej,
a także naukowcy z AON-u, Uniwer-
sytetu Warmińsko-Mazurskiego,
Uniwersytetu Pedagogicznego
w Krakowie, eksperci ze Sztabu Ge-
neralnego Wojska Polskiego oraz
przedstawiciele organizacji pro-
obronnych i instytucji wspierających
działania proobronne. ■

PIOTR JASZCZUK

„Rola organizacji proobronnych
w systemie bezpieczeństwa państwa”,
Fundacja Historia i Kultura, 2016

POD NASZYM PATRONATEM

Od Wołynia do „Wisły”

Rozpoczęta w 1947 roku operacja
przesiedlenia Ukraińców, znana
jako akcja „Wisła”, wzbudza wiele
kontrowersji. Jej celem było przede
wszystkim zniszczenie zaplecza
Ukraińskiej Powstańczej Armii na
terenach polskich. Wielu history-
ków podkreśla jednak, że zastoso-
wano w tym wypadku zasadę odpo-
wiedzialności zbiorowej – ucierpie-
li niewinni ludzie.

Marek A. Koprowski w swojej
pracy argumentuje, że mimo nie-
wątpliwych negatywnych skutków,
jakie akcja „Wisła” przyniosła
ukraińskim przesiedleńcom, mu-
siało do niej dojść. Co więcej, była
ona finałem dramatu, który zaczęli
krwawo pisać ukraińscy nacjona-
liści kilka lat wcześniej, w 1943 ro-
ku na Wołyniu. Kolejne jego akty
dopisywali na terenach, które
uznawali za swoje. Autor szczegó-
łowo opowiada o wydarzeniach,

które doprowadziły do akcji „Wi-
sła”, analizuje jej przebieg i konse-
kwencje. Wiele można się dowie-
dzieć również o samej UPA–OUN,
m.in. o jej strukturze, sposobie
funkcjonowania i prowadzenia wal-
ki, a także skrupulatnej pracy poli-
tyczno-propagandowej, którą prowa-
dziła wśród ludności ukraińskiej.
Autor odwołuje się często do wspo-
mnień tych, którzy ocalili z rzezi
dokonywanych przez członków UPA
na Polakach, do wspomnień świad-
ków represji stosowanych na Ukra-
ińcach dobrowolnie zgłaszających
się do przesiedlenia, a także uczestników
walk z ukraińskimi
sotniami.

Książka Marka
A. Koprowskiego jest
podzielona na trzy
części. Podstawą
pierwszej są analizy

prof. dr. hab. Władysława Filara,
eksperta od stosunków polsko-
ukraińskich, autora wielu publika-
cji na ten temat, który przestudio-
wał m.in. prace ukraińskich history-
ków, a także wspomnienia człon-
ków OUN–UPA. Drugą część
stanowią relacje żołnierzy Wojska
Polskiego, uczestników tamtych
wydarzeń, m.in. prof. Witolda
Grabarczyka z obrony Birczy
w 1946 roku czy prof. Józefa
Czerwińskiego, w czasie wojny żoł-
nierza 27 Wołyńskiej Dywizji Pie-
choty AK, biorącego udział w akcji
„Wisła”. Część trzecia, zatytułowa-
na „Ukraińscy zbrodniarze”, przy-
bliża sylwetki niektórych dowód-
ców UPA i działaczy OUN-u,
m.in. Myrosława Onyszkiewicza,

Jarosława Starucha
czy Włodymyra
Szczygielskiego. ■

JOANNA
ROCHOWICZ

Marek A. Koprowski,
„Akcja Wisła. Krwawa
wojna z OUN-UPA”,
Replika, 2016



KSIĄŻKA

Walka jak przygoda

Życie w schronie w niczym nie przypomina bajki, jest nieustanną walką o przetrwanie.

O tym, że świat może się zmienić w ciągu kilku minut, przekonał się Micha, który wraz z synem i synową znajdował się na dworcu w Sierdobsku, kiedy **zaczął się nuklearny atak bombowy**. W jednej chwili stali na peronie, a już w następnej, wepchnięci z masą spanikowanych ludzi do schronu, musieli rozpocząć zupełnie nowe życie.

Ci, którzy przetrwali, zaczęli się szybko organizować. Okazało się, że w schronie ocalali lekarz, nauczycielki i byli komandos, który szybko stał się nieformalnym przywódcą grupy. Wkrótce na świat przychodzi wnuk Michy, Daniła.

Ponieważ rodzice chłopca umierają w wyniku choroby popromiennej, mężczyzna wychowuje go sam. Daniła, schronowe dziecko, dorasta w zupełnie innej rzeczywistości niż ta, którą znał Micha. Trudne warunki i ograniczona przestrzeń życiowa mieszkańców schronu nie odebrały mu jednak szansy na przeżywanie zarówno beztroskiego dzieciństwa, jak i trudnego dojrzewania. Dorasta, przechodzi szkolenie dla komandosów, zakłada rodzinę i spełnia największe marzenie – zostaje stalkrem, czyli zwiadowcą. To daje mu możliwość wyjścia ze schronu i zdobycia nowych doświadczeń.

Książka Szabałowa, pierwsza część trylogii, różni się od tych, które czytałam do tej pory w serii „Uniwersum Metro 2033” – zapoczątkowanej przez Dmitry'ego Glukhowskiego. Przede wszystkim nie ma tu wszechogarniającej duchoty tuneli i podziemi, powszechnej degrengolady społeczeństwa, brutalizacji postapokaliptycznej rzeczywistości. To książka bardziej przygodowa, chłopięca, mająca klimat powieści Jacka Londona, w których Daniła i jego przyjaciele zaczytywali się w dzieciństwie. Nie jest jednak przeznaczona dla dzieci. Zamiast Białego Kłosa są wściekłe mutanty, zabójcze rośliny i niebezpieczni ludzie. Życie w schronie, po Początku, w niczym nie przypomina bajki, jest nieustanną walką o przetrwanie. Za wszelką cenę. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Denis Szabałow „Prawo do użycia siły”, Insignis, 2016

KSIĄŻKA

Dzieci Sudanu

Czy naprawdę myśli pan, że może pan coś zmienić?”, usłyszał pastor Sam Childers na jednym ze spotkań, w czasie których opowiadał o swojej pracy w Sudanie Południowym. „Szaleństwem jest marnowanie czasu tam, w Afryce. Samotnie. Przecież i tak w pojedynkę nic pan nie zrobi”.

Przypadek Sama Childersa pokazuje, że jeden człowiek może zdziałać bardzo dużo. Urodzony w Dakocie Północnej Childers nie należał do grzecznych dzieci. Uczyć się nie chciał, wołał imprezować z kumplami. Szybko pojawiły się w jego życiu narkotyki, bójki stały się codziennością, a najbliższą rodzinę stanowili członkowie gangu

motocyklowego. Ale, jak to często w życiu bywa, wystarczy przypadek – spotkanie z osobą, która zobaczy w nas kogoś innego, niż my sami w sobie widzimy – i wszystko się zmienia. Historia w iście amerykańskim stylu, ale najważniejsze są jej efekty. A efektem splotu różnych wydarzeń i spotkań była podróż nawróconego Sama Childersa do Afryki pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. To ona nadała prawdziwy sens jego życiu.

W ogarniętym wojną Sudanie zobaczył morze bezprawia, brutalności, gwałtów. Pierwszy raz zetknął się z Josephem Konym i rebeliancką Armią Bożego Oporu, która działała



w Sudanie Południowym i Ugandzie, a swoimi rekrutami czyniła dzieci. Często oglądające brutalną śmierć swoich rodziców, bite, gwałcone i poddawane indoktrynacji,

stawały się one kolejnymi maszynkami do zabijania. Jeśli miały więcej szczęścia, trafiały do Shekinah Fellowship Children's Village, wioski dziecięcej stworzonej przez pastora, „czterdziestoakrowej oazy bezpieczeństwa i ciszy w samym środku niekończącej się wojny domowej”, gdzie miały szansę odzyskać spokój i dzieciństwo. ■

KATARZYNA PIETRASZEK
Sam Childers, „W obronie innych”, Warbook, 2016

KSIĄŻKA

Schwytane myśli

Nie ma tu relacji obozowych, raczej refleksje nad istotą życia, przywołane obrazy z przeszłości, wspomnienia o najbliższych i odwołania do kultury.

Tylko te systemy religijne są rado-
sne, które łączą nas z całością,
a nie od niej oddzielają. (Powyższe
podczas ładowania gnoju)”. To zale-
dwie dwa zdania z „Notatnika
z Altengrabow”, które jednak zna-
komicie oddają ducha tych zapi-
sków. Rozważania metafizyczne
i odniesienia do literatury czy mu-
zyki przeplatają się ze spostrzeże-
niami codzienności, a cytaty z Bi-
blii – z fragmentami przyspiewek
ludowych lub wyimkami z niemiec-
kiej prasy. Taka formuła co prawda
wymaga skupienia czytelnika, tym
bardziej że język polski miesza się
z niemieckim, angielskim, rosyj-
skim czy włoskim, ale jest niezwy-
kle autentyczna. Autorem zapisków
jest **Konstanty Ildefons Gałczyński**.
Poeta w 1939 roku został powołany
do wojska, w kampanii wrześniowej
dostał się do sowieckiej niewoli, ale
ostatecznie został przekazany w rę-
ce Niemców. I tak okres okupacji
przetrwał w oflagu w Altengrabow.
Tam od jednego z więźniów dostał
zeszyt, w którym zaczął zapisywać
swoje refleksje dotyczące codzien-
ności. Jest to niezwykle świadectwo
tamtych czasów, choć formuła
dziennika nie wskazuje na to, żeby
z takim zamiarem poeta
przystąpił do pisania. Tu
nie ma relacji obozo-
wych, raczej są to
rozmyślenia nad
istotą życia, przy-
wołane obrazy
z przeszłości,
wspomnienia
o najbliższych

i przede wszystkim odwołania do
szeroko pojętej kultury. Te zanoto-
wane nieuporządkowane myśli sta-
nowiły dla Gałczyńskiego odskocz-
nię od codziennej pracy fizycznej
i trudów obozowej egzystencji.

Niezwykle ciekawy jest również
wstęp do dziennika pióra Jerzego
Mikołajewskiego. To pewnego ro-
dzaju podziękowanie skierowane do
Konstantego Ildefonsa Gałczyńskie-
go. Pisarz odnalazł w jego zapi-
skach świat swojego ojca. Istnieje
bowiem pewna zbieżność losów obu
mężczyzn. W czasie II wojny świa-
towej obaj znaleźli się w obozie, ty-
le że w innych miejscach i w innym
czasie. Jednak ojciec Mikołajew-
skiego, choć bardzo rzadko wracał
do tamtych wydarzeń, wspominał
„zaczytanego, zamyślonego, anoni-
mowego mężczyznę”. Wypisz, wy-
maluj Gałczyński, jakiego poznaje-
my z obozowego dziennika. Takich
zbieżności jest więcej, ale są to
złudne podobieństwa. Jednak dzięki
tej lekturze Mikołajewski, jak
stwierdził, mógł sobie wyobrazić
obozowe życie swojego ojca. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Konstanty Ildefons Gałczyński,
„Notatnik z Altengrabow”, Prószyński
i S-ka, 2016



KSIĄŻKA

Piętno gwałtu

Najcudowniejszy prezent – tak
o swojej córce powie po latach
Pelagia, młoda dziewczyna zgwał-
cona przez rosyjskiego okupanta,
która postanowiła urodzić dziecko
pomimo protestów najbliższych
i wizji odrzucenia przez społecz-
stwo. Podobno Armia Czerwona
była najbardziej brutalna i bez-
względna, jeśli chodzi o gwałty na
polskich kobietach i dziewczyn-
kach. Sowietzi, przechodząc przez
polskie wsie i je „wyzwalając”, po-
zostawiali po sobie dramatyczne
ślady. Jak przypomina we wstępie
do książki dr Joanna Wieliczka-
-Szarkowa, przez kilkadziesiąt lat
prawda o gehennie, jaką przeszły
polskie kobiety, była przemilczana
i wypierana z historii. Zresztą, nie
tylko Polki były poniewierane przez
Sowietów, taki los spotykał również
Niemki, Rosjanki i Węgierki.

Życie Peli nie było usłane różami.
Jej historia pokazuje jednak, jak
ogromne cierpienie może przeobra-
zić się w miłość, np. do dziecka, do-
prowadzić do wybaczenia, a ofercie
dać niebywałą siłę do pokonania
przeciwności losu. Ta opowieść nie
ma charakteru rysu historycznego,
ale pozwala spojrzeć na kwestię
krzywd wyrządzonych przez rosyj-
skich żołnierzy przez pryzmat życia
konkretnej osoby. Podobną drogę
przeszło jednak wiele tysięcy innych
polskich kobiet. Pelagia historię
swego życia opowiada ukochanej
wnuczce, z nadzieją, że ta przeka-
że ją swej matce. ■

IZABELA BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

Małgorzata Okrafka-Nędza,
„Bóg liczy ły kobiety”, Fronda, 2016





ANDRZEJ
FĄFARA

Szarża po latach



Filmom opartym na budzących kontrowersje wydarzeniach historycznych dobrze robi jakość artystyczna. Piszę to po obejrzeniu w jakimś niszowym kanale telewizyjnym starego dzieła pod tytułem „Szarża lekkiej brygady”. Rzecz dotyczy szaleńczego ataku brytyjskiej kawalerii na rosyjskie pozycje. Ataku, do którego doszło 25 października 1854 roku podczas wojny krymskiej. Wiadomo, że padł wtedy rozkaz, przekazany kawalerzystom na piśmie. Wiadomo, że była też ustna instrukcja, już mniej pryncypialna („atakować, jeśli jest to możliwe”), której posłaniec nie powtórzył. To były te kontrowersje, które po fakcie Brytyjczycy zaczęli analizować na wszystkie strony.

Najgorętsze dyskusje dotyczyły jednak kwestii zasadniczej: czy można posyłać żołnierzy na pewną śmierć? Ponad 600 kawalerzystów ruszyło z kopyta, by zdobyć osiem utraconych wcześniej dział, obsługiwanych przez 200 rosyjskich artylerzystów. W ciągu ośmiu minut, bo tyle trwała legendarna szarża, padło w stronę konnicy ponad 200 wystrzałów. Brytyjczycy odbili te nieszczęsne armaty, po czym w krótkim czasie musieli się wycofać. Czyli w efekcie nic nie zyskali, a straty, które przy okazji ponieśli, okazały się olbrzymie.

Tony Richardson, wybitny angielski reżyser, twórca m.in. kultowej „Samotności długodystansowca”, nie cackał się specjalnie z rodakami i tzw. patriotyczną tradycją. Pokazał nieudolność i błędy dowódców, pokazał bezsens ośmiominutowej szarży. Popłynął zdecydowanie pod prąd, bo w narodzie przez ponad sto lat (film miał premierę w 1968 roku) legenda na temat tego epizodu wojny krymskiej urosła do niebotycznych rozmiarów. Jeśli mówiono w Zjednoczonym Królestwie o przykładach patriotyzmu i bohaterstwa, to przywoływano zawsze ów atak 600 kawalerzystów przeprowadzony pod silnym ogniem artylerii. Była to taka brytyjska Somosierra, którą my z kolei przedstawiamy jako dowód heroizmu polskiego żołnierza.

Film Richardsona nie dlatego jest arcydziełem, że łamie narodową legendę. Został po prostu znakomicie zrobiony. Dramaturgia, zdjęcia, dbałość o szczegóły. Dobrze się to ogląda nawet po 48 latach. Dochodzi do tego bezbłędna gra aktorska. W obsadzie znalazły się takie tuzy, jak Trevor Howard, John Gielgud czy Vanessa Redgrave. Bohaterem filmu Richardson uczynił kpt. Lewisa Nolana, owego posłańca, który nie przekazał ustnej dyspozycji głównodowodzącego. Zagrał tę rolę David Hemmings, który dwa lata wcześniej zdobył światową sławę udziałem w „Powiększeniu” Michelangela Antonioniego.

Historycy mogli się więc czepiać, że reżyser i scenarzyści coś tam przeinaczyli, zwykli widzowie mogli psioczyć, że filmowcy kałają własne gniazdo, ale od strony artystycznej nie byli w stanie nic zarzucić twórcom „Szarży lekkiej brygady”. Dobry film zawsze się obroni. ■



KWARTALNIK
BELLONA

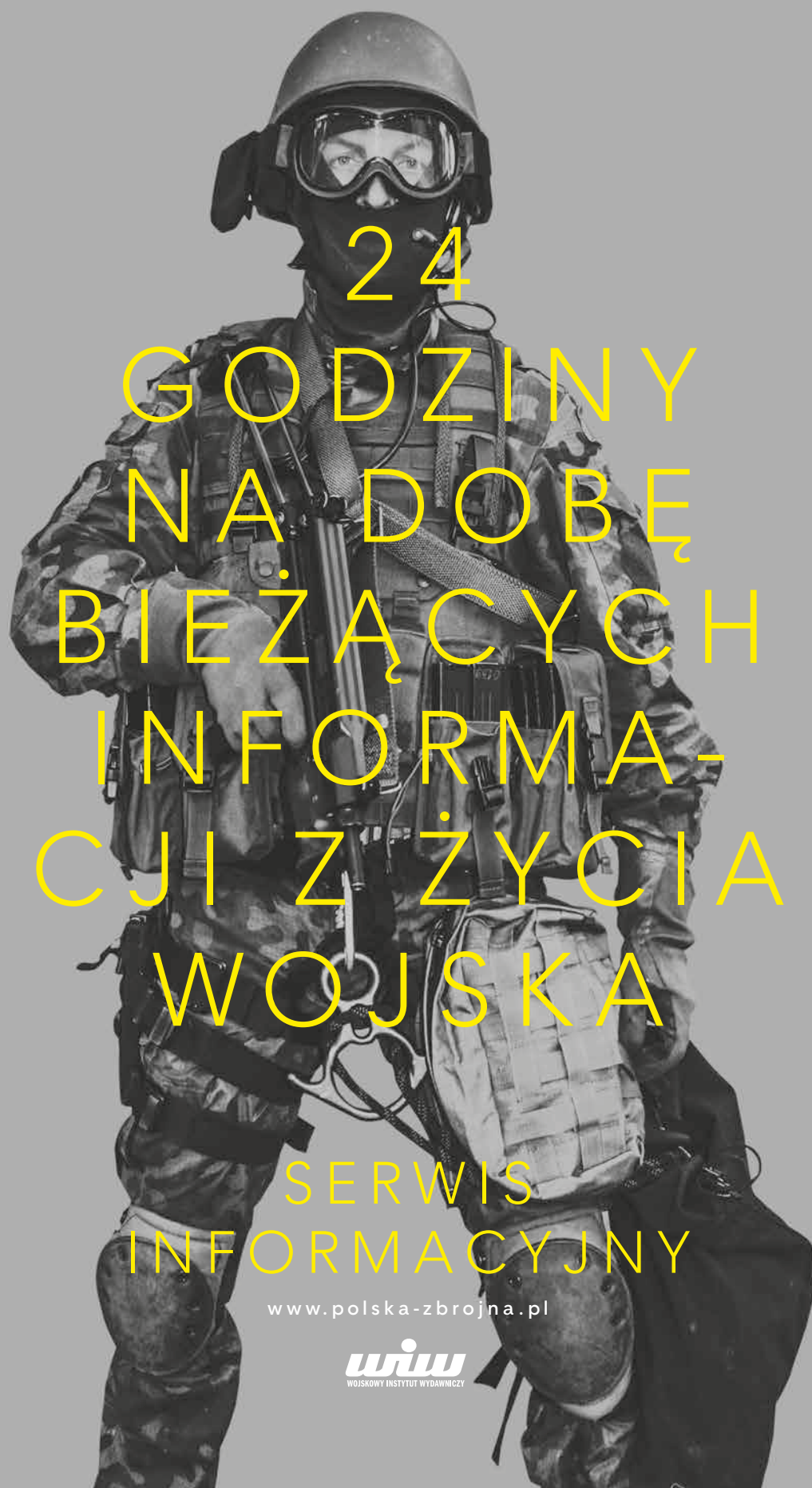
95
LAT DO-
ŚWIADCZEŃ
W BUDOWA-
NIU BEZPIE-
CZEŃSTWA
NARODO-
WEGO

PERIODYK NAUKOWY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiww
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY